SUPERMOCARSTWO TRACI POZYCJĘ

„Szach-mat" w Iranie – klęska Trumpa na Bliskim Wschodzie



Homomałżeństwa Tuska i Trzaskowskiego niszczą Polskę



40 LAT PO KATASTROFIE W CZARNOBYLU – CO WŁADZE PRL CHCIAŁY WTEDY UKRYĆ PRZED POLAKAMI?

Rozmowa „Do Rzeczy": Tomasz Sakiewicz o nękaniu polskich dziennikarzy

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 22/682 25–31 MAJA 2026

CENA 13,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

Dziwne nauki kardynała Rysia

PORUSZAJĄCA ROZMOWA Z DAWIDEM MYSIOREM

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829

eprasa.pl ca87f60a9b

Od ponad dekady tworzymy jedno
z najbardziej opiniotwórczych mediów w Polsce

SPÓŁKA AKCYJNA
DO RZECZY



Do Rzeczy S.A.
Spółka notowana na rynku **NewConnect (GPW)**
Symbol giełdowy: **DRZ**

WOLNOŚĆ SŁOWA MA WARTOŚĆ - TAKŻE GIEŁDOWĄ

Od 28 kwietnia 2026 możesz nas nie tylko czytać,
ale również zostać akcjonariuszem Do Rzeczy S.A.

ZAINWESTUJ
W NIEZALEŻNE MEDIA
Twoje media. Wspólna sprawa.

Dowiedz się więcej:
www.DoRzeczySA.pl

eprasa.pl ca87f60a9b



PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Rosja za słaba na odwet?

Do tej pory, na szczęście, w wojnie na Ukrainie, mimo przekraczania wyznaczanych przez Rosję tzw. czerwonych linii, nie wydarzyło się nic spektakularnego. Mimo dostarczania przez Zachód kolejnego, coraz lepiej uzbrojonego i wyposażonego sprzętu wojskowego – zaczęło się od nowoczesnych czołgów, a skończyło na pociskach ATACMS – poza wydawaniem groźnych pomruków Rosja nie robi nic więcej. Konflikt jest nadal ograniczony do terytorium Rosji i Ukrainy, a bezpośrednie walki toczą się głównie w Donbasie.

Jest faktem, że w ciągu ostatnich kilku miesięcy Ukraina przeprowadziła co najmniej kilka udanych operacji dronowych i rakietowych wymierzonych bezpośrednio w Rosję. Najpierw były to uderzenia w rosyjskie porty bałtyckie, potem rosyjskie rafinerie położone z dala od teatru wojennego, wreszcie próby zaatakowania samej Moskwy. Sądząc z doniesień medialnych, nawet jeśli mają one często charakter propagandowy – Ukraińcy mówią, że osiągnęli wszystkie cele, Rosjanie twierdzą, że wszystkie wrogie obiekty zostały zestrzelone – to nie ulega wątpliwości, że przynajmniej część wysłanych przez Kijów dronów poczyniła poważne szkody. Te poczynania Kijowa wywołały w Polsce entuzjazm i powszechną radość. Czy jest się z czego cieszyć?

Rzecz najważniejsza: sukces ten mógł zostać osiągnięty jedynie dzięki ścisłej współpracy tak z państwami oddzielającymi Ukrainę od Rosji (a więc państwami bałtyckimi), być może z Polską, jak z zachodnim wywiadem wojskowym. Czy Ukraińcy korzystają z danych amerykańskich czy też ogólnie NATO-wskich, to jest brytyjskich lub francuskich, trudno powiedzieć. Tak czy inaczej obecne ataki na cele rosyjskie możliwe są tylko dzięki zaangażowaniu sojuszników z Zachodu. Gdyby zatem brać pod uwagę wyłącznie czynniki czysto militarne, należałoby się spodziewać działań odwetowych. Inaczej mówiąc: gdyby Rosjanie kierowali się wyłącznie logiką wojenną, to dawno już uderzyliby, korzystając z przewagi, jaką zapewnia broń hipersoniczna, w ośrodki, które zapewniają powodzenie ukraińskim operacjom. I to niezależnie od tego, że znajdują się one na terenie państw NATO. Tak się jednak do tej pory nie stało.

Można to tłumaczyć na różne sposoby. Po pierwsze, faktycznie Rosja jest tak słaba, że boi się rozszerzenia konfliktu. Mimo prężenia muskułów i opowieści o potędze Kreml się boi i dlatego przyjmuje kolejne ciosy ze stoickim spokojem. Putin nie jest gotowy ani ogłosić powszechnej mobilizacji, ani – co z tego wynika – przeprowadzić wielkiej ofensywy, bo wie, że mogłoby to doprowadzić do załamania całego systemu władzy.

Po drugie, być może Moskwa sądzi, że wkrótce już uda się i tak osiągnąć swoje cele – a więc legalizację zajęcia Donbasu i przejęcie kontroli nad terenami bronionymi przez Ukrainę – dzięki porozumieniu z Donaldem Trumpem. Może do tego prowadzić proste rozumowanie: wikłając się w wojnę z Iranem, Waszyngton znalazł się pod ścianą. Już teraz dwukrotnie zawiesił sankcje na kupno rosyjskich surowców, szczególnie ropy i gazu, bo za wszelką cenę stara się nie dopuścić do załamania światowej gospodarki. Z tego też powodu Trumpowi może zależeć, żeby jak najszybciej wymusić na Ukraińcach ustępstwa i porozumienie z Rosją, nawet kosztem oddania jej spornych terenów. Wystarczy zatem spokojnie znosić obecne ukraińskie ataki i nie odpowiadać w sposób, który wymusiłby reakcję amerykańską. Zwycięstwo i tak zostanie osiągnięte.

Po trzecie wreszcie, być może to, co obecnie obserwujemy, jest jedynie ciszą przed burzą i Rosja właśnie gotuje się do zadania ciosów odwetowych poza terytorium Ukrainy. Tu rozumowanie może być następujące: wskutek wojny z Iranem Ameryka jest osłabiona jak nigdy. Trump nie odważy się odpowiedzieć na ewentualny rosyjski atak na jedno z państw sojuszu, bo i tak ma za dużo kłopotów na Bliskim Wschodzie. Dlatego należy wybrać odpowiedni moment i cel – może to być jedno z tych państw, bez których udziału ukraińskie ataki na Rosję nie byłyby możliwe – i uderzyć. Wiadomo, że do takich działań namawia Kreml Siergiej Karaganow, wpływowy rosyjski politolog, który nie tylko przekonuje do ataków za pomocą broni konwencjonalnej, lecz także, jeśli to nie wystarczy, do użycia broni nuklearnej.

Nie wiem, która z tych hipotez jest prawdziwa. Pewne jest jednak, że im ukraińskich ataków jest więcej i im wyraźniej widać, że stoją za nimi zachodni sojusznicy Kijowa, tym Kreml ma mniejsze pole do manewru. Nawet jeśli Rosja nie jest demokracją liberalną, a oczywiście nie jest, to jej przywódca musi brać pod uwagę zmianę nastrojów społecznych i coraz głośniejsze żądanie odwetu. Za którymś razem nie będzie mógł udawać, że „wszystko jest pod kontrolą". Każda z takich udanych akcji podnosi coraz bardziej poziom ryzyka. ©℗

eprasa.pl ca87f60a9b



TEMAT TYGODNIA

16 PAWEŁ CHMIELEWSKI
NIESPODZIANKI KARDYNAŁA RYSIA
Nowy metropolita krakowski znów szokuje

21 ROZMOWA Z DAWIDEM MYSIOREM
DRZEWA O ZATRUTYCH OWOCACH

KRAJ

24 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
ŚCIGANIE ZASTĘPCZEGO ZIOBRY
Władza prześladuje dziennikarzy

27 ROZMOWA Z TOMASZEM SAKIEWICZEM
ZDYCHAJĄCY POTWÓR POTRAFI BYĆ NIEBEZPIECZNY. NĘKANIE TELEWIZJI REPUBLIKA

30 ŁUKASZ WARZECHA
CHWILA PRZED UPADKIEM? PIS W KRYZYSIE

34 ROZMOWA Z MECENASEM RAFAŁEM DOROSIŃSKIM
POZORY LEGALNOŚCI. HOMOMAŁŻEŃSTWA TUSKA I TRZASKOWSKIEGO NISZCZĄ POLSKĘ

KULTURA

36 PIOTR SEMKA
LIEBERMANN I SPÓŁKA
Niemcy też mieli swój impresjonizm

39 GRZEGORZ KONDRASIUK
KORPOŚWIAT JEST WIĘZIENIEM

40 PIOTR GOCIEK
ZIEMIA, WOLNOŚĆ, RODZINA



NIE PRZEGAP

42 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, GRA, WYSTAWA, KSIĄŻKI

OPINIE

46 MICHAŁ KRUPA
SZACH-MAT DLA WASZYNGTONU
Ameryka w odwrocie

49 PIOTR SEMKA
POLSKIE BEZPIECZEŃSTWO, CZYLI STARE KLISZE WCALE NIE SĄ STARE. POLEMIKA Z MARCINEM SKALSKIM

52 FILIP MEMCHES
„OBÓZ ŚWIĘTYCH". KSIĄŻKA, KTÓRA WCIĄŻ OBURZA

HISTORIA

54 GRZEGORZ MAJCHRZAK
SOWIECKA COCA-COLA I ŚPIWORY URBANA
40 lat po katastrofie w Czarnobylu – co władze PRL chciały wtedy ukryć przed Polakami?

ŚWIAT

58 PIOTR WŁOCZYK
OSTATNI CASTRO GASI ŚWIATŁO
Czy USA dokonają interwencji na Kubie?

61 AGNIESZKA GOLAŃSKA-BAULT
UWAGA, SKRAJNA LEWICA ZABIJA!

64 MACIEJ PIECZYŃSKI
GRA Z MIŃSKIEM WARTA MSZY

66 RADOSŁAW WOJTAS
SZCZYTY WANDALIZMU

EKONOMIA

70 JACEK PRZYBYLSKI
WJAZD SMOKA
Coraz więcej „chińczyków" i „elektryków"

73 ROZMOWA Z MARKIEM GRÓBARCZYKIEM
NIEMIECKA BLOKADA ODRY

FELIETONY:

SEMKA (6), ZIEMKIEWICZ, POSPIESZALSKI (8), JASTRZĘBOWSKI (9), GMYZ, GOCIEK (12), ŻEBROWSKI, KOPER (57), PRZYBYLSKI (68), GABRYEL, WARZECHA (69), KOMUDA (76), KOWALCZUK, KARWELIS (79), WIEROMIEJCZYK (80), ROSZKOWSKI (81), CEJROWSKI (82)

eprasa.pl ca87f60a9b

REKLAMA

JAKA PRZYSZŁOŚĆ NAS CZEKA?

ODKRYJ PRAWDĘ O SYSTEMIE TOTALITARNYM



PREMIERA!

www.bialykruk.pl

Biały Kruk

312 str.
148 ilustracji
16,5 x 23,5 cm
twarda oprawa

Dla czytelników „Do Rzeczy" 25% taniej!
Wejdź na stronę bialykruk.pl i wykorzystaj kod rabatowy DORZECZY25

ZAMÓW:
bialykruk.pl, tel.: 12/254 56 02, 12/254 56 19
lub e-mail: handlowy@bialykruk.pl. Przy zamówieniu powyżej 300 zł koszty przesyłki (17 zł) ponosi wydawnictwo.

TYGODNIK DO RZECZY

ADRES: TYGODNIK DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas** (II sekretarz redakcji), **Filip Memches**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:
Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski *(korespondent z USA)*, **Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić** *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Łukasz Czarnecki, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Piotr Litka, Andrzej Krzystyniak, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Andrzej Nowak, Jacek Pałkiewicz, Maciej Pieczyński, Jan Pospieszalski, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Piotr Włoczyk, Dariusz Wieromiejczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Zbigniew Zapert, Łukasz Zboralski**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska, Lidia Lemaniak, Alina Piekarz, Małgorzata Puzyr, Anna Skalska, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Aleksander Majewski, Dawid Sieńkowski**

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedzielko** (kierownik studia), **Marta Michałowska, Jakub Tański** (skład), **Jacek Nadratowski** (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**

Korekta: **Anna Zalewska, Agnieszka Szpak, Agata Błaszczyk-Stefaniak**

RYSOWNICY: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**

Okładka: **Beata Zawrzel/Reporter**

WYDAWCA: **Do Rzeczy SA**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00
Wydawca tytułu, Do Rzeczy SA, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

PMPG POLSKIE MEDIA SA
POLSKI WYDAWCA
spółka notowana na GPW

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Do Rzeczy SA
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl;
tel.: +48 508 040 890

PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Joanna Nowakowska, Joanna Gosek,
dystrybucja@pmpg.pl, tel. 539 953 631, 508 040 664

DRUK: **Walstead Starachowice**

PRENUMERATA WYDAWNICZA:
Joanna Gosek, Joanna Nowakowska
+48 508 040 664, +48 539 953 631, Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00
e-mail: prenumerata@pmpg.pl, https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA:
Kolporter sp. z o.o.
(instytucjonalna), tel.: +48 (41) 367 88 88
e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl, www.kolporter.com.pl

Garmond: tel.: +48 (12) 422 14 85,
e-mail: prenumerataprasy@poczyta.pl,
www.poczyta.pl/prenumerata#prasa

GLM sp. z o.o. tel.: +48 (22) 649 41 61, www.glm.pl

Poczta Polska https://prenumerata.poczta-polska.pl/

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829

NAKŁAD KONTROLOWANY

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.

© Ⓟ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy! *Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.*

eprasa.pl ca87f60a9b



PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Mocniej, śmielej, ostrzej!

Czy pamiętają państwo rady niemieckiego publicysty Klausa Bachmanna z października 2023 r., gdy Platforma Obywatelska wracała do władzy? Bachmann ma łamach „Berliner Zeitung" podpowiadał wtedy ekipie Tuska: „Aby rzeczywiście rządzić, nowy rząd musi użyć całego instrumentarium państwa policyjnego, które stworzyło PiS, przeciwko PiS i prezydentowi".

Od tego czasu minęło dwa i pół roku i – przykro to pisać – rady Bachmanna zrealizowano w zbyt małym stopniu.

Tym razem w rolę zaniepokojonego doradcy wcielił się Stefan Locke z dziennika „FAZ". „W Polsce nadal nie została przywrócona praworządność. Prawicowy populizm w Polsce jest silny nawet po porażce wyborczej PiS" – orzeka. Zaczyna od przypomnienia nadziei z jesieni 2023 r., gdy w RFN „odetchnięto z ulgą [...] Komisja Europejska natychmiast wypłaciła Polsce 140 mld euro". Teraz jednak gorzko ocenia: „Nic się nie zmieniło. Sama zmiana rządu nie uzdrowiła sytuacji".

Locke powołuje się na niedawno wydaną książkę Martina Adama, byłego korespondenta telewizji ARD w Warszawie, pt. „Eksperyment. Czego możemy nauczyć się z polskiej walki z prawicowym populizmem?". Martin Adam pisze w niej: „Jedna z kluczowych lekcji płynących z Polski jest taka: populiści z PiS w krótkim czasie przebudowali państwo w taki sposób, że nawet po utracie władzy zachowali decydujący wpływ. Przede wszystkim w sądownictwie".

Diagnoza obu publicystów jest jednoznaczna: wypłata wstrzymanych środków unijnych była wprawdzie znakiem nowego początku dla nowego rządu, ale okazała się pochopna, ponieważ „praworządność w Polsce do dziś nie została przywrócona".

„PiS pozostawił po sobie zawiły labirynt naruszeń prawa i lojalnych prawników, z niespodziankami za każdym rogiem, które sprawiają, że szybki powrót do praworządności... staje się wyczerpującym biegiem z przeszkodami" – uważa Martin Adam. Według niego w Polsce „lojalni" prawnicy chronią się nawzajem przed ściganiem, a rząd Tuska ma dwa wyjścia: samemu łamać prawo albo próbować przywrócić porządek na legalnych zasadach. „Rząd wybrał drugą drogę, która jest powolna i wyboista" – czytamy.

Były korespondent ARD ujawnia też Niemcom inną gorzką prawdę – PiS nie jest czymś, co nagle spadło na Polskę, ale miało i ma w kraju liczne grono zwolenników. I na koniec z niepokojem konstatuje: „Kiedy prawicowi populiści dojdą do władzy i zyskają możliwość zmiany zasad podejmowania decyzji politycznych, bardzo trudno się ich pozbyć". Jego zdaniem w Polsce ta próba „na razie się nie powiodła".

Zarówno Stefan Locke, jak i Martin Adam pozostawiają niemieckich czytelników bez konkretnych wniosków, jak zmienić tę niepokojącą sytuację. Sądy doraźne wobec opozycji czy tylko internowanie prawników szkodników? Ale o czym tu mówić, skoro właśnie w zeszłym tygodniu wezwany na przesłuchanie Tomasz Sakiewicz opuścił prokuraturę jak gdyby nigdy nic, bez prokuratorskiej sankcji. I jak ma tu być dobrze nad Wisłą? ©℗

IRAN: UROCZYSTE ZAŚLUBINY „MĘCZENNIKÓW"

Kilkaset par wzięło udział w zorganizowanym w Teheranie przez irańskie władze masowym ślubie par gotowych poświęcić własne życie w wojnie z Izraelem i Stanami Zjednoczonymi, np. działając jako żywe tarcze wokół elektrowni. W ramach propagandowej akcji „Jan-Fada" („Ci, którzy poświęcają swoje życie") place w Teheranie przystrojono portretami Chameneiego i flagami Iranu. ©℗



FOT. FATEMEH BAHRAMI/ANADOLU/GETTY IMAGES

PREZES CINKCIARZA ZATRZYMANY W USA

Poszukiwany od lipca ubiegłego roku czerwoną notą Interpolu Marcin P., prezes i założyciel serwisu Cinkciarz.pl, został w zeszły wtorek zatrzymany w USA. W marcu 2025 r. prokuratorzy zdecydowali o przedstawieniu mu zarzutów, m.in. oszustwa, ale przebywał poza granicami Polski. Według organów ścigania mężczyzna miał wyrządzić klientom szkody o łącznej wartości ponad 185 mln zł. ©℗

eprasa.pl ca87f60a9b

VELO BANK



Dołącz do królestwa nowoczesności

VeloBank zdobył 1. miejsce w Konkursie Liderów Świata Finansów w kategorii „Najbardziej Innowacyjny Bank".

Sprawdź już dziś, jak działa bankowość jutra

Organizatorem konkursu jest MMC Polska S.A. z siedzibą w Warszawie, a wyniki ogłoszono 13.04.2026 r. Szczegóły na bankowosciubezpieczenia.pl/konkurs

eprasa.pl ca87f60a9b



RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Party przy śmieciach

Przy butelkomatach można poznać kogoś ciekawego, można się integrować, można tworzyć związki. Może być fajnie". To słowa pani minister Pauliny Hennig-Kloski, niedawno obronionej w Sejmie przez rządzącą koalicję przed odwołaniem, nie są jej pierwszą z serii podobnych wypowiedzi. Pani minister wydaje się zupełnie świadomie dążyć do zbudowania nowego „lajfstajlu", w którym zbieranie butelek i oddawanie ich do butelkomatów staje się istotnym, tożsamościowym elementem integracji grupy społecznej, która chce o sobie myśleć, że jest „klasą średnią".

Wcześniej był osnuty wokół podobnych wypowiedzi pani minister artykuł „Newsweeka", w którym prezentowała ona jako godny naśladowania wzorzec przodowników w zbieraniu butelek i puszek. Bohaterowie ci, wracając z korpo czy innej pracy, przeszukują parki i miejsca spotkań miejscowych pijaczyn, wprowadzając, co znajdą, do systemu kaucyjnego i dorabiając, niektórzy nawet po kilkaset złotych miesięcznie, co przy realnych zarobkach rzekomej „klasy średniej" stanowi istotną pomoc w spłacaniu kredytów. Pomysł był szeroko komentowany i wykpiwany, także przeze mnie, ale pani minister nie przejęła się i – jak widać – wprowadza nowy element postulowanego zbieractwa: życie towarzyskie. Zamiast tracić czas na tinderach, poczekajcie przy sklepie na podobnych sobie przedstawicieli wielkomiejskiej elity, podnoszących swój status włączaniem się w akcje recyklingu, i tak zawierajcie znajomości.

Bez wątpienia sprzyja temu fakt, że butelkomat za zebrane dobra wydaje kwitek, który można od razu na miejscu wymienić na „małpkę" (przemysł małpkarski wydaje się, wbrew oficjalnym atakom, jednym z głównych beneficjentów kaucyjnej rewolucji) i spożyć w elitarnym gronie, zarazem ratując płonącą planetę. Jakież to romantyczne i wzniosłe! Adam Michnik próbował kiedyś wprowadzić „nową, świecką tradycję" zbierania się elit na „toast wolności". Wtedy się nie udało. Ale teraz, gdy są butelkomaty… ©℗

#WARTO

Cywilizacja śmierci w natarciu



JAN POSPIESZALSKI

Na polskim froncie wojny kulturowej tęczowo-aborcyjna ofensywa odnotowała kolejne zdobycze. 12 maja Tusk zapowiedział wydanie rozporządzenia nakazującego transkrypcje tzw. małżeństw (ten termin z trudem przechodzi mi przez klawiaturę), zawartych przez homoseksualne pary za granicą. Tego samego dnia aborcyjna aktywistka, Justyna Wydrzyńska, opublikowała nagranie, w którym z uśmiechem opisuje coś, co normalnego człowieka powinno wprawić w przerażenie.

Na infolinię ich organizacji zgłosiła się kobieta w 10. tygodniu ciąży bliźniaczej. Twierdzi, że ciąża jest chciana, ale para nie myślała o dwojgu dzieci, więc choć nie ma przeciwwskazań medycznych, „tak naprawdę ich pierwszym pomysłem była aborcja selektywna". Aktywistka „śpiesząc z pomocą", dostarczyła zatroskanej kobiecie komplet informacji, gdzie i jak w Europie taki zabieg jest wykonywany, bo – jak twierdzi – „tego pacjentka nie dowiedziałaby się od lekarza". W ten sposób jej organizacja „uzupełnia lukę w systemie ochrony (!) zdrowia". Wydrzyńska z dumą podkreśla, że „teraz życie tej kobiety będzie spełnione, szczęśliwe, takie, jak ona sobie zaplanowała". Tak oto warunkiem „spełnienia i szczęścia" staje się eliminacja zdrowego, rozwijającego się bliźniaka.

Pewnie trudno sobie nam wyobrazić rodziców obserwujących na monitorze USG, którego zostawić, a którego usunąć? Ale przecież w procedurach in vitro taki sam mechanizm selekcji i eliminacji (tylko kilka tygodni wcześniej) wykonywany jest wielokrotnie. To zaś odbywa się w ramach rządowego programu przyjętego ustawą, a budżet państwa do 2028 r. na ten cel przeznaczył 2,5 mld zł. Program przyjmowano pod hasłami poprawy demografii i równych praw małżeństw. Teraz pytanie brzmi nie „czy", a kiedy włączenia do programu zażądają „małżeństwa" jednopłciowe. ©℗

eprasa.pl ca87f60a9b

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA



ĆWIERKOT

Zniknięcie Anny Marii



SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

Pamiętam osobiście, jak Anna Maria Żukowska z ugrupowania Czerwony Czarzasty (mogłem pomylić coś w nazwie, bo mam już swoje lata) krytykowała Ryszarda Czarneckiego za kilometrówki, że znaczy przekręt i pieniądze doił, wyłudzał, kradł z unijnego budżetu nienależne mu. Stop. Następnie wyszło na jaw, że pani poseł wzięła z parlamentu 38 tys. zł za przejazdy samochodem, którego nie ma. Stop. Wyszło też, że jeździła podobno tyle przez cały rok 2025, że codziennie musiałaby przejechać 90 km co najmniej, świątek, piątek i w niedziele też. Stop. Kiedy dziennikarze zaczęli podejrzewać, że mamy kolejną kilometrówkową złodziejkę, i chcieli zapytać o jej podróże, wtedy nastąpiło zniknięcie Anny Marii Żukowskiej. Stop. W sumie to zniknięcie to jasna odpowiedź. Stop. Kto na nią głosował? Przyznać się!

Katarzynę Kotulę (to ta, która nie wie, jakie ma wykształcenie, bo myślała, że ma wyższe, ale pomyśleli za nią, znaczy sprawdzili, i okazało się, że jednak nie ma), która była ministrem do spraw równości, spytano, co z gejami będzie w Polsce, jak się miłość tęczowa wypali. Stop. Bo oni ślubów brać w Polsce nie mogą, ale jak sobie wezmą w Berlinie np., to nasze urzędy stanu cywilnego przepisują na razie, że niby są małżeństwem, i geje się radują z tego powodu na razie. Stop. Niemniej pan redaktor spytał, co będzie, jak się geje w Polsce pokłócą i będą się chcieli rozwieść, to gdzie i jak? Stop. I pani Kotula nie wie. Stop. Może trzeba im zakazać kłócenia się i będzie spokój?

Się naśmiewacze znaleźli i wykpiwają teraz pana Waldemara Żurka, bo pan minister akurat nie wiedział, że stan w USA Waszyngton to nie to samo co miasto w USA – stolica Waszyngton. Stop. Sprawa pewnej takiej niewiedzy ministerialnej wyszła na jaw przy okazji rozmowy na temat, gdzie może być teraz Zbigniew Ziobro, bo podobno w Waszyngtonie. Ale to znaczy gdzie? Stop. Wtedy właśnie pan Żurek dowiedział się, że stan Waszyngton jest oddalony od miasta Waszyngton o 4 tys. km. Stop. Jak mówi stare przysłowie: „Człowiek uczy się całe życie, jak się nie chciał uczyć w podstawówce na gegrze”.

Donald Tusk wreszcie i twórczo odniósł się do jednego ze swoich 100 konkretów wyborczych dotyczących służby zdrowia: „Nigdy nie będzie w pełni usatysfakcjonowanych pacjentów”. Stop. I co? Łyso wam? ©℗

eprasa.pl ca87f60a9b



ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA

GWIAZDOBZDUR

TAKA NIEIDEALNA

Czy aktywizm kończy się tam, gdzie zaczynają się duże pieniądze? Być może. Aktorka Maja Ostaszewska znana z obrony wszelkiej zwierzyny – dzików, wiewiórek, psów, kotów, chomików i kanarków – wystąpiła w reklamie jednej ze znanych firm, produkującej galanterię ze skóry naturalnej. Chociaż ona sama nie pozuje w kampanii z produktami naturalnymi, to nie zmienia to faktu, że to spore odstępstwo od głoszonej przez gwiazdę ekoideologii. Po tym, jak przez Internet przelała się fala krytyki, Ostaszewska postanowiła odnieść się do sprawy. W nagranym oświadczeniu aktorka przypomniała, że od lat dokłada wszelkich starań, by zwierzętom żyło się lepiej. Dodatkowo sama od lat nie je mięsa. – Od bardzo wielu lat walczę o zakaz trzymania psów na łańcuchach w Polsce. Wspieram wszystkie kampanie, które mają doprowadzić do ograniczenia bezdomności zwierząt, czyli powszechne czipowanie, sterylizacja [...]. Walczyłam o zakaz hodowli zwierząt na futra w Polsce. Z sukcesem. Bardzo się z tego cieszymy – tłumaczy się. Jednocześnie podkreśla, że nigdy nie starała się udawać osoby „nieskazitelnie" ekologicznej. – Nigdy nie udawałam i nikogo nie oszukiwałam, że w mojej szafie poza różnymi innymi materiałami nie znajdują się prawdziwe skóry. Mam skórzane buty. Widzieliście mnie w nich państwo na wielu premierach, spotkaniach prasowych, wywiadach, festiwalach [...]. Natomiast nie udaję kogoś, kim nie jestem. Nie udaję, że mieszkam w puszczy i żywię się tym, co rośnie wokół mojego domu – zaznacza Ostaszewska. – Nie jestem idealna. Mieszkam w mieście. Tak, owszem, jeżdżę samochodem. Dochodzą do mnie głosy, że również to jest krytykowane. Nie udaję osoby czysto, nieskazitelnie ekologicznej. Absolutnie tak nie jest. Uwielbiam polskie marki, bardzo chętnie je promuję i bardzo chętnie przyjmuję propozycje współpracy – podkreśla. Co ciekawe, gwiazda świadomie zgodziła się na współpracę z firmą, która jest tak daleko od jej poglądów. – W świecie idealnym chciałabym, żeby żadne zwierzęta nie były zabijane na mięso, a w związku z tym nie byłoby też skór, które są wtórnym produktem. Tego, co się dzieje w związku z przemysłem mięsnym. Ale tak nie jest. Ważne jest dla mnie to, jak marki pozyskują te skóry. Nigdy w życiu nie podpisałabym kontraktu z marką, która hoduje zwierzęta po to, żeby je zabić na produkty, które będą sprzedawane. To dla mnie było bardzo ważne, kluczowe – zapewnia. Czyli „humanitarne" zabijanie zwierząt jest OK. Sypią się nam autorytety, oj, sypią.



FOT. PAWEŁ WODZYŃSKI/EAST NEWS

PROBLEM Z MAJĄ

Nie wszyscy łyknęli tłumaczenia aktorki. Glejtu poprawności nie wystawiła jej np. Magdalena Środa, która dostrzega w tej sprawie hipokryzję. „Problem z Mają Ostaszewską, którą krytykuje się, a nawet hejtuje za udział w reklamie skórzanego obuwia, polega chyba na tym, że łakniemy prawdziwych autorytetów, to znaczy takich, które wskazują nam drogi, po których powinniśmy chodzić, ale i które same po tych drogach chodzą. Łakniemy spójności i nie lubimy hipokryzji" – ocenia we wpisie na Facebooku. „Obrońcy praw zwierząt zapewne nie muszą być idealni (nie wszyscy są weganami, nie wszyscy używają wyłącznie nieskórzanych produktów), ale jeśli jest się autorytetem w tych sprawach, to chodząc w skórzanych butach, nie można zarabiać na ich reklamie. Problem jest tu raczej z reklamą niż z butami. Gdyby Maja Ostaszewska napisała, że aktorzy marnie zarabiają i ona potrzebuje tych pieniędzy (z reklamy), by działać społecznie, tak jak działa, to chyba byłoby bardziej zrozumiałe i wybaczalne niż wtedy, gdy tłumaczy, że firma, którą reklamuje, etycznie pozyskuje skóry... Bo są i rzeźnie, które zabijają etycznie..." – zauważa z ironią feministka. Środa zapewnia, że „oczywiście kocha Maję Ostaszewską i nie znosi hejterów", ale coś to wyznanie miłości nie brzmi nazbyt szczerze.

CO Z TYM IZRAELEM

Aferę eko przykryła inba eurowizyjna (jak zawsze o tej porze roku). Tegoroczny 70. Konkurs Piosenki Eurowizji wywołał ogrom emocji. W Polsce najgłośniej było o tym, że polskie jury przyznało najwyższą notę – 12 punktów – Izraelowi. Polscy jurorzy jako jedyni wśród wszystkich gremiów oceniających podjęli taką decyzję. W składzie komisji znaleźli się m.in. Viki Gabor, Staś Kukulski czy Eliza Orzechowska. W sieci błyskawicznie rozpętała się burza. Internauci nie dowierzają, że była to decyzja stricte muzyczna, a nie polityczna. Głos postanowił zabrać management Viki Gabor. „Management4Seasons informuje, że udział Viki Gabor jako jurorki w szeroko omawianym głosowaniu podczas Konkursu Piosenki Eurowizji 2026 dotyczył wyłącznie aspektów muzycznych. Spekulacje na temat ukrytych znaczeń pozostawiamy bez komentarza. Przypominamy, że Eurowizja to przede wszystkim święto muzyki i warto o tym pamiętać" – czytamy. To jednak nie do końca uspokoiło medialną wrzawę. Młoda wokalistka ujawniła więc, jak głosowała. „Szkoda, że tylu z was we mnie zwątpiło. Na mojej karcie do głosowania piosenka z Izraela była na 24. miejscu z 24 miejsc! I z tym was zostawiam" – tak zwróciła się do swoich fanów. Okaże się, że za rok nikt nie będzie chciał zasiadać w jury, bo to wstyd. No trochę wstyd. ©℗

eprasa.pl ca87f60a9b



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, od kilku dni jesteśmy z każdej strony bombardowani reklamami, informacjami, dosłownie zaszczuwani jesteśmy przekazem dotyczącym tzw. Dnia Matki, czyli święta, które ma powierzchownie promować matriarchat, ale gdzieś głęboko wewnątrz hołduje utrzymaniu tradycyjnego podziału na role, a już w ogóle odnosi się do przestarzałego, krzywdzącego i stygmatyzującego określenia „matka", które nie przystaje do współczesnych relacji związkowo-rodzinnych i dynamiki, która potrafi być niezwykle płynna.

Z naszego już nawet postprogresywnego punktu widzenia Dzień Matki powinien być już tylko interesującym (dla antropologów kultury) reliktem epoki przedprogresywnej, ponieważ bazuje na kilku założeniach uznawanych obecnie za co najmniej problematyczne. Po pierwsze, na co już zwróciliśmy uwagę, zakłada istnienie matki. Nie osoby opiekuńczej, nie jednostki wspierającej proces dojrzewania emocjonalnego, nie strażnika nr 1, nie rodzica nr 1, lecz właśnie matki, a więc figury biologicznej, osadzonej w tradycyjnym porządku rodziny, którego nowoczesna osoba obyta z mediami zasadniczo się wstydzi (poczekajcie, zaraz w czołowych mediach pojawi się festiwal wpisów o toksycznych matkach).



Po drugie, święto to w sposób brutalnie nieinkluzywny wartościuje kobiety poprzez macierzyństwo, a jednocześnie zmusza słabsze i mniej asertywne jednostki do obchodzenia go. I nagle, pod społeczną presją, ci sami ludzie, którzy jeszcze tydzień wcześniej tłumaczyli przy prosecco i matchy, że role rodzinne są konstruktem społecznym utrwalającym opresję współczesnego późnego kapitalizmu, biegną do kwiaciarni po storczyka dla mamy, wykonując zwrot ku konserwatywnemu porządkowi, a także, co jest o wiele bardziej niebezpiecznie, również ku konserwatywnym emocjom.

Poza tym Dzień Matki jest o tyle kłopotliwy, iż przypomina nam wszystkim, że nie dropnęliśmy nagle (jak to mówi młodzież) na stanowisku junior executive w korpo, ale pochodzimy z mniejszych ośrodków, gdzie ktoś nas wykarmił, ubrał, zaprowadził do szkoły, kazał nosić kalesony (co akurat z punktu widzenia czułej i nietoksycznej męskości bardzo propsujemy) i zjeść mięsko, a ziemniaki zostawić. Te wspomnienia są bardzo niekomfortowe dla jednostki aspirującej do formy autonomicznego bytu.

Dlatego też nie dziwimy się, iż z powodu istnienia matek tyle osób ma obecnie konflikty wewnętrzne i wymaga wsparcia psychoterapeutycznego (powtarzamy: czekajcie na artykuły w pewnym serwisie na „O"). Bo z jednej strony chce pozostać wierna (churching alert, widzicie, jak to trzeba uważać!) językowi i postawie emancypacji, 67. fali feminizmu i krytyki wymierzonej wobec tradycyjnych ról. Z drugiej jednak istnieje cała ta otoczka, której w masowej histerii trudno jest się opierać, a nie każdy, jak wskazywaliśmy, jest odporny na takie emocjonalne manipulacje.

Tak naprawdę to wydaje nam się, że więcej frendów z korpo, niż byłoby gotowych to przyznać, odbiera telefony i tłumaczy się, iż w pracy wszystko dobrze, zdrowo się odżywia, wcale tak dużo nie pije i dba o zdrowy sen, a z małego ośrodka przemyca tak, iżby nikt nie widział słoików po każdym dłuższym weekendzie xD. ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Putin Srutin

Ty, Donald, ale ten Magyar to jakaś ruska onuca jest.
W jakim sensie, Michał?

Ty widziałeś, co on dziennikarzom nagadał?! Że będziemy ruski gaz kupować!
No widziałem. Bo będziemy, przecież to jasne.

Ale Putin!
Putin Srutin, a żyć trzeba.

No, w sumie... Jak trzeba, to trzeba. Ale co ja mam dziennikarzom mówić?
Ty? Ty to akurat najlepiej nic nie mów. I nie pisz. Masz 60 dni bez Iksa.

Kto tak zdecydował?!
Ja. Jeszcze coś? ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„To IPN wybielił faszyzm bo czymże on jest przy okropnym komunizmie!".

MAGDALENA ŚRODA, *filozof, na Facebooku*

eprasa.pl ca87f60a9b

dwaj panowie g

Rozpoczęło się zjadanie najsilniejszej przystawki Donalda Tuska, którą jest Peezel. Niemiłościwie panujący nam premier zaczął podchodzić osobiście co istotniejszych działaczy zielonych braci. Co ciekawe, na pierwszy ogień poszła Magdalena Sobkowiak-Czarnecka. Jeśli jej nie kojarzycie, to jest ta pani, która swoją twarzą firmuje „das SAFE Programm". A swojego czasu była szefową sztabu wyborczego Władka Kosiniaka-Kamasza, kiedy ubiegał się był o prezydenturę.

Sobkowiak-Czarnecka kuszona jest miejscem na listach KO. Zasadniczo nie zagraża to nikomu z Peezelu, bo do tej pory nie była parlamentarzystką. W planie są zaś następne osoby od zielonych braci, które zamierza do partii przyciągnąć za krawaty Zły Donald z Sopotu. Plan jest taki, żeby po osiągnięciu masy krytycznej Peezel wywiesił białą flagę i wszyscy co istotniejsi zieloni bracia mieliby startować z list Koalicji.

Dobrze poinformowane wiewiórki insajderskie z okolic Koalicji Łobywatelskiej twierdzą, że plan jest jeszcze śmielszy. Otóż na słynnych spotkaniach na Parkowej, gdzie wykuwają się decyzje KO, powstał plan wymiany premiera w przyszłym roku. Ale nie Tuska na Sikorskiego. Tylko Tuska na Sobkowiak-Czarnecką. Ten śmiały ruch do przodu też jest dodatkowo sprytną pułapką na Peezel. No bo jak iść osobno do wyborów, kiedy się ma swoją kobietę jako szefa koalicyjnego rządu?

Na tym nie koniec zamieszania u zielonych braci. Mało kto wie, ale ugadani już byli na kampanię wyborczą z nowym niezależnym ruchem, którego patronem miał być Brzoska. Miał być, ale na razie nie będzie, gdyż ma kłopoty wizerunkowe po tym, jak jego żona urządziła techno-Wilanów. Plany unieważniono, a były wielkie, uwzględniające kandydatów wskazanych przez Brzoskę oraz wsparcie finansowe. No i teraz dupa blada.

Wszystko to będzie miało poważne skutki dla Peezelu. Bo jeśli Władek Kosiniak-Kamasz złamie publicznie daną obietnicę, że zieloni idą do wyborów osobno, to straci stanowisko szefa partii. Nawet wiemy, kto go zastąpi. To człowiek, który po cichu skupił w swych rękach największą władzę w dziejach Peezelu w XXI w., czyli Piotr Zgorzelski. Ten sam, który pisywał do miesięcznika „Historia Do Rzeczy". Mieliśmy w redakcji ambasadorów, możemy mieć i szefów partii. Czemu nie?

A co tam w partii? Ano morawianie triumfują, łażą, pokazując wszystkim wyniki sondaży i drwiąco mówią: „Macie swój efekt Czarnka". Mamy dla nich nieco soli trzeźwiących. Otóż jesteśmy przekonani, że gdyby prezes naczelnik szeregowy poseł wskazał był na przyszłego premiera Ojca Mateusza, to mielibyśmy taki sam „efekt Morawieckiego". Bo, widzicie, tu nie chodzi o kandydatów czy frakcje. Tu chodzi o to, że to się już nie sklei.

W związku z tym dziwią nas nikłe postępy rozmów w sprawie paktu senackiego. Tak się bowiem składa, że jest on absolutnie niezbędny, albo będzie rzeź. Z luźnych wyliczeń wynika, że jeśli PiS pójdzie do Senatu solo, to wprowadzi góra z 15 senatorów. A w pakcie dwóch Konfederacji i PiS ma szansę na większość. Nikt jednak o pakcie nie rozmawia, co przypomina nam tę chwilę, kiedy zajączek przechodzący nocą przez drogę zastyga nagle nieruchomo schwytany w światła. Nie wiemy, czy wiecie, ale te historie zwykle nie kończą się dobrze dla zajączków.

W miniony czwartek nastąpił pewien zonk. Otóż ku kompletnemu zaskoczeniu lokatorów w gmachu przy Ujazdowskich CBOS opublikował sondaż, z którego wynikało, że ponad połowa Polaków nie lubi Tuska i źle ocenia go jako szefa rządu. Nas, prawdę mówiąc, dziwi, że jedna trzecia ocenia go dobrze. Ale mniejsza z tym. Problem polega na tym, że CBOS to instytucja podległa de facto rządowi. A jeśli w rządowej sondażowni pojawiają się takie wyniki, to pojawia się też pytanie: A jak to jest, że w sondażowniach komercyjnych partia Tuska okupuje pierwsze miejsce i czasem nawet rośnie? Panowie G. są jednak zdania, że sondażownie zaczynają urealniać wyniki dopiero pół roku przed wyborami. Wcześniej robią raczej za pracownie kształtowania opinii publicznej niż jej badania.



FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Nasza ulubienica, minister kultury, gościła w miniony piątek na uroczystości wmurowania kamienia węgielnego pod Muzeum Księdza Jerzego Popiełuszki. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie fakt, że owa placówka jest już w dużej mierze gotowa i bliższa zatknięcia wiechy niż kładzenia fundamentów. Ale co tam. Wiechę też się urządzi. A potem otwarcie. Grunt, żeby Cienkowska mogła zaprezentować nowy look.

Nasza inna ulubiona minister, Barbara Nowacka, pojechała do Uzbekistanu. Piękne miejsce. Niektórzy pytają: Ale po co? No więc odpowiadamy: wielka mniejszość polska, polskie szkoły… A nie, nie, wróć! To w Kazachstanie. O co więc chodzi z Uzbekistanem? Aby to ustalić, przechodzimy w tryb zadawania pytań. Czy to prawda, że duża grupa studentów w Polsko-Japońskiej Akademii Technik Komputerowych pochodzi z Uzbekistanu? Czy to prawda, że rektorem szkoły jest ojciec pani minister, niejaki prof. Jerzy Paweł Nowacki? Tak tylko pytamy bez związku. Z Uzbekistanem, rzecz jasna.

Kiedy piszemy te słowa, nie znamy jeszcze wyników referendum w Krakowie, ale jak zwykle mamy dla was dwie wiadomości – dobrą i złą. Prezydent Miszalski został odwołany. To jest ta dobra wiadomość. Teraz zła: następnym prezydentem Krakowa też będzie Miszalski. Tyle że będzie się inaczej nazywał. ©℗

epr...

Podniebny spektakl nad Świdnikiem

Najpierw słychać dźwięk silników. Chwilę później nad lotniskiem zaczyna się powietrzny spektakl, który sprawia, że tłum milknie, wpatrzony w niebo. V Świdnik Air Festival znów udowodni, że lotnictwo to coś więcej niż tylko technika. To emocje, które trudno porównać z czymkolwiek innym.

Nieprzypadkowo to Świdnik stał się gospodarzem jednego z najpiękniejszych wydarzeń lotniczych we wschodniej Polsce. To miasto wyrosło z lotnictwa – poczynając od Cywilnej Szkoły Pilotów Ligi Obrony Powietrznej i Przeciwgazowej im. Marszałka Rydza-Śmigłego, który uczestniczył w jej uroczystym otwarciu, a kończąc na zakładach PZL-Świdnik produkujących śmigłowce oraz środowisku ludzi, dla których samoloty to nie tylko hobby.

– Świdnik Air Festival to coś więcej niż wydarzenie plenerowe. To festiwal, który wyrósł z lokalnej tradycji i autentycznej pasji do latania. Cieszy nas, że z każdą kolejną edycją przyciąga coraz większą publiczność – zarówno fanów awiacji, jak i całe rodziny, które chcą zobaczyć widowisko rzadko spotykane w tej części Polski – mówi Marcin Dmowski, burmistrz Świdnika.

Tegoroczna odsłona zapowiada się intensywnie. Organizatorzy – Miejski Ośrodek Kultury w Świdniku i Miasto Świdnik – przygotowali pokazy najlepszych pilotów akrobacyjnych oraz legendarnych statków powietrznych.

13 czerwca nad lotniskiem trawiastym pojawią się, m.in. Bell UH-1 „Huey", bombowiec Douglas A-26C Invader „Sweet Eloise II", SAAB AJS 37 Viggen, Aero-SPARX, TS-11 Iskra, Bölkow Bo 105. Publiczność zobaczy również Artura Kielaka na Gamebirdzie GB-1, Łukasza Czepielę na Edge 540, Grupę Akrobacyjną Firebirds latającą na samolotach Extra 330 czy Váriego Gyula na samolocie Yak-55.

To jednak nie wszystko. Na uczestników czekać będą także pokazy motoszybowców, historycznych konstrukcji i maszyn akrobacyjnych.

Świdnik Air Festival to jednak nie tylko podniebne pokazy. Wiele będzie działo się także na ziemi. Na wystawie statycznej pojawią się m.in. sprzęt wojskowy, straży pożarnej i policji, motocykle oraz samochody retro. Swoje stoiska przygotują także Muzeum Sił Powietrznych w Dęblinie, Lotnicza Akademia Wojskowa, Wojskowe Centrum Uzupełnień czy Gminne Obserwatorium w Mełgwi.



Na uczestników czekać będzie również strefa edukacyjno-historyczna „Historia Lotnictwa Polskiego", łącząca w sobie nowoczesne technologie z pasją do awiacji. W programie znalazły się interaktywna wystawa poświęcona dziejom polskiego i świdnickiego lotnictwa, symulator lotów oraz prezentacja modeli samolotów i śmigłowców.

Nie zabraknie też atrakcji dla osób szukających artystycznych wrażeń. W strefie art & music odbędą się warsztaty ekologiczne, malowanie technikami action paintingu, pokaz tworzenia graffiti, a o muzyczną oprawę zadba DJ Adi Tomala. To właśnie tam uczestnicy Świdnik Air Festival spotkają pilotów, zbiją z nimi piątkę, poproszą o autograf i porozmawiają o ich lotniczym życiu.

Agata Flisiak

Wydarzenie odbędzie się 13 czerwca na lotnisku trawiastym w Świdniku. Bilety dostępne są na biletyna.pl.

ARTYKUŁ SPONSOROWANY

eprasa.pl ca87f60a9b



eprasa.pl ca87f60a9b

DYPLOMATYCZNA ROZGRYWKA PEKINU. PUTIN U XI TUŻ PO TRUMPIE

Gdy tydzień temu publikowaliśmy zdjęcie, jak przywódca Chin z honorami przyjmował amerykańskiego prezydenta Donalda Trumpa, do lotu do Pekinu szykował się już przywódca Rosji Władimir Putin. Podobnie jak Trump został przez Xi przyjęty z najwyższymi honorami. Choreografia obu wizyt była tak bardzo podobna, że to niemożliwe, by był to przypadek. Zarówno przywódcę Ameryki, jak i Rosji w stolicy Chin witały orkiestra wojskowa, kompania reprezentacyjna, a także dziesiątki dzieci radośnie machających flagami (chińskimi oraz amerykańskimi/rosyjskimi). Chińskie władze pokazały w ten sposób, że potrafią rozmawiać z przywódcami różnych mocarstw.

Chińczycy zadbali jednocześnie o subtelne różnice. Na przykład Trumpa na lotnisku witał wiceprezydent Han Zheng, a Putina szef dyplomacji Wang Yi. I chociaż wiceprezydent w teorii jest wyżej w hierarchii, to jest to funkcja głównie reprezentacyjna. Wysłanie na lotnisko szefa dyplomacji (z realnymi wpływami w partii) można zaś odczytywać jako sygnał, że budujący nowy, wielobiegunowy świat, Pekin mimo wszystko bardziej ufa Moskwie.

Obie wizyty łączył jednak fakt, że gościom – przynajmniej oficjalnie – niewiele udało się w Pekinie ugrać. ***(jap)*** ©℗

FOT. RUSSIAN FOREIGN MINISTRY'S OFFICE/ZUMA PRESS/FORUM



eprasa.pl ca87f60a9b



Niespodzianki kardynała Rysia

eprasa.pl ca87f60a9b



Kardynał Grzegorz Ryś wciąż powtarza, że niczego nie głosi od siebie, a podaje tylko naukę papieży, ale nie zawsze brzmi to wiarygodnie FOT. ŁUKASZ GĄGULSKI/PAP



Paweł Chmielewski

Kardynał Grzegorz Ryś lubi zaskakiwać. Problem w tym, że zaskakuje głównie tradycyjnie wierzących Polaków. Rozdźwięk między opinią wiernych a jego poglądami na temat liturgii, relacji z Żydami czy ekumenizmu jest coraz poważniejszy

Cechą Kościoła katolickiego jest stałość. Świat nieustannie się zmienia, ale od Kościoła można zawsze oczekiwać mniej więcej tego samego. Owszem, wiele aspektów życia kościelnego ulega przeobrażeniom, niekiedy nawet dość znacznym, ale wierni zakładają, że wierzą dokładnie w to samo, w co wierzyli ich przodkowie – 50, 150 i 1500 lat temu. To przekonanie jest w ostatnim czasie wystawiane w Polsce na poważną próbę. Główną rolę odgrywa tu kard. Grzegorz Ryś, przez lata arcybiskup Łodzi, a od niedawna metropolita czcigodnego Krakowa. Od arcypasterza akurat tej diecezji oczekiwalibyśmy dość naturalnie funkcji jednoczącej wszystkich Polaków. Wprawdzie prymasem jest kto inny, ale Kraków to Kraków; od pokoleń odgrywa szczególną rolę w duchowym krajobrazie naszej ojczyzny.

Kiedy w dawnej stolicy Karola Wojtyły rządził abp Marek Jędraszewski, nieustannie narzekała lewica: zbyt bliski Prawu i Sprawiedliwości; za prawicowy; skostniały; niechętny homoseksualistom… Skargom nie było końca. Cokolwiek by powiedzieć na temat okresu jego posługi, jedno było pewne: nawet jeżeli arcybiskup polaryzował ze względów politycznych, to w najważniejszych kwestiach uczył po prostu tego, czego uczył zawsze Kościół katolicki. Nowy metropolita Krakowa wciąż powtarza, że niczego nie głosi od siebie, a podaje tylko naukę papieży, ale nie zawsze brzmi to wiarygodnie. Znacząca grupa regularnie praktykujących katolików ma poważną trudność z przyjęciem jego tłumaczeń. Dyskusje, które przetaczają się

eprasa.pl ca87f60a9b

w ostatnich miesiącach przez media, w tym media społecznościowe, świadczą o tym dobitnie: zwyczajny polski zmysł wiary (sensus fidei, jak mówią teologowie) każe powątpiewać, czy nauki głoszone przez kard. Rysia są całkowicie adekwatne wobec tego, co zawsze uchodziło w naszym kraju za wykład katolickiej wiary.

Weźmy na przykład liturgię. Msza – rzecz święta, o tym wiedzą nawet ci, którzy nie chodzą zbyt często do kościoła. Każdy rozumie, że wspólnota wiernych gromadzi się przed ołtarzem Chrystusa, na którym kapłan, jako jej przewodniczący, składa Najświętszą Ofiarę. Być może dlatego w 2021 r. wybuchł w całym kraju tak wielki szok. Arcybiskup Ryś – wówczas jeszcze w Łodzi i bez biretu kardynalskiego – zgromadził dużą grupę młodzieży na jednym ze stadionów. Modlitwa, śpiewy, nabożeństwa, dobra i – wydawałoby się – pobożna zabawa. Ku zdziwieniu samych uczestników protagonista całego przedsięwzięcia znienacka ogłosił: jesteście na Mszy Świętej! Mówiąc krótko, kardynał postanowił zaskoczyć zebranych i ułożył dla nich bezprecedensową liturgię, w której brali udział, wcale o tym nie wiedząc… To bardzo ciekawe w naszej epoce, bo od początku XIX w. trwają w Kościele katolickim starania o to, by przybliżyć wiernym tajemnicę Mszy Świętej. Mówi się w tym kontekście o tzw. aktywnym uczestnictwie (participatio actuosa). Takie aktywne uczestnictwo, czyli w pełni świadome i pobożne przeżywanie Eucharystii – oto ideał katolickiego ruchu odnowy liturgicznej. Stadionowa Msza Święta była tego jako żywo pełnym zaprzeczeniem: oto uczestnictwo, o którym sam uczestnik dowiaduje się ex post, potraktowany protekcjonalnie, z góry, jak małe dziecko, które nie musi w ogóle wiedzieć, co się dookoła niego dzieje… Zostawmy jednak ludzkie emocje, w końcu w liturgii chodzi o Boga – to On powinien zostać uczczony. Właśnie po to Kościół opracował wiele przepisów liturgicznych. Tych na stadionie zupełnie nie dochowano.

Wybuchła spora afera; głos zabrał nawet bp Piotr Greger, przewodniczący Komisji do spraw Kultu Bożego i Dyscypliny Sakramentów przy Konferencji Episkopatu Polski, upominając abp. Rysia. Przyszły kardynał przeprosił urażonych, przyznał się do naruszenia przepisów – i na tym sprawa mogłaby się zakończyć. Tak się nie stało. Główny bohater został zapytany o tamte wydarzenia w niedawnym, szeroko komentowanym wywiadzie dla Bogdana Rymanowskiego. Jak stwierdził, zapytał później w Watykanie, czy postąpił właściwie. Tam miał się dowiedzieć, że ekstrawagancka Msza Święta została po prostu „dobrze zrobiona"… Kilka lat później, przy okazji jednej z konferencji prasowych, pytałem kardynała o jego podejście do liturgii. Powiedział mi wówczas, że – jak dowiedział się znowu w Watykanie – posoborowa reforma liturgiczna tak naprawdę jeszcze się nie dokonała, bo Msza Święta wciąż jest „teatrem jednego aktora". Chciałoby się powiedzieć: prawda, właściwym aktorem na Mszy Świętej jest przecież sam Jezus Chrystus, a my wszyscy – ksiądz i świeccy – tylko staramy się partycypować w tym boskim przedsięwzięciu. Zdaje się, nie o to chodziło jednak metropolicie Krakowa. Miał na myśli raczej fakt rzekomego nieprzyjęcia jakichś rewolucyjnych idei liturgicznych wśród szerszego ludu…

Czytelnik wybaczy, że poświęcam tej kwestii aż tyle czasu, ale rzecz wydaje mi się pod wieloma względami symptomatyczna. Mamy tu przecież wszystko w pigułce: lekkie traktowanie Tradycji Kościoła, zlekceważenie wrażliwości wiernych, gotowość do zaskakujących eksperymentów; wreszcie gorące zapewnienia, że nawet jeżeli Polacy są w szoku, to przecież w Watykanie mówią, że wszystko jest w porządku!; a tam, w Watykanie, wiedzą jakoby, jaki jest „prawdziwy sens" różnych ważkich spraw, nawet jeżeli ogół katolików jeszcze niczego o tym nie słyszał…

PRZERZUCANIE ODPOWIEDZIALNOŚCI

Ten sam schemat zdaje się przejawiać w podejściu kard. Rysia do innego tematu, a mianowicie do relacji z Żydami. Zanim przejdę do spraw czysto teologicznych, zatrzymam się najpierw przy kwestiach bardziej historycznych i ściśle związanych z Polską. W styczniu tego roku brałem udział w innej konferencji prasowej z udziałem krakowskiego metropolity. Rzecz była poświęcona przygotowaniom do osławionego „Dnia Judaizmu w Kościele katolickim". Jeden z dziennikarzy zapytał kardynała, jak, jego zdaniem, Kościół powinien odnosić się dziś do sprawy Holokaustu. Kardynał odparł: „Jest takie zdanie Norwida, które ksiądz profesor Tischner kochał cytować. »Nadzieja rodzi się z prawdy«. Nie można budować nadziei, także dla człowieka dzisiejszego, jeśli się ucieka od prawdy o tym człowieku. Zagłada jest strasznym fragmentem prawdy o człowieku [...]. Nieraz uczestniczyłem w dyskusjach na temat, czy Zagłada może się powtórzyć. Nie zapomnę odpowiedzi udzielonej przez rabina, który był też ocalałym z Zagłady. Powiedział, że skoro się wydarzyła, to może się powtórzyć. Wtedy, kiedy działa się po raz pierwszy, to też nikt nie myślał, że jest w ogóle do pomyślenia. Ale się stała. Ludzie dokonali tego strasznego działania [...]. To jest prawda o nas".

Promując Dzień Judaizmu, kard. Ryś powiedział, że jeżeli Polacy nie będą pamiętać o Żydach, którzy żyli w naszym kraju, to swoją obojętnością będą „potwierdzać dzieło Zagłady"

Kiedy słuchałem tej wypowiedzi, zastanawiałem się: Zaraz, jakim „człowieku"? Jakich „nas"? Prawda, autorzy Zagłady byli ludźmi, ale Holokaust ma przecież konkretnych sprawców, stała za nim konkretna ideologia, a mianowicie niemiecki, rasistowski szowinizm. Czy można przerzucać odpowiedzialność za tę bezprecedensową historyczną zbrodnię na „człowieka" jako takiego? Wydawałoby się, że odrobiliśmy już w Polsce tę lekcję: ile debat, artykułów i książek o polityce historycznej ukazało się w ostatnich latach; jak dobrze obnażono metody, którymi posługuje się Republika Federalna Niemiec, by rozwodnić własne sprawstwo w rzekomo ogólnej, europejskiej współodpowiedzialności za systemowe mordowanie Żydów. Kardynał Ryś mówił jednak tak, jakby tej debaty wcale nie znał; jakbyśmy byli w punkcie wyjścia, gdzieś w 2000 r., kiedy dopiero ukazała się książka „Sąsiedzi" Jana Tomasza

eprasa.pl ca87f60a9b

Grossa, oskarżająca Polaków o zbrodnię w Jedwabnem. Zna przecież, a jednak decyduje się na przyjęcie retoryki, która miła jest wyłącznie uchu stałych czytelników „Gazety Wyborczej".

Taka narracja nie pojawiła się u metropolity Krakowa po raz pierwszy. W 2018 r. ogłosił np., że „Zagładę stworzyli ludzie, w dużej mierze – trzeba to powiedzieć z bólem serca i przyznaniem się do winy – ludzie, których Kościoły chrześcijańskie wychowały też na swoich nabożeństwach". Cóż, czy Adolfa Hitlera i ludzi jego pokroju w jakikolwiek sposób definiował fakt otrzymania w niemowlęctwie chrztu? A może raczej w pełni świadome i kategoryczne odrzucenie wiary na rzecz ateizmu albo nawet pogaństwa, o głębokiej różnicy pomiędzy podejściem katolików i protestantów do ideologii NSDAP już nawet nie wspominając? Pytania, wydawałoby się, retoryczne…

Z kolei w 2024 r., promując Dzień Judaizmu, kard. Ryś powiedział, że jeżeli Polacy nie będą pamiętać o Żydach, którzy żyli w naszym kraju, to swoją obojętnością będą „potwierdzać dzieło Zagłady". Brzmi mocno, dosadnie, ale – znowu – czy naprawdę można wiązać obchodzenie narzucanego przez jakąś grupę duchownych Dnia Judaizmu z jakiegoś rodzaju wsparciem dla dzieła niemieckich zbrodniarzy? Większość Polaków pamiętających o męczeństwie i heroizmie wielu polskich katolików podczas okupacji przez III Rzeszą takie słowa uznaje po prostu za obraźliwe.

KONTROWERSYJNY LIST

Zostawmy historię i politykę, to w Polsce już tradycyjnie nas dzieli. Łączyć powinna chociaż katolicka doktryna – również w aspekcie podejścia do judaizmu. Niestety, z tym problem jest chyba jeszcze większy. Sprawa religijnego podejścia kard. Rysia do Żydów kulminowała 22 marca tego roku, kiedy Konferencja Episkopatu Polski poleciła do odczytania w kościołach swój słynny list. Trzeba obiektywnie przyznać, że w najnowszej historii naszego kraju chyba jeszcze żaden inny publiczny akt polskich biskupów nie wzbudził takiego oporu społecznego. W liście stwierdza się kategorycznie, jakoby „Izrael pozostawał nadal narodem wybranym". Tekst głosi też, że „Żydzi są uczestnikami Bożego zbawienia" i pozostaje „niezgłębioną tajemnicą Bożą", jak to możliwe „bez wyraźnego wyznawania Chrystusa". Głównym autorem listu jest sam kard. Ryś, który przewodniczy Komitetowi do spraw Dialogu z Judaizmem przy Konferencji Episkopatu Polski.

W sprawie Żydów mamy zatem ten sam schemat, co w przypadku liturgii. Tradycja Kościoła jest traktowana jako zmienna czy wręcz plastyczna

Merytoryczna zawartość tego tekstu została już gruntownie przedyskutowana. Głos zabierali profesjonalni teologowie, w tym bibliści, jak choćby ks. prof. Waldemar Rakocy CM. Nie ma sensu powtarzać ich krytyki – poważnej i dobrze udokumentowanej odwołaniami do Pisma Świętego i nauki Kościoła. Zwrócę tu uwagę tylko na dwa elementy. Słowa z listu Episkopatu mówiące o Izraelu jako narodzie wybranym zostały opatrzone przypisem, który odsyła do Listu św. Pawła do Rzymian, nauczania Soboru Watykańskiego II, Katechizmu Kościoła Katolickiego i jednego z dokumentów papieża Franciszka. Problem w tym, że feralne stwierdzenie o trwającym wybrańskie Żydów nie jest obecne w żadnym z przywoływanych źródeł. Czytamy tam raczej, że Pan Bóg nie odwołał swojego przymierza z Żydami – co jest oczywiście prawdą, którą Kościół zawsze wyznawał. Bóg nie odwołuje przymierza, ale osobną rzeczą jest niewypełnienie go przez wyznawców judaizmu, którzy odrzucają Jezusa Chrystusa. Właśnie dlatego, że wyznawcy judaizmu nie przyjęli Zbawiciela, ten sam Sobór Watykański II dobitnie określa Kościół katolicki „nowym Ludem Bożym". Jak mówi klasyczna logika, jeżeli Kościół jest nowym Ludem Bożym, to pozostający poza Kościołem nie mogą być równocześnie Ludem Bożym…

Druga sprawa to nieustanne powoływanie się przez list z 22 marca na watykański tekst pt. „Bo dary łaski i wezwanie Boże są nieodwołalne" z 2015 r., który wyszedł z Komisji do spraw Kontaktów Religijnych z Judaizmem Papieskiej Rady do spraw Popierania Jedności Chrześcijan. O tym tekście pisałem na łamach „Do Rzeczy" już kilkukrotnie. Nie dość przypominać, że choć mówimy o materiale Watykanu, to rzecz jest nieporównywalnie mniej autorytatywna niż uroczyste nauczanie Soboru Watykańskiego II, które potwierdza w pełni ortodoksyjną naukę o tym, że przymierze Pana Boga znajduje partnera w Kościele, a nie w żadnym niekatolickim narodzie. Tymczasem w feralnym liście tekst z 2015 r. figuruje jako źródło obdarzone powagą, której od strony formalnej wcale nie posiada.

W sumie ogromna liczba Polaków zareagowała na list biskupów wręcz alergicznie. Przyczyna jest prosta. Przez 2000 lat katolicy słyszeli, że ci, którzy odrzucili Jezusa Chrystusa, powinni się nawrócić i przyjąć wiarę katolicką. Nagle słyszą zupełnie inną opowieść. Trudno w tej sytuacji o zachowanie spokoju…

W sprawie Żydów mamy zatem ten sam schemat, co w przypadku liturgii. Tradycja Kościoła jest traktowana jako zmienna czy wręcz plastyczna, wrażliwość wiernych i ich głębokie przekonania religijne uznaje się paternalistycznie za niedojrzałe, by wreszcie uzasadnić ekstrawagancję rzekomym zakorzenieniem w nauce z Watykanu – nawet jeżeli z równym powodzeniem można byłoby cytować teksty watykańskie dowodzące dokładnie przeciwnej tezy.

Do tego dochodzi kontekst polityczny. Wiadomo, że zaangażowanie kard. Rysia na rzecz walki z antysemityzmem jest w ostatnim czasie swego rodzaju odpowiedzią na relatywnie nowe zjawisko polityczne, które stało się faktem za sprawą działalności Grzegorza Brauna: wykorzystywaniem tematu żydowskiego dla zdobywania głosów. Postawę Brauna można oceniać bardzo różnie; ja sam wiele jego wypowiedzi, zwłaszcza tych dotyczących przebiegu Holokaustu, uważam za dość nieszczęśliwe. Trudno jednak zaprzeczyć, że właściwym kontekstem popularności „żydowskiej" działalności Brauna nie jest wcale jakaś polska ukryta emocja antysemicka, ale… niezwykle brutalna polityka Państwa Izrael. Przecież wiele organizacji międzynarodowych uważa, że pod rządami Beniamina Netanjahu władze żydowskie dopuszczają się regularnego ludobójstwa. Przemoc nie jest wymierzona wyłącznie w muzułmańskich Palestyńczyków, choć i to byłoby wystarczające,

eprasa.pl ca87f60a9b

by podnosić protest. Jej ofiarą padają też chrześcijanie. Niszczone są kościoły, giną nawet duchowni, chrześcijanie w Izraelu są dyskryminowani albo wprost napadani. Trudno zbyć to wszystko milczeniem. Polacy, będący w większości katolikami, są w naturalny sposób wrażliwi na ludzkie cierpienie, zwłaszcza na cierpienie chrześcijańskich braci w wierze.

We wspomnianej już rozmowie z Bogdanem Rymanowskim kard. Ryś zadeklarował, że kiedy dochodzi w Izraelu do aktów przemocy wobec chrześcijan, on sam reaguje. Przyznał też, że w liście zabrakło rozróżnienia pomiędzy antysemityzmem a krytyką polityki Państwa Izrael. Rzeczywiście, kiedy Żydzi uniemożliwili kard. Pierbattiście Pizzaballi odprawienie liturgii Niedzieli Palmowej w Bazylice Grobu Bożego w Jerozolimie, metropolita Krakowa wydał krytyczne oświadczenie. Oświadczenie to były jednak dwa – dosłownie dwa – zdania. Ktoś mógłby gorzko stwierdzić, że to dość niewiele, zwłaszcza w porównaniu z trwającą od lat wielką kampanią na rzecz Dni Judaizmu, niezliczonymi już wypowiedziami przeciwko antysemityzmowi i wreszcie bardzo długim listem z 22 marca. Nie dziwi wrażenie wielu Polaków, że nie ma tu żadnej adekwatności.

OTWARCIE NA EKUMENIZM

Do omówionych spraw dochodzą jeszcze kontrowersyjne poglądy kardynała na temat ekumenizmu. Pisałem o nich w „Do Rzeczy" już niejednokrotnie, bo rzecz wraca od lat jak bumerang. Przypomnę tu tylko dwa, niezwykle symptomatyczne wydarzenia. W 2022 r. na terenie Łodzi odbyło się pod patronatem ówczesnego abp. Rysia duże spotkanie ekumeniczne pod hasłem „Już czas!". Wydarzenie reklamowano jako miejsce, gdzie zbierają się „liderzy Kościoła". Jako takich przedstawiono zarówno katolickich biskupów, jak i duchownych protestanckich; świeckich aktywistów Kościoła i zielonoświątkowych kaznodziejów… Podobnie było rok wcześniej, na otwarciu procesu synodalnego w Łodzi. Arcybiskup Ryś zaprosił wówczas do kościoła pana Marka Izdebskiego, który we wspólnocie kalwińskiej pełni funkcję superintendenta, jakby biskupa. Określał go właśnie mianem „biskupa", jakby był na swoim urzędzie równy katolickiemu hierarsze.

Szokować, owszem, można. Pytanie tylko: Po co? Czy warto traktować polskich katolików, jakby byli religijnie głęboko niedouczeni, i podważać ich głębokie przekonania religijne?

Dziwaczne zapatrywania ekumeniczne starły się znowu z mocnym przekonaniem, którego Polacy wyuczyli się przez wieki: nie ma zbawienia poza Kościołem, a protestantyzm to błąd, a nie jakieś równoległe i równoprawne chrześcijaństwo…

Notabene, kiedy w 2026 r. rozpoczął się synod w Krakowie, metropolita zaprosił, owszem, katolickiego kardynała. Wybrał jednak w tym celu Luksemburczyka Jeana-Claude'a Hollericha, zwolennika zmian w celibacie czy nowej oceny homoseksualizmu… Wyglądało to tak, jakby kard. Ryś zgadzał się z poglądami Hollericha. Cóż, w Wielki Piątek na łamach „Gazety Wyborczej" ukazał się wywiad z metropolitą Krakowa, gdzie ogłosił, że „gdy chodzi o rozumienie prawd moralnych, każdy może mieć inne. W tej kwestii różnorodność jest możliwa". Kardynał dodał wprawdzie, że wierzący powinien „czytać teksty i słuchać tego, co jest w nurcie żywej tradycji Kościoła", ale zdanie i tak zabrzmiało jak usprawiedliwienie dla pluralistycznego moralnie społeczeństwa. W kontekście czytelników „Wyborczej", których światopogląd na ogół silnie odstaje od katolickiego, to niezwykle ryzykowne zdanie. Szokować, owszem, można. Pytanie tylko: Po co? Czy warto traktować polskich katolików, jakby byli religijnie głęboko niedouczeni, i podważać ich głębokie przekonania religijne? Pewnie, polscy katolicy nie są idealni. Mamy jednak za sobą tysiąc lat katechizacji, mamy swój sensus fidei. Można argumentować, że warto ten sensus fidei nieco bardziej uszanować.

Kardynał ma prawo do własnych poglądów politycznych i historycznych. Jak każdy duchowny i wykształcony teolog ma prawo do własnych poglądów teologicznych. Jednak mieć własne poglądy, a narzucać je innym, wykorzystując pozycję i władzę – to rzecz zupełnie inna. Józef Ratzinger uchodzi za jednego z najwybitniejszych teologów wieków XX i XXI. Był autorem ogromnej liczby dzieł teologicznych. „Własną" teologię uprawiał jednak przede wszystkim do 1977 r. – zanim został biskupem. Kiedy objął oficjalny urząd pasterski w Kościele, schował prywatne poglądy do kieszeni i zaczął głosić wiernie to, czego zawsze nauczał Kościół. Jak sam mówił i pisał, był przekonany, że to konieczne z racji na powagę zadania, które zostało mu powierzone: reprezentować Tradycję katolicką, a nie samego siebie. Ratzingera można oceniać różnie, lepiej albo gorzej – ale trudno zaprzeczyć, że dokładał starań, by dochować wierności tej zasadzie powściągliwości prezentowania własnych opinii.

GDZIE TA JEDNOŚĆ?

Wydaje się, że to dobry wzór sprawowania władzy w Kościele. Sytuacja, w której pasterz niejako przekracza własny urząd i zamiast wiernych umacniać i jednoczyć, woli ich szokować, to praktyka niezwykła i bardzo niepokojąca. To prawda, że na wielką skalę doświadczyliśmy jej w latach 2013–2025, kiedy Kościołem rządził papież Franciszek. Znowu, niezależnie od oceny jego pontyfikatu, trudno zaprzeczyć: to był czas wielkiego chaosu i konfliktów wewnątrz Kościoła. Jorge Mario Bergoglio wciąż zaskakiwał. Lekko traktował Tradycję, narzucał własną interpretację doktryny, zachowywał się w sposób ekstrawagancki. Czysta Ewangelia – powie zwolennik. Tworzenie podziałów – stwierdzi krytyk.

Tak czy inaczej, era Franciszka już się zakończyła. To był czas bezprecedensowy, niezwykły – i chyba dobrze, żeby taki właśnie pozostał. Obecny Ojciec Święty, Leon XIV, przyjął za swoją dewizę słowa św. Augustyna „In Illo uno unum", czyli „W Nim jednym stanowimy jedno". Czy papieżowi uda się zrealizować zadanie zaprowadzenia w Kościele jedności, to osobne pytanie. Byłoby jednak dobrze, gdybyśmy przynajmniej postarali się o taką jedność w Polsce. Protekcjonalne traktowanie wrażliwości i głębokich religijnych przekonań wiernych poprzez nieustanne prowokacje, jak sądzę, budowaniu jedności bynajmniej nie służy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest publicystą portalu PCh24.pl.

eprasa.pl ca87f60a9b



Z Dawidem Mysiorem, twórcą i autorem kanału Sprawki na YouTube
rozmawia Ryszard Gromadzki

Drzewa o zatrutych owocach



FOT. DAWID MYSIOR/FACEBOOK

RYSZARD GROMADZKI: „Wyszli oni z nas, lecz nie byli z nas". Ta fraza z I Listu św. Jana Apostoła wraca do mnie po kolejnych wypowiedziach publicznych i gestach kard. Grzegorza Rysia, metropolity krakowskiego. Zgodzi się pan, że takie poczucie niepokoju może towarzyszyć wielu katolikom w Polsce i jest to całkowicie naturalna reakcja na naznaczone głębokim relatywizmem nauczanie kard. Rysia i jego „duszpasterski styl"?

DAWID MYSIOR: Pyta pan o uczucie niepokoju towarzyszące katolikom w Polsce. Myślę, że rzeczywiście może ono towarzyszyć wielu, ale dotknie raczej tych, którzy albo odcięci byli od treści płynących od lat z Watykanu, albo żyli w przeświadczeniu, że Kościół w Polsce to odrębna rzeczywistość niż ten „na Zachodzie". Odnoszę wrażenie, że polscy kapłani oraz polskie media katolickie, znając mentalność polskich katolików, ich zmysł wiary, który jest zdrowszy niż średnia na Zachodzie, od dziesięcioleci dostosowują do tej mentalności swój przekaz – zarówno w artykułach, jak i z ambon, w wyniku czego polski katolik może żyć w przeświadczeniu, że niepokojące go sygnały z Watykanu to jakieś drobne nieporozumienia, może błędy w tłumaczeniu na język polski, ewentualnie autonomiczne opinie jednego czy drugiego ekscentrycznego hierarchy. Gdy zatem polski kardynał, w dość przyspieszonym tempie, przynosi na nasz grunt coś, co jest oficjalną linią Watykanu, rzeczywiście wielu z nas może odczuć niepokój. Należy jednak mieć na uwadze, że treści kard. Rysia nie są niczym nowym i że błędy te, przez ostatnie 60 lat, bardzo się w Kościele rozprzestrzeniły. Czymś nowym i szokującym mogą się one wydawać właśnie Polakom.

Kościelna kariera obecnego metropolity Krakowa nabrała rozpędu za pontyfikatu papieża Franciszka. Bez „przewrotu franciszkańskiego", który dokonał się w Kościele katolickim za sprawą Jorge Bergoglia, zbudowanie tak znaczącej pozycji w Kościele w Polsce przez kard. Rysia byłoby w ogóle możliwe?

Osobiście nie dostrzegłem „przewrotu franciszkańskiego", ponieważ „przewrót" w tym przypadku rozumiem jako naglą zmianę kierunku. Owszem, widzę pontyfikat papieża Franciszka jako bardzo zauważalne przyspieszenie, jednak z zachowaniem kierunku, w który przez ostatnie dziesięciolecia hierarchowie usiłują zaprowadzić Kościół. Mianowanie kardynałów wydaje się tutaj niestety narzędziem niejako politycznym, gdzie kluczem ich doboru jest zgodność ze współczesną, posoborową linią. Wśród 163 kardynałów mianowanych przez papieża Franciszka nie umiem znaleźć ani jednego, który jasno wskazywałby niemożliwe do pogodzenia różnice między nauczaniem posoborowym a tradycyjnym. Wszystko to zatem, a przynajmniej absolutna ich większość, duchowni o umysłach przylegających do modernizmu. Kardynał Ryś nie stanowi tu wyjątku.

A może i bez pontyfikatu papieża z Argentyny duch modernizmu prędzej czy później dotarłby do Polski i „przeorałby ziemię" nie tylko krakowskiego Kościoła, mówiąc słowami kard. Rysia? „Oraczy" w łonie Episkopatu pewnie by nie zabrakło.

Ów „duch" modernizmu dotarł do Polski długo przed pontyfikatem papieża Franciszka. Modernizm, nazwany przez św. papieża Piusa X „ściekiem wszystkich herezji", jest systemem myślowym, którego błędy są równie poważne, co subtelne. Jest to szatańsko inteligentny system ledwie dostrzegalnych przewartościowań, zmian znaczeń słów, zmian akcentów czy nawet punktów ciężkości w zdaniach. Dość trudno jest ludowi Bożemu dostrzec te błędy w słowach modernistów, ale ów „duch", jak to pan redaktor nazwał, prędzej czy później zawsze się ujawni. Jego źródłem nie był pontyfikat papieża Franciszka, a otwarcie drzwi Kościoła dla wyżej wymienionego „ścieku wszystkich herezji", które nastąpiło przez Sobór Watykański II, reformę (rewolucję) liturgiczną, nowy (niebieski) katechizm oraz, o czym też warto wspomnieć, zmiany celów małżeństwa katolickiego zawartych w nowym Kodeksie prawa kanonicznego. To wszystko są ziarna, z których prędzej czy później muszą wyrosnąć drzewa z zatrutymi owocami. Przy czym pytał pan

eprasa.pl ca87f60a9b

o scenariusz bez pontyfikatu papieża Franciszka i tu powstaje pytanie, kto byłby, w tej alternatywnej rzeczywistości, papieżem. Jeżeli byłby to katolik odrzucający błędy modernizmu, który zawróciłby Łódź Piotrową z kursu na „Kościół synodalny", to z pewnością już dziś rzeczywistość w Kościele byłaby zupełnie inna.

Gdzie pana zdaniem należy upatrywać źródeł manifestacyjnego progresizmu kard. Rysia? Nominalnie można go przypisać do tzw. pokolenia JP II, które – jak widać z perspektywy czasu – okazało się tylko wydmuszką w sensie społecznego oddziaływania. Krakowski hierarcha często przyznaje się do związków z Ruchem Światło-Życie, który dla kilku generacji wierzących Polaków, wchodzących w dorosłe życie w latach 70. i 80. ubiegłego wieku, był symbolem radosnego katolicyzmu. Czy „katoliccy hippisi", których przynajmniej swoją zewnętrznością i formami religijnej ekspresji przypominali uczestnicy ruchu oazowego, mogli być kuźnią kadr dla przyszłych reformatorów polskiego Kościoła?

Kuźnią kadr dla przyszłych reformatorów Kościoła może być każde środowisko nieodrzucające współczesnych błędów. Zaprzeczenie choćby jednej prawdy wiary niszczy całą wiarę i jest tak nawet wtedy, gdy owo zaprzeczenie jest w danym momencie historii niemal zupełnie powszechne. Założyciel wspomnianego przez pana Ruchu Światło-Życie, ks. Blachnicki, miał przeogromny wpływ na katechizowanie polskiej młodzieży w latach 70. i 80. XX w., kiedy to kard. Ryś był dzieckiem, a następnie młodzieńcem. W pewnym uproszczeniu mówiąc – ks. Blachnicki zamienił tradycyjną katechizację na katechetykę „doświadczenia spotkania z Bogiem", a do Ruchu Światło-Życie wprowadził formację, której nie zawaham się nazwać protestancką. Jak podaje badacz działalności ks. Blachnickiego, pan Jacek Schmidt, w roku 1978 poprosił on protestancki ruch Agape o tzw. Chrzest w Duchu Świętym. Jeżeli zatem to właśnie Ruch Światło-Życie był środowiskiem, w którym swoją religijność kształtował młody Grzegorz Ryś, to może być to w pewnym stopniu wyjaśnieniem jego obecnego progresizmu.

Zdeterminowany, bezkompromisowy reformator, inspirujący się nauczaniem papieża Franciszka, czy cyniczny do szpiku kości kościelny karierowicz z premedytacją schlebiający lewicowo-liberalnym elitom i mediom dla poklasku, zaszczytów i wpływów? Który wizerunek krakowskiego hierarchy jest prawdziwy?

Nie tylko unikam tego typu spekulacji o tym, co naprawdę myśli dany człowiek, lecz także w wielu przypadkach nie umiałbym udzielić żadnej odpowiedzi, gdyż po prostu nie wiem. Pomijając na chwilę osobę Jego Eminencji Kardynała Rysia, w przypadku każdego modernisty wymienione przez pana postawy niekoniecznie się wykluczają. Natomiast modernistów dzielę na „mózgi operacji", które aktywnie dokładają się do tego szatańskiego i niezwykle inteligentnego systemu myślowego, oraz na zwykłych wykonawców tej linii, którzy zanurzają się w to, a ich umysł nie dostaje reakcji alergicznej na wiele zawartych w modernizmie sprzeczności. Realizują oni jedynie zamierzenia tych pierwszych. I, być może ku swojemu własnemu zdziwieniu, tacy ludzie najczęściej wydają się awansować we współczesnej hierarchii.

Kardynał Ryś nie kryje się ze swoim, nazwijmy to, „chrześcijańskim syjonizmem". Co znamienne, jednym z pierwszych oficjalnych gości, których kardynał przyjął w Pałacu Arcybiskupów Krakowskich, zaledwie kilka godzin po swoim ingresie, był naczelny rabin Polski Michael Schudrich. Metropolita krakowski od lat jest w awangardzie Episkopatu walczących z rzekomym antysemityzmem Polaków. W swej krucjacie przeciw antysemityzmowi nie zawahał się nawet przed oskarżeniem, że „sprawcy Holokaustu wychowywali się na chrześcijańskich nabożeństwach". Ten demonstracyjny „holokaustianizm" księdza kardynała to tylko przejaw ulegania duchowi czasu czy koniunkturalizm zapewniający międzynarodowy prestiż, gwarantowany przez środowiska żydowskie?

Tutaj również wstrzymam się od zgadywania. Ani nie siedzę w głowie kard. Rysia, ani nie znam szczegółów jego życia osobistego – kiedy, gdzie i jak następowało jego zbliżenie ze środowiskami żydowskimi. W mojej opinii takie zbliżenia prowadzą do jednostronnego wikłania strony katolickiej przez stronę żydowską w całą sieć często nieuświadomionych przez tę pierwszą zależności. Myślę również, że czymś zasadniczym jest tu pewna kolejność wydarzeń. Czy najpierw ktoś awansuje wysoko, a potem dobierają się do niego środowiska żydowskie, czy też nikt, kogo już nie przekabaciły, nie awansuje wysoko. W moim przekonaniu dzisiaj w Kościele obowiązuje to drugie. Natomiast nie będę stawiał ostatecznych tez odnośnie do kard. Rysia. Staram się zawsze, choćby ze zwykłej ostrożności, zakładać jak najmniej obciążającą kogoś wersję wydarzeń. Nie zmienia to jednak faktu, że ów syjonizm czy też „holokaustianizm" Jego Eminencji jest dla Kościoła czymś tragicznym.

Najbardziej jaskrawym przejawem takiej postawy metropolity krakowskiego był powstały z jego inspiracji niedawny list Episkopatu do wiernych z okazji 40. rocznicy wizyty Jana Pawła II w rzymskiej synagodze. Wydaje się, że ten kuriozalny pretekst był tylko asumptem do wysmagania ludzi wierzących w Polsce za ich mityczny antysemityzm. Cały przekaz listu biskupów, zdaniem wybitnych biblistów, stanowi teologiczny bełkot, pełen doktrynalnych błędów. Ksiądz profesor Dariusz Oko napisał, że list sprawia wrażenie, jakby „był napisany w ambasadzie Izraela". Co charakterystyczne, kard. Ryś, prawdopodobny sprawca całego zamieszania, przybrał po tej kompromitacji pozę ofiary, która cierpi za obronę słusznej prawdy. Żadnych przeprosin, żadnej refleksji. Czy to postawa godna następcy Karola Wojtyły na stolicy biskupów krakowskich?

Tutaj już pozwolę sobie „zgadywać" i powiem, że według mnie inspiracja do takiego, a nie innego listu w tym, a nie innym czasie musiała przyjść z zewnątrz. Środowiska żydowskie na całym świecie mają obecnie coś w rodzaju PR-owskiej katastrofy i odpalają wszystkie tęgie działa, by ten trend odwrócić. Miejscami ich działania wydają się bardzo nietrafione. Myślę, że wynika to z pewnego zaskoczenia skalą reakcji ludzkości na całym świecie na ich działania w Strefie Gazy. Po dziesięcioleciach absolutnej PR-owskiej dominacji wynikającej z faktu kontrolowania większości mediów, jak również pełnej kontroli nad mediami społecznościowymi, co zmieniło się dopiero w ostatnich latach, gdy teraz nastąpił niemal powszechny zwrot przeciwko ich narracjom, wydają się oni nieprzygotowani na ten scenariusz. Mówię tak, gdyż w wielu miejscach ich działania wydają się pochopne i chaotyczne i tak właśnie postrzegam list Episkopatu Polski potępiający antysemityzm i zachęcający do odwiedzin w synagogach. Reakcja polskiego społeczeństwa wydaje się dość jednoznaczna, i to zarówno pomimo prób ratowania owego listu, jak i postawy kard. Rysia choćby przez „Gazetę Wyborczą". Dziewięćdziesiąt procent proboszczów nie przeczytało tego listu z ambony, a polskie społeczeństwo nie tylko nie uderzyło się w piersi za rzekomy antysemityzm, lecz także otworzyło szeroko oczy na sytuację w Kościele, o czym mówiliśmy

eprasa.pl ca87f60a9b

na początku rozmowy. Natomiast zapytał pan też, czy jest to postawa godna następcy Karola Wojtyły, i tutaj odpowiedziałbym, co może być dla polskiego katolika pigułką do przełknięcia najbardziej gorzką, że kard. Ryś jest kontynuatorem prożydowskiej linii papieża Polaka.

Szczególne wyczulenie krakowskiego purpurata na krzywdy Żydów, seksualnych mniejszości, los migrantów z Afryki i Azji już obecnych w Polsce i tych, którzy do nas dopiero przybędą, czy Ukraińców nie idzie w parze z wrażliwością na ludobójstwo, którego Izrael dokonał i dokonuje w Strefie Gazy, południowym Libanie, czy na położenie chrześcijan na Zachodnim Brzegu. Czym dyktowany jest ten moralny dualizm? Obawą przed gniewem „starszych braci w wierze", jak często mawia metropolita Krakowa?

Konia z rzędem temu, kto wyjaśni, dlaczego tak wiele jest umysłów zwiedzionych przez hagady. Ów dualizm, o którym pan mówi, nie jest czymś charakterystycznym jedynie dla kard. Rysia, każdy umysł progresywny musi w którymś momencie porzucić logikę i konsekwencję rozumowania. Nie byłoby ani modernizmu w Kościele, ani neomarksizmu w świecie, gdyby nie umysły skłonne porzucić arystotelesowską zasadę niesprzeczności, która to, jak sam ją Arystoteles nazywał, jest „najpewniejsza ze wszystkich zasad", również dla katolika powinna być warunkiem koniecznym wszelkiego rozumowania. W swojej najprostszej wersji brzmi ona: „Niemożliwe jest, by to samo było i nie było równocześnie", i każdy, kto porzuca tę zasadę, mówię to z przymrużeniem oka, powinien od razu mieć zakaz myślenia i mówienia. Porzucenie tej zasady jest warunkiem koniecznym powstania wszystkich współczesnych ideologii i wszelkich hagad, służących do forsowania czyichś interesów i niemających niczego wspólnego z prawdą. Gdy już nie stosujemy podstawowej logiki w myśleniu i nie przyznajemy jej prymatu nad swoimi uczuciami, wszystko staje się jedynie odbiciem naszych sentymentów i pragnień. Wracając do pańskiego pytania – nie wiem, dlaczego kard. Ryś ma takie, a nie inne sentymenty, które nazwałbym syjonistyczno-lewicowymi, natomiast brak konsekwencji, logiki i ów moralny dualizm nie stanowią w tym systemie myślowym żadnego problemu.

W czasie kierowania diecezją łódzką ks. kard. Ryś dał się poznać jako promotor duszpasterskiego nowinkarstwa, czego przejawem było rozwijanie na masową skalę posługi nadzwyczajnych szafarzy czy wydarzenia liturgiczne pod nazwą Arena Młodych, w trakcie której doszło do nadużycia liturgii, za co zresztą ówczesny arcybiskup Łodzi publicznie przepraszał. Nic nie wskazuje na to, żeby te duszpasterskie pomysły hierarchy skutkowały ożywieniem życia religijnego w diecezji łódzkiej. Czy taki sam skutek przyniesie „oranie ziemi krakowskiego Kościoła" w duchu synodalności, usilnie forsowanej przez kard. Rysia?

Nieodłącznym elementem zarówno modernizmu w Kościele, jak i neomarksizmu w świecie, w skrócie: nieodłącznym elementem rewolucji, jest stworzenie u ludzi ponadnaturalnego zainteresowania i faworyzowania tego, co „nowe". I oto w miejsce niegdysiejszych podziałów na „dobre" i „złe", na „prawdziwe" i „fałszywe", na „zdrowe" i „trujące" pojawia się rozróżnienie przysłaniające tamte wszystkie. Ważne jest teraz, czy coś jest „stare" czy „nowe". Nie umiem uchwycić, jak dokładnie następuje zarażenie umysłu tym błędem. Ciekawość nowego i świeżego jest dla człowieka czymś naturalnym, natomiast w myśleniu klasycznym, przedrewolucyjnym, nowe jest interesujące, ale stare jest sprawdzone. Owo nowe trzeba badać, gdy już minie ekscytacja świeżością, i przyjąć je, gdy jest lepsze niż stare, a odrzucić, gdy jest gorsze. Myślenie rewolucyjne wymaga, by nowe dostało prymat nad starym przez sam fakt ekscytacji dynamiką, z jaką kojarzy się sama zmiana. Być może w jakimś stopniu wyjaśnia to zamiłowanie kard. Rysia do zmian. Wspomniał pan o nadzwyczajnych szafarzach, ja przypomnę o nadzwyczajnych szafarkach. To w poprzedniej diecezji kard. Rysia kobiety rozdawały Komunię Świętą wiernym. Najczęściej na rękę, czasem przeczesując włosy dłonią całą w partykułach Hostii. Nie wiem, co konkretnie kieruje kardynałem, że forsuje takie rzeczy, ale podejrzewam, że wewnętrzny imperatyw, by zastępować to, co stare, czymś co, nowe czy po prostu inne, odgrywa tu jakąś rolę. Nie wiem, czy zgodzi się pan ze mną, że to byłoby wyjaśnienie dla kardynała najkorzystniejsze i że strach pomyśleć, jakie mogłoby być inne.

Kardynał Stefan Wyszyński mawiał: „Albo Polska będzie katolicka, albo nie będzie jej wcale". Czy katolicyzm w wersji głoszonej przez prawdopodobnie najbardziej wpływowego obecnie purpurata nie prowadzi wprost do tego, że Polski „nie będzie wcale"?

Tak, choć nie nazwałbym tego „wersją katolicyzmu", gdyż ten naprawdę nie ma żadnych wersji i jest jeden, niezmienny i nienaruszalny. Nazwałbym to czymś, co współczesna hierarchia, w tym nasz kard. Ryś, przedstawia jako katolicyzm. Gdyby to finalnie przekonało umysły wszystkich Polaków, wtedy Polska nie byłaby już katolicka i przyjąwszy zależność wyrażoną przez kard. Wyszyńskiego za prawdziwą – z czasem nie byłoby Polski wcale. Pytanie: W jakim stopniu dziś ten proces już się dokonał? I tutaj przyszedł mi do głowy pewien miernik wypłukania katolicyzmu z Polski. Otóż współczynnik dzietności w naszym narodzie, który jest na dramatycznie niskim poziomie nieco powyżej jednego dziecka na kobietę, gdzie nakazane przez Pana Boga „zaludnianie ziemi" ma miejsce przy powiedzmy 2,5. Jest sporo sondaży badających przyczyny i choć media będą z uporem godnym lepszej sprawy mówić o czynnikach ekonomicznych, to każdy sondaż, do którego ja dotarłem, wskazuje po prostu, że... te Polki, które nie chcą mieć dzieci, równocześnie deklarują, że… ich nie lubią. W tym wywiadzie nie dam rady wyjaśnić, dlaczego uważam to za najlepszy miernik stanu katolicyzmu w Polsce. Mówiąc w uproszczeniu, kobiecość i macierzyństwo dla duszy oddanej Bogu są czymś nieodłącznym. Dlatego wskaźnik dzietności ledwie przekraczający 1 wskazywałby, że stan katolicyzmu w Polsce jest dramatyczny. Z drugiej strony, choć może być to niepoprawny optymizm, myślę, że jesteśmy wciąż narodem Maryjnym, a rzeczywistość jest taka, że środowiska Tradycji Katolickiej rosną u nas szybciej niż w innych krajach. Wiążę to z faktem, że szał zmian w Kościele na Zachodzie u nas spowolniony był przez historię. Gdy Kościół na Zachodzie pędził ku nowemu, u nas był głęboki komunizm, więc w porównaniu z Zachodem u nas Kościół ku nowemu raczkował. To spowodowało, że dziś, w 2026 r., średni polski umysł jest jednak glebą dużo bardziej chłonną na katolickie nauki niż umysł zachodni. I tu widzę źródło szybkiego rozwoju Tradycji w Polsce oraz nadzieję, że Polska finalnie będzie jednak katolicka, czyli po prostu będzie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ca87f60a9b



Ściganie zastępczego Ziobry



Rafał A. Ziemkiewicz

Wiele wskazuje na to, że w sprawie wkroczenia policji do mieszkania Tomasza Sakiewicza mieliśmy do czynienia z odgórnie zarządzoną akcją, co najwyżej wychodzącą naprzeciw „spontanicznemu" nękaniu opozycji. Na jakim poziomie ją jednak zarządzono? Ministra – i którego? Pomniejszych urzędników? Może samego Tuska?

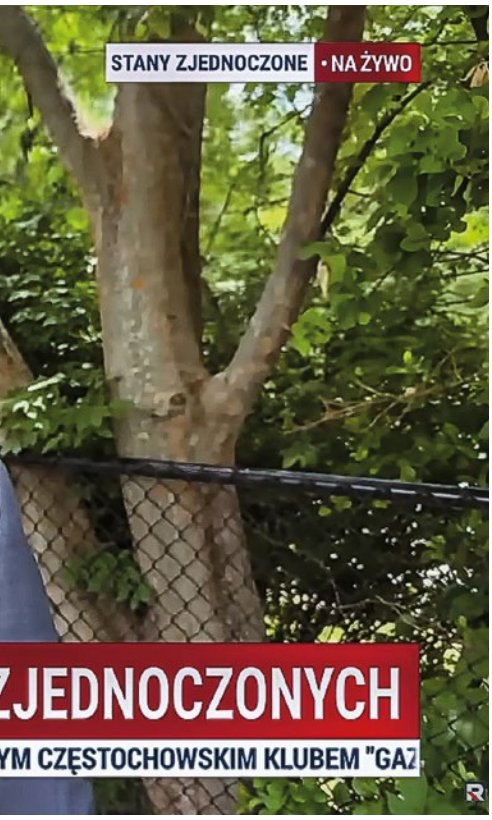
Nękanie prawicowych dziennikarzy przez połączone siły policji i „aktywu społecznego" bardzo przypomina sposoby wypracowane przed wielu laty przez SB do uprzykrzania życia działaczom opozycji. Jeszcze bardziej przypomina tamte lata sposób, w który usłużne wobec rządu media włączyły się w propagandę ośmieszającą wziętych przez władzę na cel opozycjonistów – od nazwania całej sprawy „aferą Sakiewicza" i kreowanie na rzekomą ofiarę Republiki policjanta, którego nazwisko ujawniono (a który zgodnie z prawem powinien był ujawnić je i wylegitymować się podczas interwencji), po obleśne aluzje i memy o „Sakiewiczu w gaciach".

Ponadto cała kampania sprawia wrażenie teatru absurdu, w którym groza miesza się z groteską, a w końcu wszystko okazuje się być na niby, realne pozostają tylko poniesione szkody. Jeśli spektakularne wejście policjantów do domu redaktora naczelnego Republiki i skucie jego asystentki było elementem jakiegoś politycznego planu, to był to plan nieprzemyślany i przeprowadzony bardzo nieudolnie.

PRZEKIEROWANIE FURII

Bez wątpienia zapalnikiem całej sprawy był wyjazd Zbigniewa Ziobry i Marcina Romanowskiego do USA. Wszystko wskazuje na to, że ściągniecie ich z Węgier i demonstracyjne pokazywanie w kajdankach było przez Donalda Tuska i jego ludzi bardzo oczekiwane: widowiskowa zemsta utwierdziłaby „żelazny elektorat", na ten moment głęboko sfrustrowany, że rozliczenia przynoszą sukcesy. Gdy nadzieje te zostały brutalnie pogrzebane, Radosław Sikorski, zirytowany jak inni członkowie rządu, powiedział kilka słów za dużo, ujawniając, że przecież rozmawiał z ambasadorem Rose'em o Ziobrze, i twierdząc, że uzyskał zapewnienie, iż były minister do USA nie wjedzie. Trudno zgadnąć, po jakiej linii usiłował Sikorski załatwić taką sprawę, wiedząc, że jego pryncypał ani on sam nie cieszą się w otoczeniu prezydenta USA sympatią, a raporty wpływowych wśród republikanów think tanków (m.in. Hudson Institute) oraz podkomisji Kongresu wprost nazywają rządy Tuska w Polsce łamaniem praw obywatelskich i prześladowaniem opozycji politycznej.

eprasa.pl ca87f60a9b



FOT. TV REPUBLIKA/YOUTUBE

W każdym razie najwyraźniej próbował, a więc rząd liczył się z tym, że Ziobro może mu się wymknąć z rąk.

Największą klęską było jednak nie to, że Ziobro wyjechał, ale że mógł wyjechać bez najmniejszego trudu, bo nikt go wcale nie ścigał. Mimo próby zagłuszenia tego faktu intensywną propagandą, agregującą przekaz o „ucieczce", do opinii publicznej dotarło, że tyle mówiąca o „rozliczaniu" ekipa nie zdołała przez całe polowanie uzyskać formalnego nakazu ścigania rzekomego przywódcy „zorganizowanej grupy przestępczej", która miała dysponować publiczne środki w taki sposób, aby trafiały one głównie do okręgów głosujących na PiS. Częścią owej propagandy rzekomej „ucieczki" było wezwanie do prokuratury Tomasza Sakiewicza jako formalnie świadka (z publicznie zapowiedzianą intencją uznania go za podejrzanego) w sprawie o „pomocnictwo w ucieczce osoby poszukiwanej". Mimo że ani Ziobro, ani Romanowski, powtórzmy raz jeszcze, poszukiwanymi nie byli i nigdzie nie uciekli, a nawet gdyby uciekli, to z Węgier, nie z Polski. Trudno nie połączyć tego wezwania z najściem policji na prywatne mieszkanie „świadka", co najmniej jako próby wykreowania „faktu prasowego" – a być może podrzucenia mu w zamieszaniu czegoś.

Rzecz w tym, że fanatyczni wrogowie PiS, jakich Tusk i jego ekipa zdołali wyhodować w znacznych ilościach, nie przyjmą do wiadomości prawdziwego wyjaśnienia: że Ziobry ścigać międzynarodowo po prostu nie było można, gdyż nie popełnił niczego, co zachodni sąd albo Interpol mogłyby uznać za przestępstwo. To kieruje furię „żelaznego elektoratu" ku własnemu rządowi i skłania do oskarżenia go o nieudolność. Część tej złości propaganda próbowała skierować przeciwko Amerykanom i Trumpowi, ale to nie wystarczyło. Potrzebny stał się jakiś „zastępczy Ziobro", wykreowanie jakiegoś wydarzenia, które uspokoi wściekłych Silnych Razem, że mimo kłód rzucanych mu pod nogi przez Trumpa Tusk nadal „dowala" znienawidzonym „PiS-owcom". Ktoś wytypował do tej roli Republikę i osobiście Sakiewicza.

Rozważmy najpierw inną możliwość: czy fala fałszywych zgłoszeń, na podstawie których skierowano policjantów do naruszania miru domowego opozycyjnych dziennikarzy i instytucji, mogła mieć charakter spontanicznej, a co najmniej niekonsultowanej z policją i służbami akcji jakiejś internetowej bojówki w rodzaju wspomnianych Silnych Razem czy hejterskiej sieci Giertycha?

Zanim policjanci weszli do mieszkania Sakiewicza i wykonali tam wiele niespójnych logicznie działań (na czele ze skuciem i wyprowadzeniem na ulicę jego asystentki tylko po to, by ją tam uwolnić – to właśnie rodzi podejrzenie, że misją policjantów mogło być „oczyszczenie" mieszkania, by coś stamtąd nielegalnie zabrać lub podrzucić, nie byli jednak przygotowani, że zastaną tam więcej osób), przez kilka dni dziennikarze i politycy opozycji nękani byli nocnymi głuchymi telefonami, nachodzeni przez kurierów przynoszących niezamówiony „deliwering" etc. Nic nowego, takie działania, podobnie jak opaskudzanie drzwi czy uszkadzanie bram i domofonów od dawna prowadzone są przez „demokratycznych aktywistów", zgodnie z wezwaniem opublikowanym przez tygodnik „Polityka" krótko po podwójnej wyborczej klęsce PO w roku 2015: nękać „funkcjonariuszy reżimu" i członków ich rodzin na każdym kroku, w miejscach publicznych i w pracy, także w prywatnych domach. Ten „mały terroryzm" – nazwijmy to tak przez analogię do okupacyjnego „małego sabotażu" – kultywowany jest co miesiąc wykwitami chamstwa i agresji chronionych przez policję prowokatorów pod pomnikiem smoleńskim, a na co dzień tli się, wybuchając w momentach nakręcania silnych emocji, „strajków kobiet" czy „ciamajdanu".

Dopóki nękanie ograniczało się do tradycyjnego know-how, dopóty można było sądzić, że to tylko sfrustrowane bojówki Tuska dają upust swej furii po kompromitacji z Ziobrą. Ale wejście policji do domu Sakiewicza, próba wejścia do Republiki i telewizji wPolsce24 czy domu Jarosława Kaczyńskiego to już inne sytuacje. Policjanci biorący udział w tych interwencjach, wbrew prawu, występowali bez identyfikatorów i odmawiali wylegitymowania się. Internet ustalił szybko, że u Sakiewicza pojawili się funkcjonariusze ściągnięci aż spod Częstochowy. A przecież oficjalna wersja zdarzenia była taka, że policja dostała zgłoszenie o zagrożeniu życia znajdującego się rzekomo w domu dziecka i musiała działać w trybie alarmowym. Gdyby była to prawda, użyto by do interwencji najbliższego patrolu. Co więcej, jak okazało się później, e-mail, który był pretekstem do interwencji, był już kolejnym z podobnych zgłoszeń, które wcześniej słusznie zignorowano, uznając za niewiarygodne – i fakt ten powinien być odnotowany w policyjnej bazie danych. Uważniejsza analiza ujawnia też, że wiele z podobnych zgłoszeń, które uruchamiały w minionych dniach działania policji, zawierało dane wrażliwe atakowanych osób, których nie można znaleźć w powszechnie dostępnych zasobach Internetu. Do tego dodać trzeba to, że do fałszywych zawiadomień użyto ukradzionej tożsamości, co też nie wskazuje na amatora.

Internet ustalił szybko, że u Sakiewicza pojawili się funkcjonariusze ściągnięci aż spod Częstochowy

eprasa.pl ca87f60a9b

Wskazuje to na to, że mieliśmy do czynienia z odgórnie zarządzoną akcją, co najwyżej wychodzącą naprzeciw „spontanicznemu" nękaniu opozycji. Na jakim poziomie ją jednak zarządzono? Ministra – i którego? Pomniejszych urzędników? Może samego Tuska? A może w odpowiedzi na to, że „Donald znowu się wściekł" i kazał zrobić „coś", co uspokoi rozwścieczonych „ucieczką Ziobry" radykałów, i tym „czymś" miało być właśnie pokazanie Sakiewiczem: „Spokojnie, nadal dojeżdżamy PiS-owców na całego"? Pobieżny tylko rzut oka na „demokratyczne" fora internetowe pokazuje, że w pewnym stopniu ten zamysł się powiódł, wściekłe wpisy o „zdradzie" i „nieudolności" Żurka zastąpione zostały gromkimi wiwatami.

Tak prymitywna operacja nie tyle, jak planowano, poniżyła domniemanego „pomocnika w ucieczce" w oczach społeczeństwa, ile uświadomiła każdemu Polakowi, że coś podobnego może się zdarzyć i jemu

NIEOCZEKIWANA SOLIDARNOŚĆ

Nie za darmo jednak. Wielokrotnie przećwiczona socjotechnika tym razem zawiodła. Po raz pierwszy nie skończyło się na tym, że „nasza bańka" została dopieszczona, a wyrazy oburzenia „bańki" przeciwnej do naszego elektoratu się nie przebiły. Zachwyty, że „rozliczenia" jednak trwają i są dla „PiS-owców" dolegliwe, mimo agregowania ich przez armię botów, okazały się bardzo drobnym wycinkiem internetowych reakcji. Według analizy kolektywu badawczego Res Futura na ok. 70 mln internetowych reakcji i komentarzy aż 95 proc. wyrażało sentyment pozytywny dla Sakiewicza i Republiki. To rzecz w polskim politycznym Internecie niebywała.

Można domyślić się przyczyny tej nieoczekiwanej solidarności przypadkowych internautów z „PiS-owcem": tak prymitywna operacja nie tyle, jak planowano, poniżyła domniemanego „pomocnika w ucieczce" w oczach społeczeństwa, ile uświadomiła każdemu Polakowi, że coś podobnego może się zdarzyć i jemu. Że praktycznie do każdego Polaka może nagle „wbić" policja bez żadnego nakazu ani formalnego powodu, mówiąc, że dostała zgłoszenie, iż w tym domu przetrzymywani są zakładnicy albo konstruuje się bomby, i kompletnie lekceważąc prawo, które nakazuje każdemu funkcjonariuszowi legitymować się podczas interwencji i nosić odpowiednie oznaczenia.

Szybko zaczęła się zatem operacja ratunkowa. Donald Tusk sięgnął po ulubiony, coraz bardziej zgrany argument, sugerując, że fala fałszywych alarmów to operacja rosyjskich służb specjalnych – choć nic na to nie wskazuje, i gdyby tak było, należałoby uznać, że operacja ta ujawniała totalny bezład i niekompetencje policji i służb pod rządami Kierwińskiego i Siemoniaka. Minister Kierwiński natomiast wystąpił z gromkim oburzeniem na Republikę, która jakoby „przekroczyła wszelkie granice" i dopuściła się „przestępstwa", ujawniając wizerunek i nazwisko funkcjonariusza. Które zaczerpnęła – dodajmy dla unaocznienia absurdu – z powszechnie dostępnych stron internetowych policji i które muszą być jawne z mocy prawa.

Dopełnia to absurdu i kompromitacji „prawa, jak my je rozumiemy", które pozwala nieumocowanej prawnie prokuraturze ścigać doradców prezydenta z oskarżenia o „podżeganie do przestępstwa", czyli o doradzanie głowie państwa weta wobec rządowej ustawy.

W STYLU URBANA

Najbardziej PRL-owska i odrażająca w całej sprawie jest jednak postawa propagandystów z „wolnych mediów", rzuconych do odwracania uwagi od istoty sprawy. W sytuacji gdy szanujący się dziennikarz, zakładając jego szczerą wiarę w oficjalnie podawaną wersję zdarzeń, poczułby się w obowiązku co najmniej zadać pytania o zawodność procedury i o wnioski, jakie wyciąga ministerstwo ze spektakularnego pokazu, jak łatwo jest manipulować policją byle anonimowym e-mailem, gwiazdy dziennikarskiego salonu rzuciły się do agregowania obleśnych sugestii, że skoro w mieszkaniu Sakiewicza była asystentka, to przecież wszyscy wiedzą, ha, ha, do czego służą asystentki, a w ogóle to Sakiewicz był bez spodni. Fakt, że Sakiewicz nie miał nic przeciwko publikacji pełnego zapisu interwencji, nie wstydząc się krótkich spodenek, a prokuratura uparcie odmawia, powtarzając argument, że nagranie, na którym we własnym domu występuje w krótkich spodenkach, „poniżyłoby publiczne", na co właśnie prokuratura nie chce pozwolić (!), nie wzbudził w rechoczących żadnej refleksji, podobnie jak fakt, że oprócz Sakiewicza i asystentki w mieszkaniu były jeszcze inne osoby. Może zresztą uznajmy to za przejaw powściągliwości, idąc konsekwentnie tropem Urbana, wypisującego sprośne brednie o „garsonierze pana Popiełuszki" (ten sam chwyt zastosowała propaganda Tuska po aresztowaniu ks. Olszewskiego, rzekomo „w mieszkaniu kobiety"), mogli przecież dziennikarze TVN i „Gazety Wyborczej" nakręcać siebie nawzajem wizjami orgii w mieszkaniu szefa prawicowej telewizji.

Miary upadku wspomnianych propagandystów dopełnia to, że drugą powszechną wśród nich reakcją było odgrzanie, jako moralnego usprawiedliwienia dla działań policji, fejku o „biciu przez PiS kobiet pałkami teleskopowymi", jednego z elementów „moralnej paniki" agregowanej przed wyborami 2023, obok „sprzedawanych na afrykańskich jarmarkach" wiz, Pegasusa i „masowych zgonów na porodówkach".

Trzeba jasno powiedzieć: oni jedyni zdali w tej trudnej sytuacji egzamin z wierności władzy. Jeśli operacje nękania opozycji mają stać się trwałym elementem „rozliczeń" (a są podejrzenia, że najnowsza akcja ma za zadanie „oswoić" z tym społeczeństwo i przetestować jego reakcje), to na miejscu ministra Kierwińskiego rozważyłbym sformowanie, wedle wzorców niemieckich, „pomocniczej policji" z Wielińskich, Czuchnowskich i Stankiewiczów. Na pewno okażą się sprawniejsi w realizacji postawionych im zadań niż aspiranci z miejscowości pod Częstochową.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ca87f60a9b



Z Tomaszem Sakiewiczem, prezesem i redaktorem naczelnym Telewizji Republika

rozmawia Karol Gac

Zdychający potwór potrafi być niebezpieczny

KAROL GAC: Telewizja Republika i jej dziennikarze byli przez kilka dni nękani uporczywymi telefonami oraz fałszywymi zawiadomieniami do służb, przez co te przyjeżdżały z interwencją. Jaka jest pana ocena tych wydarzeń?

TOMASZ SAKIEWICZ: Dla mnie to jest jeden ciąg wydarzeń. Od kiedy ogłosiliśmy, że Zbigniew Ziobro zostaje naszym komentatorem, mieliśmy zapowiedzi zemsty i nawoływania do zamknięcia nas oraz aresztowania mnie. Wiem, że po tej informacji była poważna narada w rządzie, i dwa dni później mieliśmy serię alarmów wymierzonych w nasze środowisko. Fałszywe alarmy można jeszcze jakoś usprawiedliwić, natomiast zachowania władz w tej sprawie już absolutnie nie.

Jak rozumiem, uważa pan, że nie ma mowy o żadnym przypadku, tylko bezpośrednio wiąże pan to z tym, co się wydarzyło wokół byłego ministra sprawiedliwości?

Może być oczywiście tak, że ktoś rozpoczął akcję tego typu, bardzo dobrze znając procedury policyjne i różne słabości działania policji w takiej sytuacji. To jest zresztą niezwykle ciekawe, że wyszły nie tylko procedury, lecz także różnego typu słabości. Ktoś nie tylko miał doświadczenie, jak takie procedury są realizowane, lecz także wiedział, jak się władza zachowa, bo jej kilka decyzji bardzo ułatwiło tę akcję. Drugą opcją jest niestety możliwość, że cała ta akcja wyszła z kręgu władzy i być może jakieś inne osoby się do tego dołączyły. Natomiast bez udziału władzy, mniej lub bardziej świadomego, cała ta akcja nie miałaby takiej skali i skutków.

Co pan sądzi o tezie dotyczącej rosyjskiego śladu? Bierze pan pod uwagę taką możliwość?

Tego oczywiście nie da się nigdy wykluczyć, natomiast proszę zwrócić uwagę, że jeżeli faktycznie był to kierunek wschodni, to zachowanie władzy było wobec tego absolutnie nieodpowiedzialne. Mieliśmy bagatelizowanie tych informacji, wyśmiewanie tego, a w dodatku nie powołano jednego centrum, które by koordynowało działania. Fakt, że Rządowe Centrum Bezpieczeństwa wysyłało ostrzeżenia do pracowników o atakach i e-maile, gdzie było moje nazwisko, że ktoś chce mnie zabić, a do mnie nikt nawet nie zadzwonił w tej sprawie, to mówi wszystko, jakie było nastawienie.

Bardzo głośnym echem odbiła się interwencja policji w pana mieszkaniu w Warszawie, w której efekcie została skuta pana asystentka. Jak to wyglądało z pana perspektywy?

Najciekawsze jest to, że ze strony policji były wyłącznie przekłamania i przyłapani musieli się wycofywać z kolejnych kłamstw. Wszystko dlatego, że nie wiedzą, co jeszcze mamy udokumentowane. Mogę zapewnić, że mamy dużo więcej, niż oni sądzą.

O ataku na swoje mieszkanie rozmawiałem z policją wieczór wcześniej, ponieważ to wtedy po raz pierwszy przyjechali funkcjonariusze. Sami policjanci zachowali się w porządku i wytłumaczyli, że mają takie zgłoszenie, ale nie ma nikogo w domu. Powiedziałem wówczas wyraźnie, że to jest kolejny alarm, bo ta akcja była już w toku i teraz trafiło na mnie. W związku z tym poprosiłem, żeby po pierwsze zarejestrowali, że jest już taka akcja wobec mnie, aby się nie powtórzyła, i nie przyjmowali kolejnego fejka, a po drugie, aby uruchomili procedurę zintegrowania tej akcji, a więc żeby każdy komisariat nie reagował osobno, bo dojdzie do nieszczęścia. RCB uznał przecież te informacje za niskiej rangi, ale to, że one są niskiej rangi, nie docierało do policji, a wręcz przeciwnie, odbierano to jako najwyższy alarm. Chodziło więc o to, żeby zcentralizować te informacje i żeby policja miała świadomość, że te alarmy są niskiej rangi, więc nie ma sensu stosować procedur, które się stosuje bezpośrednio przy ataku terrorystycznym. Odmówiono mi tego.

W efekcie dokładnie ten sam scenariusz przećwiczono jeszcze w dwóch innych domach – najpierw mieliśmy łagodniejszy wjazd, a policjanci uznają to za fejk, ale następnie dostają drugie identyczne zgłoszenie i polecenie, że

eprasa.pl ca87f60a9b

mają wejść. Ktoś im przecież wydał taki rozkaz. Warto dodać, że jest to jeszcze poprzedzone tzw. akcją dostawców w nocy. U mnie np. przez kilkadziesiąt minut dzwoniono w nocy, że ktoś chce przywieźć dostawę. Trafiło na mnie i innych znanych dziennikarzy w tej stacji. Co ciekawe, taka podobna sytuacja przydarzyła się też kobiecie współpracującej z nami, której adresu nawet nie znam. Ktoś miał doskonałe rozpoznanie sytuacji.

Po tych telefonach przyszła druga interwencja policji?

Tak. Tak się składa, że nocowały u mnie żona oraz teściowa i ogólnie był spory ruch w mieszkaniu. W momencie, kiedy wszyscy zaczęli wychodzić, a ja się przebierałem w łazience, to zaczęło się dobijać pogotowie. Zresztą już wcześniej wiedziałem, że tak będzie, dlatego zażądałem zapisania, że będą kolejne takie akcje. Ściągnęli jakichś policjantów z Częstochowy, którzy mimo tego, że ten sam komisariat, który ich wzywa, ma informację, że była taka akcja fejkowa, to twierdzą, że nic o tym nie wiedzą. Co ciekawe, przed wejściem zrywają imienniki z mundurów, odmawiają przedstawienia się. Drzwi otworzyła moja asystentka i zanim zdążyłem wyjść z łazienki, to już ją skuwali, a drugi policjant biegał po moim mieszkaniu. Chcę podkreślić, że moja asystentka nie stawiała żadnego oporu, ale powiedziała, że ona się wylegitymuje, jak policjant pokaże swoją legitymację, do czego ma absolutny obowiązek. Tymczasem odmówili tego. Weszli do mojego mieszkania, odmówili pokazania legitymacji, nie podali swojego nazwiska, choć trzykrotnie ich do tego wezwałem, po czym skuli moją asystentkę, sprowadzili ją na dół i dopiero, jak ich dogoniłem na dole, to ją rozkuli i po prostu uciekli. Nie napisali żadnej notki i właściwie do dzisiaj nie wiem, z kim miałem do czynienia.

Paradoksalnie mógł pan wezwać policję.

Nawet chciałem, tylko oni uciekli. Wcześniej wykonali bardzo brutalną akcję, ponieważ poturbowali moją asystentkę i poniżyli ją publicznie, bo przecież wyciągnęli ją na ulicę w kajdankach. W dodatku skuli ją bardzo mocno, jak niebezpiecznych przestępców. Mówimy



FOT. PIOTR POLAK/PAP

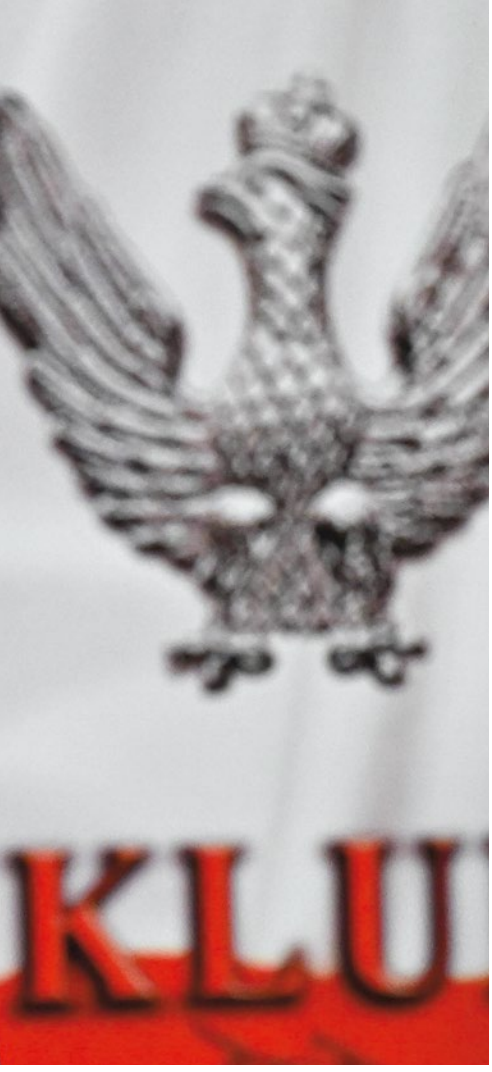
też o mieszkaniu, w którym pracuję. Nie wiem, czy mi coś nie zginęło, bo wszystkiego nie zdążyłem sprawdzić, i nie wiem, czy mi coś nie przybyło. Ich zachowanie było bardzo nietypowe. W dodatku w całej sprawie pojawia się coraz więcej wątpliwości. Przykładowo w dokumentach pogotowia Meditrans, które realizowało zlecenie i zapewniało załogę, znajduje się adnotacja o wyjeździe ambulansu do zgłoszenia o godz. 13.38. Dokładnie ta sama godzina widnieje jako moment przybycia. Nie ma też adnotacji o zakończeniu lub podjęciu interwencji. To też powinno się znajdować w dokumentacji. Wciąż nie opublikowano też w całości policyjnych nagrań, choć o to apeluję. To wszystko jest bardzo dziwne.

Wielu polityków i dziennikarzy potępiło tę interwencję oraz zażądało wyjaśnienia sprawy. Byli jednak i tacy, którzy wręcz wyrażali z tego powodu satysfakcję.

Patrząc na reakcje, można zobaczyć, z jakich kręgów wyszła ta akcja, bo niestety jest coraz więcej poszlak, kto za tym stał. Natomiast władza swoimi decyzjami, wypowiedziami umożliwiła tę akcję, bo mogłoby się zdarzyć jedno, drugie ostrzeżenie i to by wygasło, gdyby reagowano tak, jak RCB zażądało, tylko RCB zamiast wysłać to do komisariatu, porozsyłało to w różne miejsce. Tylko 7 proc. tego typu alarmów jest sprawdzanych, czyli 7 proc. dostaje status wiarygodności. Według RCB te alarmy miały najniższy status wiarygodności, czyli się ich nie sprawdza albo co najwyżej wykonuje się telefon czy podejmuje czynności, które nie dezorganizują życia i pracy. Przez brak informacji do policji o niskim statusie i przez brak koordynacji nawet nie miałem i dalej nie mam gdzie zadzwonić.

Od kilkudziesięciu godzin, zanim policja do mnie weszła, domagałem się powołania jednego centrum właśnie po to, żeby było choćby takiego policjanta z kimś skontaktować. Moim zdaniem Marcinowi Kierwińskiemu zależało na tym, żeby ta akcja trwała. Później zresztą dostał publiczne wsparcie od Władysława Kosiniaka-Kamysza. Szef MSWiA powinien podjąć działania, jeżeli jest seria

eprasa.pl ca87f60a9b



informacji o możliwości zabicia kogoś z redakcji czy wysadzenia ich w powietrze oraz dotyczy to jednego środowiska.

Rozumiem, że nikt do pana ani Telewizji Republika nie przyszedł, żeby zaoferować pomoc czy żeby się podzielić informacjami?

W piątek wieczorem, już po interwencji policji, zgłosiła się funkcjonariuszka z Komendy Stołecznej Policji, żebym do niej przyszedł i zgłosił się jako pokrzywdzony. Jednak kiedy w sobotę był kolejny alarm, to ona nie pracowała i powiedziała nam, żebyśmy zadzwonili na 112. Do momentu naszej rozmowy świadomie nie skoordynowano akcji i wciąż nie ma nikogo, z kim można się kontaktować.

Tymczasem ja się tego domagałem publicznie wielokrotnie, ale nie spotkało się to z akceptacją. Myślę, że na początku nie spotkało się to z aprobatą, bo akcja zostałaby po prostu przerwana.

W pana ocenie chodziło wyłącznie o to, żeby sparaliżować pracę Telewizji Republika i was nękać? Działania policji pokazały spory chaos.

Zwłaszcza że po drodze zatrzymano niewinnych ludzi, o których wiedzieli, że są niewinni, bo mieli ich zarejestrowanych jako ofiary wykorzystania ich adresów, ale po prostu chcieli kogokolwiek zatrzymać. To jest też niezwykłe, że zatrzymuje się kogokolwiek, bo tak trzeba. No i kiedy trzeba było ich wypuścić, to wtedy stworzono kolejny alarm, gdzie pojawiła się wersja rosyjska. Zresztą mówiłem wszystkim, że jutro będą to Rosjanie. I dokładnie to władza zrobiła. Po prostu oni działają według schematu, który jest bardzo nawet łatwo przewidywalny. Prawdopodobnie liczyli na przerażenie, a po drugie była to chęć prymitywnej zemsty, bo po sprawie Ziobry zawrzało w ich elektoracie.

Wielu komentatorów tak to postrzega. Najpierw Zbigniew Ziobro poinformował, że jest w Stanach Zjednoczonych i zostaje komentatorem Telewizji Republika, a niedługo później mamy akcję fałszywych alarmów.

Prawdopodobnie chcieli pokazać, że się jednak na kimś zemszczą. Chociaż przypomniałem, że Zbigniew Ziobro pojechał legalnie do Stanów Zjednoczonych, to oni mimo tego wezwali mnie na świadka, choć jednocześnie zapowiadali, że chcą mi postawić zarzuty. Moim zdaniem jest to kwestia zemsty, choć chyba w dużej mierze to już jest za późno i za mało. Stąd odpalono całą tę akcję z procedurami alarmowymi. Ten haniebny atak na media musi się skończyć wyrokami więzienia dla tych, którzy go przeprowadzili. I to naprawdę musi. Niestety, ale przy okazji pokazano naszym wrogom, jak sparaliżować państwo. Jeżeli wierzyć władzy, że to Rosjanie, to znaczy, że dzwoniąc na 112, można całkowicie polskie państwo wyłączyć – wysłać wszędzie karetki, policję, wozy straży pożarnej. Jeżeli to tak ma działać, to znaczy, że Rosjanie posadzą kilkudziesięciu hakerów i w ciągu doby wyłączą państwo.

Liczono, że się załamiemy, że ktoś pęknie, że ktoś zrezygnuje z pracy. Wiele osób mówi, że liczono na to, że się pobiję z tą policją. Policja była brutalna, chamska i bezczelna, a wszyscy wiedzą, że źle znoszę przemoc fizyczną wobec kobiet i źle na nią reaguję. Być może mieli to gdzieś w rysie psychologicznym, dlatego wysłano takich dwóch prymitywów, którzy będą się zachowywać brutalnie. W zeszłym roku dostałem chyba kilkadziesiąt gróźb, podobnie jak moi dziennikarze, i w ogóle nic z tym nie zrobiono. Wśród nich były np. groźby zabicia moich dzieci, co już jest naprawdę poważne. Staram się jednak nie zwariować, ale na pewno nie dam się zastraszyć.

Czego się pan spodziewa?

Ta władza jest upadająca i to widać. Niestety, zdychający potwór potrafi być niebezpieczny i może kogoś zniszczyć. Moim zdaniem jesteśmy obecnie w fazie kryjącej, by zleceniodawcy nie zostali znalezieni, ale może czekają nas kolejne. Akcja nie wypaliła, wybuchła im w twarz, ludzie stanęli po naszej stronie. Rozbiła się też spójność obozu władzy. Wiele osób z obozu władzy nie przyjęło tej najbardziej brutalnej narracji, że nam się po prostu należy, a jak coś mówimy, to na pewno zapracowaliśmy na to. Jeżeli Donald Tusk chce się oprzeć na Silnych Razem, to skończy na kilkunastu procentach poparcia i pójdzie tą drogą, co Janusz Palikot. Tylko ja w to nie wierzę. Myślę, że on poświęci Marcina Kierwińskiego, może Waldemara Żurka, może nawet od Romana Giertycha się odetnie. Trzeba jednak pamiętać, że oprócz tego, że oni mają ciągle niebezpieczne narzędzia w ręku, to spójność obozu władzy będzie się zmniejszać, tzn. im bliżej wyborów, tym mniej osób będzie chętnych do tego, żeby się podpisywać pod kolejnymi głupstwami i przestępstwami, które oni robią. To pewna nadzieja, bo być może będzie coraz mniej chętnych do wykonywania brudnej roboty.

Moim zdaniem jest to kwestia zemsty, choć chyba w dużej mierze to już jest za późno i za mało. Stąd odpalono całą tę akcję z procedurami alarmowymi. Ten haniebny atak na media musi się skończyć wyrokami więzienia dla tych, którzy go przeprowadzili

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ca87f60a9b

Chwila przed upadkiem?



Łukasz Warzecha

PiS jest dzisiaj w bodaj największym kryzysie w swojej historii. Z pewną dozą schadenfreude dodać można, że sam na niego wydatnie zapracował

Spójrzmy z dystansu na to, jak zmieniał się syntetyczny obraz sytuacji politycznej wokół Prawa i Sprawiedliwości w ciągu ostatnich trzech lat.

Lato i jesień 2023 r. – PiS jest przekonany, że może wygrać kolejną kadencję, zwłaszcza jeśli odpowiednio pognębi przed wyborami potencjalnego koalicjanta, czyli Konfederację. Partia pełna jest napuszonych partyjnych towarzyszy i towarzyszek, przeświadczonych o tym, że rządy będą sprawować wiecznie. To się mści. Następuje bezprecedensowa mobilizacja wyborców opozycji. PiS przegrywa władzę, choć formalnie wygrywa wybory. Kończy się wówczas nieformalny rozejm pomiędzy frakcjami, który udawało się od dobrych paru miesięcy utrzymać. Partia wchodzi w okres narastającego wewnętrznego napięcia.

Rok później, w październiku 2024 r., podczas kongresu w Przysusze, prezes Jarosław Kaczyński wyznacza strategię, której PiS trzyma się konsekwentnie do dzisiaj. Mówi: „I w skrócie, co musimy robić. Po pierwsze – nie biadać, nie bić się w piersi, nie przeprowadzać ekspiacji. To nie ma dzisiaj żadnego sensu. To jest tylko działanie na korzyść naszych przeciwników!". Dostaje rzęsiste oklaski. Od tego czasu politycy PiS z rzadka i na własną odpowiedzialność przyznają, że coś może poszło nie tak. Z czasem takie głosy praktycznie znikają.

Podczas wystąpienia w czerwcu 2025 r., również w ulubionej Przysusze, po ponownym wyborze na prezesa partii Jarosław Kaczyński rozwija tę linię. Wymienia kilka kwestii, które – jak przyznaje – mogły się nie spodobać części wyborców i wpłynęły na wynik w 2023 r. To np. polityka covidowa albo Polski Ład. Jednak w żadnej z tych spraw nie stwierdza, że partia popełniła błąd. Błąd popełnili w zasadzie wyborcy, którzy nie docenili, jak troszczył się o nich PiS, i mieli jakieś fochy.

BOLESNA WERYFIKACJA

Chwilę wcześniej odbywają się wybory prezydenckie, w których rzutem na taśmę zwycięża Karol Nawrocki. Wiadomo, że ponad 40 proc. jego wyborców to nie wyborcy PiS i że swój wynik osiągnął dzięki głosującym wcześniej na Sławomira Mentzena oraz Grzegorza Brauna. PiS jest w euforii. Część jego polityków uważa, że wygrana Nawrockiego w zasadzie załatwia już powrót do władzy jesienią 2027 r., i to najpewniej w formie samodzielnych rządów.

W sierpniu Karol Nawrocki obejmuje urząd. Kolejne miesiące weryfikują boleśnie optymizm polityków PiS. Poparcie dla tego ugrupowania nie tylko nie wzrasta, lecz także zaczyna notować poziomy najniższe od ok. dekady. Nowym impulsem ma być namaszczenie na początku marca 2026 r. Przemysława Czarnka na kandydata PiS na premiera. Partyjny przekaz mówi o „efekcie Czarnka", jest to jednak zaklinanie rzeczywistości. Żadnego efektu nie ma, sondażowo PiS praktycznie stoi w miejscu.

Jednocześnie niektóre decyzje prezydenta Nawrockiego, takie jak podpis pod wygaszeniem hodowli zwierząt na futra, pod drastycznym zaostrzeniem kar dla kierowców albo pod radykalnym zwiększeniem kompetencji Państwowej Inspekcji Pracy, a przede wszystkim podpis pod ustawą w teorii wygaszającą uprawnienia dla Ukraińców, a faktycznie przenoszącą je permanentnie do innych ustaw sprawiają, że prezydent przestaje być postrzegany przez część swoich wyborców jako przekraczający granice politycznej PiS-owskiej bańki. PiS traci w ten sposób atut polegający na traktowaniu Karola Nawrockiego jako tego, który przyciągał będzie wyborców jednej lub drugiej Konfederacji. Widać to również w sondażach CBOS zaufania do polityków, gdzie prezydent wciąż jest na pierwszym miejscu, ale traci i ufa mu już nieco mniej niż połowa respondentów.

Z partiami politycznymi jest trochę jak z gwiazdami. Astrofizycy dawno już opracowali standardowy życiorys gwiazd, zależący od sposobu ich powstania i ich wielkości. Wiadomo np., że za określony czas, liczony w miliardach lat, nasze Słońce zamieni się w tzw. czerwonego olbrzyma, a skończy jako biały karzeł. Partie polityczne również rządzą się z góry określonymi mechanizmami. Jeśli spojrzeć na dzisiejszy PiS, to okazuje się, że mamy przed sobą modelowy przypadek.

eprasa.pl ca87f60a9b



FOT. FILIP NAUMIENKO/REPORTER

Po pierwsze – jest to ugrupowanie o konstrukcji bardzo spersonalizowanej i wodzowskiej. Po drugie – wynika z tego, że nie ma w nim normalnych mechanizmów wymiany kadr, awansów czy sukcesji władzy. Wszystko opiera się na jednej osobie i jej woli. Po trzecie – w miarę starzenia się lidera i tracenia przez niego kontroli nad sytuacją działające dotychczas mechanizmy wewnętrzne przestają funkcjonować. Po czwarte – utrata władzy i pojawienie się trwałej konkurencji, skutecznie walczącej o podobny segment elektoratu, sprzyjają narastaniu wewnętrznych napięć.

Wszystkie te czynniki mają łącznie naturę samonapędzającego się mechanizmu niszczącego. Do jakiegoś momentu można go jeszcze zatrzymać, ale po przekroczeniu pewnej granicy jest to już niemożliwe. PiS jest prawdopodobnie blisko tego punktu. Niskie notowania wskazują, że liczba mandatów, jakie ta partia zyska w kolejnym rozdaniu sejmowym, będzie o kilkadziesiąt miejsc mniejsza niż dotąd. To z kolei oznacza, że rośnie wewnętrzna rywalizacja, bo wiele osób zaczyna mieć przed oczami widmo znalezienia się poza Sejmem, a są to w dużej mierze osoby, które w normalnym życiu sobie po prostu nie poradzą. Na to nakłada się obawa, że PiS władzy nie przejmie, a jeśli nawet, to na pewno nie samodzielnie. To zaś oznacza, że osoby, które wylecą z sejmowych posad, nie znajdą miejsc w spółkach Skarbu Państwa czy na innych posadach, na które można było liczyć w ciągu dwóch kadencji rządów PiS.

Ważne jest, że wśród polityków PiS można wyróżnić dwie grupy. Jedna to ci, którzy uważają, że mają szansę trwania w polityce nawet pod innym szyldem. Do tej grupy należą „harcerze" – frakcja wspierająca Mateusza Morawieckiego i jego Stowarzyszenie Rozwój Plus. Druga grupa to ci, którzy z różnych powodów wiedzą, że jeżeli PiS pójdzie na dno, to oni utoną razem z nim. To politycy maksymalnie obciążeni wizerunkowo, tacy jak Jacek Sasin, Joanna Lichocka czy Ryszard Terlecki (ten ostatni, co ciekawe, znalazł się w stowarzyszeniu Morawieckiego). Napięcie pomiędzy tymi grupami jest kolejną osią konfliktu.

Na to nakłada się jeszcze jedna oś: po jednej stronie są ci, którzy chcą PiS ratować, ale rozumieją, że jedynym sposobem jest zerwanie z jedynowładztwem Kaczyńskiego i przeciwstawienie się jego coraz bardziej chaotycznemu przywództwu; po drugiej ci, którzy starają się przebijać innych w konformizmie i płaszczeniu się przed prezesem, bo uważają, że tylko tak zapewnią sobie biorące miejsca, których będzie mniej niż w poprzednich trzech kadencjach.

SŁABOŚĆ KAPITANA

Dodatkowo nad PiS wisi coś, o czym wszyscy boją się głośno mówić: Jarosław Kaczyński nie jest nieśmiertelny. Lider PiS ma dzisiaj 76 lat. Za moment, w czerwcu, skończy 77. Miewa momenty lepsze lub gorsze, ale tych gorszych jest już zdecydowanie więcej. Gdy prezesa w polityce zabraknie, znajdziemy się w nowej politycznej rzeczywistości, a wewnętrzny konflikt w Prawie i Sprawiedliwości rozgorzeje z mocą, jakiej dotychczas nie widzieliśmy.

Na razie prezes Kaczyński na pokładzie jest, ale jest jak kapitan, który stracił dawne refleks i spostrzegawczość, reaguje zbyt wolno, czasem grubo po fakcie, a na dodatek nie umie wytyczyć nowego kursu. Statek przecieka, nieszczelności się powiększają, a pod pokładem, a czasami nawet na mostku wybuchają karczemne kłótnie nie tylko o to, dokąd i z jaką prędkością płynąć, lecz także o przyszłe miejsca w tratwach ratunkowych, których jest zbyt mało i są w słabym stanie. Kapitan podchodzi do awanturników i upomina ich ze srogą miną. Ci na moment spuszczają głowy, ale gdy tylko dowódca skręci za róg korytarza, od nowa biorą się za łby.

Być może gdyby załoga wiedziała, że kapitan ma pomysł, którędy i dokąd płynąć, mniej byłaby skłonna do wszczynania burd. Lecz od przegranych wyborów minęło dwa i pół roku, więc większość kadencji, a PiS dotychczas nie zaprezentował całościowej koncepcji mimo wielokrotnych zapowiedzi. Trudno bowiem za taką uznać hasłowe reakcje na działania rządu Donalda Tuska, którego partia okrzepła i umocniła się na prowadzeniu.

eprasa.pl ca87f60a9b

Niedawno na portalu Klubu Jagiellońskiego Paweł Musiałek opublikował ciekawy tekst, mówiący o tym, jak Tusk przejął w wielu dziedzinach politykę PiS, tyle że bez obciążenia wizerunkowego, na które zapracowała sobie ta partia. Wnioskowanie szefa Klubu Jagiellońskiego nie jest pozbawione luk, ale Musiałek dobrze uchwycił zasadniczy problem ugrupowania Jarosława Kaczyńskiego: ataki wymierzone w szefa rządu sprawiają wrażenie, jakby były wymierzane w powietrze, bo Tusk w wielu sprawach faktycznie poszedł tropem PiS. Znacznie lepiej radzi sobie tutaj Konfederacja ze swoimi autentycznymi – a nie wymuszonymi – „dwoma płucami".

Weźmy przykład polityki imigracyjnej. PiS dużo pokrzykiwał o walce z nielegalną migracją, za to na potęgę wpuszczał do Polski imigrantów zarobkowych z najbardziej odległych miejsc, nie opierając tego na żadnej spójnej strategii. Jak w czerwcu ubiegłego roku tłumaczył prezes Kaczyński – na PiS wymuszali to rzekomo przedsiębiorcy. Takie tłumaczenie brzmi absurdalnie, bo byłaby to chyba jedyna sprawa, i to akurat o ogromnych strategicznych skutkach, w której przedsiębiorcy byliby w stanie cokolwiek na PiS wymusić. Staje się to jednak bardziej zrozumiałe, jeśli dostrzeżemy, że polityka gospodarcza, którą prowadził rząd Morawieckiego, była nastawiona na jak najmniejsze problemy dla wielkich biznesów, za to lekceważyła interesy małych i średnich przedsiębiorców. A to właśnie wielkie biznesy najbardziej chciały zatrudniać obcokrajowców.

Donald Tusk postanowił działać na bezczela. Zrobił w sprawie imigracji zwrot niemal o 180 stopni, i to – co bardzo ważne – nie tylko retorycznie. Jego rząd faktycznie zaczął zamykać przynajmniej część furtek migracji legalnej, a także opracował strategię migracyjną, czego rząd PiS nigdy nie zrobił. I cóż z tego, że ktoś będzie przypominał Jońskiego na granicy z pizzą albo kabaretowy rajd Franciszka Sterczewskiego z torbą z Ikei? Było, minęło. Co ma z tym zrobić PiS? Zacząć mówić, że Tusk robi źle, bo za mało wpuszcza do Polski legalnych imigrantów? Konfederacja nie ma tego kłopotu – krytykowała od dawna wpuszczanie nawet legalnej migracji. Sławomir Mentzen był dawno temu innego zdania, ale on – inaczej niż politycy PiS – jasno stwierdził, że się mylił.

Obecna władza podkłada się w wielu sytuacjach, ale PiS, zajęty wewnętrznymi kłótniami, nie jest w stanie z tego skorzystać

Powie ktoś, że przecież PiS też w niektórych sprawach zmienił zdanie – np. odżegnując się od Zielonego Ładu i polityki klimatycznej UE. Jest jednak zasadnicza różnica: Donald Tusk zaczął w sprawie imigracji faktycznie działać, podczas gdy PiS wciąż utrzymuje – w kontrze do obu Konfederacji – że imigracji legalnej nie wolno ograniczać.

W sprawie polityki klimatycznej PiS zaś mówi co innego, niż robił, ale tak samo działał w czasie sprawowania władzy – mówił co innego, niż robił. Dzisiaj są to zresztą tylko słowa, w dodatku bez fazy refleksji nad własnym postępowaniem w latach 2015–2023. Na dodatek nie widać tutaj spójnego programu, a nie zastąpią go pokrzykiwania o „OZE-sroze".

Obecna władza podkłada się w wielu sytuacjach, ale PiS, zajęty wewnętrznymi kłótniami, nie jest w stanie z tego skorzystać. Gdy wyszło na jaw, że Amerykanie faktycznie nie zamierzają rotować do Polski brygady, która miała do naszego kraju trafić, powstał informacyjny chaos. PiS postanowił uderzyć we władzę. Na koncie na X Jarosława Kaczyńskiego opublikowano następujący wpis: „Bezpieczeństwo i pozycję w NATO buduje się na zaufaniu, które Tusk konsekwentnie podważał. Dzisiaj mamy tego skutki: spadek bezpieczeństwa Polek i Polaków. Rozedrganie i rozemocjonowanie Tuska są tylko potwierdzeniem jego słabości i ogromnych błędów, jakie popełnił. Żal patrzeć...".

Problem w tym, że to kolejne stwierdzenie z cyklu „Donald Tusk jest zły", całkowicie jałowe. Natychmiast pojawia się pytanie, dlaczego decyzji Amerykanów nie zapobiegł mający ponoć znakomite relacje z Białym Domem prezydent wspierany przez PiS. Ba, jest jeszcze gorzej: jeśli faktycznie Waszyngton obraził się na Polskę za wypowiedzi premiera Tuska – jak zaczęli sugerować politycy PiS – to jest to tylko potwierdzenie poglądu tegoż polityka, że mamy do czynienia z rozhisteryzowanym, chimerycznym narcyzem, a nie poważnym partnerem. W gruncie rzeczy zatem Jarosław Kaczyński uderza we własną politykę całkowitego uzależnienia Polski od USA.

Mało tego: w czasie, gdy na koncie prezesa PiS jego współpracownicy umieszczają takie bezproduktywne retoryczne popisy, na ulicy leżą tematy dotykające zwykłych Polaków. W ubiegłym tygodniu w Warszawie odbył się naprawdę duży protest zdesperowanych małych przedsiębiorców handlujących tekstyliami, sprzeciwiających się absurdalnemu systemowi SENT, który wymusza na nich wypełnianie skrajnie rozbudowanych formularzy i mierzenie się z gigantyczną biurokracją. Wciąż pojawiają się nowe informacje o fatalnym działaniu systemu kaucyjnego czy systemu KSeF. A dopiero co rząd wprowadził podatek od smartfonów w postaci nowej wersji opłaty reprograficznej.

UPADEK JEST NIEUNIKNIONY?

PiS nie jest w stanie zareagować na żaden z tych problemów poza rzucanymi okazjonalnie i mimochodem hasłami, za którymi nie idzie nie tylko żaden pomysł, lecz także żadna wiążąca deklaracja, jak partia Kaczyńskiego zamierzałaby do tych spraw podejść po odebraniu władzy Tuskowi. W niektórych zresztą przypadkach to milczenie jest uzasadnione. Przecież poszerzyć opłatę reprograficzną o m.in. smartfony chciał minister Piotr Gliński, a KSeF to pomysł PiS, który miał być wprowadzony jeszcze za rządów tej partii.

Odwołując się do fizyki kwantowej, można powiedzieć, że stan wewnętrzny PiS ilustruje zasadę nieoznaczoności Heisenberga. Mówi ona – dla przypomnienia – że pomiar jednej wartości powoduje, iż drugiej nie da się już dokładnie zmierzyć. Konia z rzędem temu, kto jest w stanie powiedzieć, w jakim aktualnie stanie jest stowarzyszenie Mateusza Morawieckiego wewnątrz PiS – bo wiadomo, że przez sąd zostało już zarejestrowane. W jego sprawie sam prezes zmieniał zdanie już dwukrotnie. Jedno jest jasne: PiS jest dzisiaj w bodaj największym kryzysie w swojej historii. Z pewną dozą schadenfreude dodać można, że samo na niego wydatnie zapracowało. Nie oznacza to, że lada chwila nastąpi katastrofa tej partii. Jednak dzisiaj jest do niej bliżej, niż było kiedykolwiek.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ca87f60a9b

KSIĘGARNIA DO RZECZY



ZAPRASZAMY DO KSIĘGARNI DO RZECZY



KSIEGARNIADORZECZY.PL

eprasa.pl ca87f60a9b



Z mecenasem Rafałem Dorosińskim, członkiem zarządu Ordo Iuris, autorem książki „W obronie małżeństwa. Odpowiedź na uderzenie w fundament cywilizacji”

rozmawia Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska

Pozory legalności

ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA: Najpierw Warszawa, potem Wrocław – kolejne urzędy stanu cywilnego transkrybują zagraniczne akty „małżeństw” osób tej samej płci. Decyzje wywołują w Polsce gorącą dyskusję. Zacznijmy więc od podstaw: Czym właściwie jest transkrypcja?

MEC. RAFAŁ DOROSIŃSKI: Transkrypcja to przeniesienie treści zagranicznego aktu stanu cywilnego do polskiego rejestru – w uproszczeniu można powiedzieć, że jest to polskojęzyczna kopia aktu zagranicznego. Kopia ta jednak „odrywa się” od oryginału i staje się samodzielnym aktem stanu cywilnego w polskim rejestrze. Problem zaczyna się wtedy, gdy w przedkładanym do transkrypcji akcie małżeństwa zamiast kobiety i mężczyzny widnieją dwie osoby tej samej płci.

Co na to polskie prawo?

Zakazuje transkrypcji takiego aktu. Stanowi o tym art. 107 ustawy Prawo o aktach stanu cywilnego, który wprost nakazuje kierownikowi urzędu stanu cywilnego odmówić transkrypcji aktu, który byłby sprzeczny z „podstawowymi zasadami porządku prawnego Rzeczypospolitej Polskiej” – to tzw. klauzula porządku publicznego.

O tym, że w przypadku zagranicznych „małżeństw” osób tej samej płci mamy do czynienia z taką sprzecznością, rozstrzyga sam art. 18 Konstytucji RP (chroniący małżeństwo „jako związek kobiety i mężczyzny”) i jego umieszczenie w rozdziale pierwszym konstytucji, zawierającym fundamentalne zasady ustroju Rzeczypospolitej. Podobnie Trybunał Konstytucyjny uznał, że przepis ten „wyraża podstawową zasadę ustroju państwa”.

Jak wyglądała droga prawna, która doprowadziła do momentu, w którym jesteśmy dzisiaj?

Dwóch panów, którzy „zawarli małżeństwo” w Niemczech, wystąpiło w Polsce o transkrypcję zagranicznego aktu. Odmówiono im, zaskarżyli decyzję i dotarli do Naczelnego Sądu Administracyjnego. I tu zaczyna się problem. NSA powinien po prostu utrzymać odmowę w mocy – był związany uchwałą siedmiu sędziów NSA z 2019 r., uznającą transkrypcję takiego aktu za niedopuszczalną. Skład trzyosobowy mający wątpliwości powinien wystąpić do składu poszerzonego. NSA tego nie zrobił. Zamiast tego zadał Trybunałowi Sprawiedliwości Unii Europejskiej pytanie prejudycjalne – w sposób, delikatnie mówiąc, tendencyjny.

A TSUE odpowiedział, że transkrypcji należy dokonać.

Tak. Wyrok TSUE z 25 listopada 2025 r. stwierdza, że państwo członkowskie ma „w jakiś sposób” uznać małżeństwo jednopłciowe zawarte w innym państwie członkowskim. Tyle że to orzeczenie zostało wydane z karygodnym przekroczeniem kompetencji TSUE.

To poważny zarzut. Na czym go pan opiera?

Na prawie pierwotnym Unii Europejskiej. Po pierwsze – zgodnie z art. 5 ust. 2 Traktatu o Unii Europejskiej Unia działa wyłącznie w granicach kompetencji przyznanych jej przez państwa członkowskie. Materialne prawo małżeńskie i rodzinne nigdy nie zostało wpisane do katalogu kompetencji UE (art. 3 i 4 TFUE) – pozostaje wyłączną domeną państw członkowskich.

Po drugie – TSUE oparł swoje rozstrzygnięcie m.in. na Karcie Praw Podstawowych UE. Tymczasem do Polski stosuje się Protokół nr 30, który stanowi wprost, że karta nie rozszerza zdolności TSUE do uznawania polskich regulacji za niezgodne z prawami i zasadami w niej potwierdzonymi.

Wyrok TSUE nie zmienia więc stanu prawnego w Polsce – akty UE wydane ultra vires, jak wielokrotnie potwierdzał Trybunał Konstytucyjny, nie korzystają z zasady pierwszeństwa.

Mając w ręku orzeczenie TSUE, na które można się było powołać, NSA nakazał transkrypcję.

Dokładnie. Oba wyroki to próba zbudowania pozorów legalności wokół rozstrzygnięcia, które z polskim prawem jest nie do pogodzenia.

Na to wszystko nakłada się jeszcze rozporządzenie.

Tak jak orzeczenie TSUE było pretekstem do wyroku NSA, tak ten ostatni jest pretekstem dla ministra cyfryzacji i rządu do zmiany rozporządzenia określającego wzór aktu małżeństwa. W nowej wersji wzoru zrezygnowano z określeń „małżonek pierwszy” i „małżonek drugi”, wprowadzając dwie identyczne rubryki „Mężczyzna/Kobieta – wybrać odpowiednie”, co umożliwia zestawienie dwóch osób tej samej płci. I to jest sedno całej operacji: aktem podustawowym, wydanym przez ministra w jego gabinecie, próbuje się obejść Sejm, Senat i prezydenta – a w istocie zmienić treść konstytucji i ustawy. Rozporządzenie zgodnie z art. 92 konstytucji ma wykonywać ustawę, a nie ją modyfikować. Hierarchia źródeł prawa zostaje postawiona na głowie – najniższy szczebel ma rzekomo zmieniać najwyższy. Coś takiego nikomu się wcześniej w Polsce nie śniło.

eprasa.pl ca87f60a9b

Obecna władza działa metodą faktów dokonanych. Tak było z mediami publicznymi, z Prokuraturą Krajową, a teraz dokładnie ten sam mechanizm uruchomiono w sprawie „małżeństw" jednopłciowych.

Każdy z tych przypadków łączy ta sama logika: rządzący traktują instytucje państwa nie jak ramy, w których muszą działać, lecz jak przeszkody, które trzeba ominąć. W przypadku mediów publicznych ominięto KRRiT i ustawę o radiofonii. W przypadku Prokuratury Krajowej ominięto przepisy o powołaniu i odwołaniu prokuratora krajowego. Teraz, w sprawie transkrypcji, omija się Sejm i prezydenta.

Co możemy z tym zrobić tu i teraz? Czy musimy po prostu czekać na zmianę rządu, który inaczej podejdzie do prawa?

To pytanie jest w istocie pytaniem o to, co robić, kiedy partner przy szachownicy zamiast grać, zaczyna strącać figury ręką. Można mu wskazać regulamin – on go nie czyta. Można wezwać sędziego, ale sędzia jest jego kolegą. Można odejść od stołu – ale wtedy on ogłosi, że wygrał. W tym momencie szachy się skończyły, zaczęła się rozgrywka innego rodzaju – siły. Pozostaje droga sądowa w jednostkowych sprawach i oczekiwanie na rozstrzygnięcie TK w sprawie K 10/26. Ale to, co jest najważniejsze, to budowanie społecznego sprzeciwu – bo tylko on jest językiem, który ta władza może zrozumieć.

Załóżmy, że ten społeczny sprzeciw zadziała i władza się zmienia. Czy zostawione przez obecny rząd skutki prawne będzie można cofnąć?

Samo rozporządzenie można zmienić bardzo szybko – wystarczy nowy akt wykonawczy. Trudniejsze będzie uporanie się z aktami, które do tego czasu zostaną już przetranskrybowane. Nawet jeśli część uda się unieważnić sądowo, reszta pozostanie w obiegu.

Dochodzimy tu do kwestii rozstrzygającej. Czy akt sprzeczny z art. 18 konstytucji i art. 1 Kodeksu rodzinnego w ogóle wywołuje skutki prawne? Moim zdaniem nie. Mamy dwie ścieżki, żeby to wiążąco potwierdzić. Pierwsza prowadzi przez Trybunał Konstytucyjny – sprawa K 10/26, do której przedłożyliśmy opinię „przyjaciela sądu", toczy się już teraz i to w niej TK ma się wypowiedzieć o konstytucyjności transkrypcji zagranicznych aktów małżeństwa zawierających dane dwóch osób tej samej płci. Korzystne rozstrzygnięcie zamknęłoby sprawę w zasadzie bez potrzeby angażowania ustawodawcy.

W sprawie transkrypcji aktów „małżeństw" tej samej płci rządzący traktują instytucje państwa nie jak ramy, w których muszą działać, lecz jak przeszkody, które trzeba ominąć

Druga ścieżka to ustawa – jej projekt przygotowujemy w Ordo Iuris. Działałaby na dwóch płaszczyznach. Po pierwsze, zamyka furtkę na przyszłość: wprowadza do Prawa prywatnego międzynarodowego klauzulę wyłączającą stosowanie obcych przepisów dotyczących związków osób tej samej płci. Zagraniczne „małżeństwo" jednopłciowe nie wchodzi w ogóle do polskiego porządku prawnego. Po drugie, potwierdzałaby ustawowo, że taki akt nie wywołuje skutków przewidzianych dla małżeństwa – m.in. w podatkach i ZUS.

Co do wniosku do TK – sęk w tym, że nawet jeśli Trybunał orzeknie niezgodność z ustawą zasadniczą, to obecna władza ten wyrok zignoruje.

Trzeba spojrzeć na to z trzech perspektyw. Pierwsza – formalna. Wyrok TK ma skutek erga omnes i jest ostateczny, tak stanowi art. 190 konstytucji. Druga – odpowiedzialność urzędnicza. Kierownik USC, który po niekorzystnym dla rządu wyroku TK nadal transkrybuje akty, działa bez podstawy prawnej. To jest osobista odpowiedzialność – dyscyplinarna, służbowa, w skrajnych przypadkach z art. 231 Kodeksu karnego. Trzecia – ustrojowa. Każda władza kiedyś się kończy, a wyrok TK pozostanie w porządku prawnym dłużej niż ona. Czy więc obecna władza wyrok zignoruje? Prawdopodobnie tak. Czy to oznacza, że wyrok jest bez znaczenia? Absolutnie nie. To dwa różne pytania.

Sędzia Kamil Zaradkiewicz opublikował na platformie X wpis, w którym przekonuje, że transkrypcja oznacza pełne uznanie zagranicznego małżeństwa ze wszystkimi skutkami prawnymi – łącznie z adopcją i wspólnym rozliczaniem podatków. Pisze wprost: „Dyskusja o tym, czy transkrypcja to tylko szlaczek ozdobny w rejestrze, jest bezsensownym mydleniem oczu". Brzmi to bardzo pesymistycznie. Czy jest prawdziwe?

Nie zgadzam się z tą opinią. Bierze ona w nawias to, co jest tu zupełnie kluczowe: materia małżeństwa jest regulowana nie rozporządzeniem, lecz konstytucją i ustawami. Gdyby przyjąć inaczej, oznaczałoby to, że dowolną ustawę można obejść rozporządzeniem. To by była śmierć państwa prawa.

Czy szansą dla konserwatystów w tej sprawie mogłaby być skarga do Europejskiego Trybunału Praw Człowieka?

Ja bym tam ratunku nie szukał. Linia orzecznicza samego ETPC pokazuje, że mamy do czynienia z Trybunałem, który czynnie kreuje nowe „prawa człowieka", zamiast bronić tych, które zostały zawarte w Europejskiej Konwencji Praw Człowieka. Nie jest to wyłącznie polska diagnoza. W Wielkiej Brytanii i Szwajcarii toczy się debata o wyjściu z Rady Europy właśnie z powodu aktywizmu ETPC – w pierwszym kraju przede wszystkim w obszarze polityki migracyjnej, w drugim – klimatycznej. Zresztą wskaźnik wykonalności tzw. wiodących wyroków ETPC wynosi w Europie średnio ok. 49 proc. W 2023 r. na wykonanie czekało ok. 1,3 tys. takich wyroków.

Wielu komentatorów uważa, że temat transkrypcji „wrzucono" do debaty publicznej teraz, by przykryć blamaż służb w sprawie Zbigniewa Ziobry.

To niewykluczone. Jeśli tak jest, to z tego instrumentalnego podejścia płynęłaby pewna nadzieja. Skoro temat został wybrany taktycznie, a nie z głębokiego przekonania, to równie taktycznie może zostać porzucony. Społeczny opór i głośno wyrażona dezaprobata – przeciwko uderzeniu w małżeństwo i dalszemu podważaniu państwa prawa – mogą zatrzymać brnięcie dalej w tę ślepą uliczkę. Pytanie tylko, czy ten opór się zorganizuje.

© Ⓟ Wszelkie prawa zastrzeżone



Rafał Dorosiński *– adwokat, członek Izby Adwokackiej oraz zarządu Ordo Iuris, autor m.in. książek „»Mowa nienawiści« – koń trojański rewolucji kulturowej" oraz „W obronie małżeństwa. Odpowiedź na uderzenie w fundament cywilizacji".*

eprasa.pl ca87f60a9b



Max Liebermann, „Droga do szkoły w Laren", 1889 r.
FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Liebermann i spółka



Piotr Semka

Przenoszenie nurtów estetycznych z Francji nad Ren i Szprewę uruchamiało reakcję zwolenników „niemieckiej z ducha" sztuki narodowej. A tymi, którym przyklejano łatkę zwolenników „sztuki kosmopolitycznej", niosącej „galijską dekadencję", byli impresjoniści, potem zgrupowani w Secesji Berlińskiej

Impresjonizm tak silnie kojarzy się z Francją, że w Polsce mało kto łączy Niemcy ze stylem malarstwa, którego symbolami są Claude Monet, Auguste Renoir czy Camille Pissarro. Tymczasem niemieccy impresjoniści nie mieli łatwo. W Paryżu witano ich podejrzliwie jako przybyszy z teutońskiego kraju niedawnego wroga. Z kolei nad Renem i Szprewą często widziano w nich reprezentantów znienawidzonej wtedy „francuszczyzny".

W Museum Barberini w Poczdamie do obejrzenia jest wielka przeglądowa wystawa niemieckich impresjonistów, na czele z najwybitniejszym z nich artystą Maxem Liebermannem (1847–1935). Z kolei parę stacji kolejki dalej można zaznać czaru Liebermann-Villa (willi Liebermanna) nad jeziorem Wannsee, gdzie kolejną wystawę poświęcono barwnemu życiu malarza na tle wieków XIX i XX. Słowem tegoroczna wiosna w Berlinie i Poczdamie należy do impresjonistów.

OBCY WŚRÓD SWOICH

Naszą podróż w ten mało znany w Polsce świat zaczynamy w Museum Barberini. Ta prywatna placówka już nieraz zawstydzała największe państwowe galerie, organizując wystawy na naprawdę najwyższym poziomie. Teraz poczdamscy muzealnicy zajęli się niemieckim impresjonizmem, którego fenomenu nie sposób zrozumieć bez politycznego tła. To właśnie ten nurt malarstwa był w ostatnich dwóch dekadach XIX w. i na początku XX w. fenomenem, po latach postrzeganym jako wyzwanie dla fali niemieckiego szowinizmu. Jak wskazuje niemiecki dziennik „Die Tageszeitung", wystawa w Museum Barberini podkreśla, że niemiecki impresjonizm „otworzył drzwi do wyjścia z nacjonalistycznie zdefiniowanej i reprezentacyjnej sztuki". Tacy malarze i malarki niemieckiego impresjonizmu jak Max Slevogt, Gotthard Keuhl, Lesser Ury, Dora Hitz, Sabine Lepsius i Maria Slavona odnieśli wtedy spory sukces dzięki uczestnictwu w wystawach Secesji Berlińskiej, tego pewnego siebie i odnoszącego sukcesy komercyjne stowarzyszenia artystów, którego założycielem był Max Liebermann.

I to właśnie od jego postaci, która zresztą dominuje nad wystawą, trzeba zacząć tę opowieść. Urodził się w rodzinie bogatego żydowskiego przemysłowca Louisa Liebermanna. Przez pierwszą połowę życia chłopak wciąż dokazywał. Nie chciał pójść wyznaczaną przez ojca drogą kupca lub fabrykanta. Odrzucał żydowską ortodoksję. Buntował się przeciw szkole. Z Uniwersytetu Berlińskiego, gdzie ojciec kazał mu studiować chemię, wydalono go za „brak pracowitości akademickiej". W końcu chłopakowi, który jedyne, co lubił, to rysować, zrezygnowany ojciec pozwolił studiować w Saksońskiej Szkole Sztuk

eprasa.pl ca87f60a9b

Pięknych w Weimarze. W odróżnieniu od wielu innych kolegów po pędzlu nigdy nie musiał martwić się o utrzymanie. Bogaty ojciec przez całe życie wspierał młodego buntownika. Jak wielu ówczesnych niemieckich Żydów Liebermann uważał za swój obowiązek udowodnić, że jest takim samym dobrym Niemcem jak inni. Zgłosił się więc na wojnę prusko-francuską, ale to, co zobaczył w trakcie działań wojennych, wyleczyło go raz na zawsze z pruskiej tromtadracji. Chłopak wraca do malowania i szybko podchwytuje wzorce francuskiego impresjonizmu. Wzoruje się też na realistycznej holenderskiej szkole haskiej. Odrzuca dominujące wtedy przesłodzone obrazki rodzajowe – tzw. malarstwo genre (rodzajowe). Ten zahaczający o kicz styl pokazywał wyidealizowane sceny z życia tyrolskich górali czy neapolitańskich ulicz-ników – „Lazzaroni".

Na wystawie staję przed rzędem dzieł Liebermanna z tego okresu. Podobno malarz przeżył olśnienie, gdy oglądał przypadkiem chłopów kopiących buraki pod Weimarem w 1873 r. Uderzyło go swoiste dostojeństwo ruchów ludzi w skupieniu wykonujących swoją pracę. I bardzo szybko malarz przeniósł to, co zobaczył, na płótna. Oto obraz „Chłopki skubiące gęsi". Kobiety gromadzą puch na pierze do poduszek w 1884 r. Na innych obrazach Liebermann przedstawia kobiety ze wspólnoty beginek skupione w ciszy nad haftowaniem. A tuż obok obraz chłopki wysypującej karmę gromadce prosiaków w zagrodzie.

Wszystko to malowane „rozlazłymi" impresjonistycznymi ruchami pędzla. Mnóstwo w tych płótnach światła i koloru, ale też dużo spokoju. Takie sięganie po tematy plebejskie szokowało ówczesnych krytyków przyzwyczajonych do wielkich płócien przedstawiających herosów i ich bohaterskie czyny. Krytycy nazwali więc Liebermanna „malarzem brzydoty".

Za parę lat, w 1879 r., Liebermann swoim kolejnym obrazem wywoła antagonizm zarówno ze strony swoich pobratymców, jak i niemieckich chrześcijan. Namaluje Jezusa jako 12-letniego chłopca w debacie z uczonymi w Piśmie w synagodze. Ortodoksyjnych Żydów oburzy, sięgając po postać Chrystusa, a niemieckich katolików i protestantów zaskoczy, odmalowując Boga – nastolatka z wyraźnymi rysami semickimi i ciemnymi włosami. Aby



Karykatura Maxa Liebermanna jako „świętego" niemieckiej secesji, magazyn satyryczny „ULK" z 1910 r. FOT. MATERIAŁY PRASOWE

złagodzić oburzenie, Liebermann przemaluje włosy chłopca na nieco jaśniejszy kolor. Ale była to zapowiedź przyszłych kontrowersji wokół pierwszego głośnego niemieckiego malarza o żydowskich korzeniach.

Sławę zdobywali też kolejni impresjoniści, tacy jak Friedrich Kallmorgen czy Gotthardt Kuehl. Ten ostatni ma tyle śmiałości, że szturmuje nawet paryski salon w 1894 r., choć Francuzi krzywią się na artystę z kraju, który zabrał Francji Alzację i Lotaryngię. Polityka wkroczyła w życie impresjonistów także wcześniej. Gdy w Paryżu w 1889 r. dla uczczenia stulecia rewolucji francuskiej organizowany jest



Lesser Ury, „Cafe König w nocy", 1925 r. FOT. MATERIAŁY PRASOWE

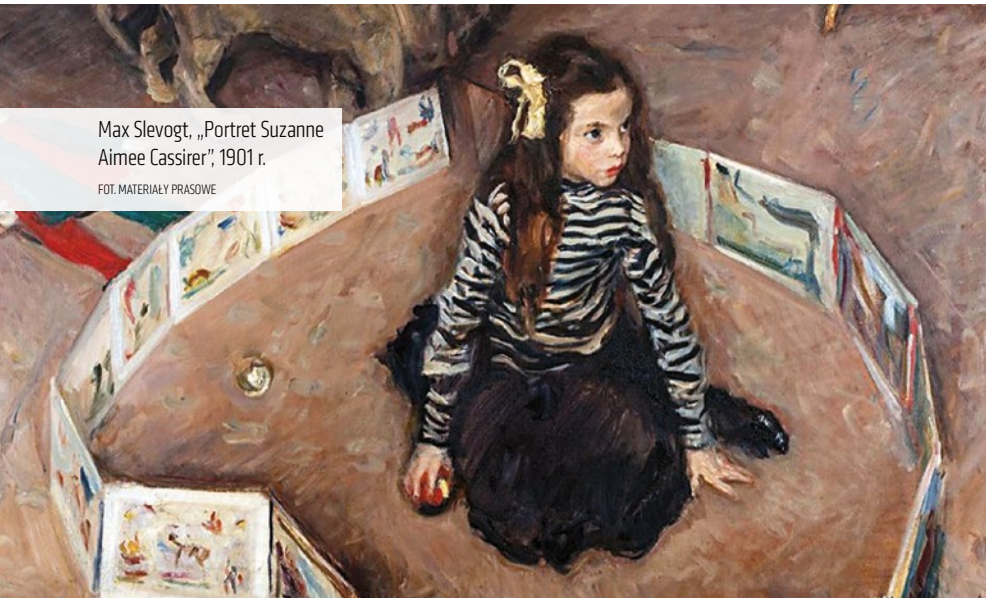
międzynarodowy salon malarski, cesarz Wilhelm II oficjalnie zakazuje Niemcom wysyłania swoich prac. A jednak Max Liebermann i dwóch jego innych kolegów za pomocą rozmaitych kruczków formalnych umieszczają na wystawie swoje dzieła. Ale Paryż niespecjalnie zwraca uwagę na niemieckich impresjonistów. Ma tylu swoich wybitnych mistrzów, że nie musi dostrzegać nawiązujących do nowego stylu malarzy znad Renu i Szprewy.

GUST NOWEJ KLASY

Wraz ze zjednoczeniem Niemiec cesarstwo przeżywa nieprawdopodobny boom ekonomiczny. Młoda niemiecka burżuazja, w tym wielu biznesmenów z rodzin żydowskich, w ciągu dosłownie paru dekad osiąga ogromne bogactwo. Dzięki nim młodzi impresjoniści nie giną z głodu i znajdują nabywców na swoje obrazy. To nie przypadek. Kupcy i przedsiębiorcy w odróżnieniu od pruskiej szlachty jeżdżą po Europie i szybko podchwytują nowe trendy. W opozycji do nich sytuuje się cesarz Wilhelm II, który ma ambicje kształtować ówczesną politykę kulturalną cesarstwa i lansuje akademicki oraz pompatyczny styl, sławiący teutońską potęgę.

Max Liebermann wraz z grupą młodych buntowników malarskich zakłada w 1899 r. wspomniane stowarzyszenie Secesja Berlińska i przez kolejne 10 lat jest jej przywódcą. Na wystawach Secesji Berlińskiej i w salonie marszanda Paula Cassirera regularnie pokazywane są dzieła francuskich impresjonistów. A za ich przykładem ich niemieccy koledzy skupiają się na paru grupach tematów. Pierwsza fascynacja to nowoczesne miasto. Na obrazach Maxa Slevogta czy Lessera Ury'ego zgromadzonych na poczdamskiej wystawie oglądamy rozświetlane miejskimi latarniami arterie pełne dorożek i pierwszych automobili. Podziwiamy findesieclowe wnętrza filharmonii czy wielkomiejskich kawiarni. Motywy balansujące między wiarą w postęp a miejską melancholią, jak napisała jedna z recenzentek wystawy. Gra świetnych refleksów w naturalny sposób pasowała do impresjonistycznego postrzegania świata. Osobną salę poświęcono impresjonistycznym portretom dzieci. Na takie obrazy niemiecka burżuazja nie żałowała pieniędzy. Patrzyła ona na swe pociechy jako zalążek kupieckich czy industrialnych dynastii. Oto Max Slevogt i jego portret córki Paula

eprasa.pl ca87f60a9b



Max Slevogt, „Portret Suzanne Aimee Cassirer", 1901 r.
FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Cassirera, która zostanie kiedyś psychologiem i biografką Zygmunta Freuda. Na obrazie dziewczynka z wyrazistymi ciemnymi oczami buduje z postawionych na sztorc dziecięcych książeczek coś w rodzaju twierdzy. I kolejny ulubiony temat to teatr. Impresjoniści lubili uwieczniać aktorów najlepiej w sztukach kostiumowych. Gra świateł na teatralnej scenie także dobrze pasowała do ich widzenia świata. Wreszcie na koniec sala poświęcona nowości końca XX w., czyli wypoczynkowi nad morzem. Max Liebermann poświęca całe miesiące letnie na malowanie w holenderskim kurorcie Noordwijk. W tamtej epoce wynalazek kolei umożliwił szybkie wypady z zadymionych miast dla złapania haustu morskiego powietrza. Autorzy wystawy piszą: „Nadmorskie promenady i przejażdżki konne po holenderskim wybrzeżu czy dzieci kąpiące się w jeziorach. Luźne pociągnięcia pędzla i jaskrawe kolory nadają tym obrazom atmosferę beztroskiej przyjemności. Impresjonizm łączył odkryte na nowo zainteresowanie naturą z zachwytem rekreacją nad wodą, co odzwierciedlało ówczesnego ducha nowoczesności".

OSTATNI AZYL

Tylko parę przystanków berlińskiego S-bahnu dzieli Poczdam od okolic podberlińskiego jeziora Wannsee. To tu w 1909 r. Liebermann, gdy był już u szczytu powodzenia i zamożności, wybudował sobie pokaźną willę. I właśnie tu, podobnie jak Claude Monet w normandzkim Giverny, założył swój cudowny kwietny ogród pełen różnobarwnych kobierców roślinnych. W tym bajkowym otoczeniu obejrzeć można wystawę „Wszystko dla sztuki", poświęconą roli Liebermanna w sporach o kształt kultury Niemiec przełomu wieków XIX i XX. Efektowna kariera Liebermanna w malarstwie niemieckim była zjawiskiem szerszego trendu – gwałtownego i szybkiego awansu przedstawicieli żydowskiej burżuazji na szczyty ówczesnego społeczeństwa cesarstwa Niemiec. Szybkość tych karier wywoływała wśród wielu Niemców poczucie naruszania odwiecznego ładu, niespodziewanej konkurencji, co zamieniało się w poczucie zagrożenia i uruchamiało antysemickie klisze. W wypadku Liebermanna to, że przenosił do Niemiec nurty estetyczne z Francji, uruchamiało reakcję zwolenników „niemieckiej z ducha" sztuki narodowej. A tymi, którym przyklejano łatkę zwolenników „sztuki kosmopolitycznej", niosącej „galijską dekadencję", byli impresjoniści, potem członkowie grupy Secesja Berlińska. Oskarżano ich o przesadną frankofilię, arogancję, histeryczne reakcje. Zresztą sam Liebermann nie był w tym wszystkim aniołem. Rządził swoją grupą artystyczną twardą ręką, a na wszelkie krytyki reagował kąśliwością i dotkliwymi publicystycznymi ciosami na odlew. A jeszcze był cesarz Wilhelm II, który miał ambicję stawiać tamę nowym trendom i nazwał publicznie nowe style, w tym impresjonizm, pogardliwym określeniem „Die Gossenmalerei" („malarstwo rynsztoka"). Z drugiej strony cały artystyczny Berlin podawał sobie z ust do ust kpiące uwagi Liebermana o pompatycznym, kiczowatym stylu, w którym lubował się Kajzer.

Wystawa w willi Liebermanna pokazuje publicystyczne i satyryczne boje z tamtej epoki. Wyraźne są w nich wyjaskrawiające akcenty przypisywane Liebermannowi. Chodzi o cechy uważane wtedy za typowo żydowskie – impet, rozpychanie się łokciami, arogancja i przekonanie o swojej wyższości. Aura krytyka cesarstwa niewątpliwie wpłynęła na to, że w 1920 r. – a więc już po upadku Wilhelma II – wybrano Liebermanna na przewodniczącego Pruskiej Akademii Sztuk Pięknych. I oczywiście ta nominacja też uznana została przez obóz „volkistowski" za zniewagę.

Liebermann bronił się, jak mógł. Podkreślał, że troszczy się o niemiecki charakter sztuki, ale Adolf Hitler parł już do władzy. Wyczulony na pogarszającą się aurę wokół siebie malarz spędzał coraz więcej czasu w swojej willi, którą nieprzypadkowo nazywał „der Schloss" („zamek"). Ostatnie obrazy Liebermanna to głównie widoki jego kolorowego kwietnego ogrodu. Po dojściu Hitlera do władzy mistrz zostaje zmuszony do ustąpienia z funkcji honorowego przewodniczącego akademii. Nie chcąc międzynarodowego skandalu, naziści czekają, aż umrze. Malarz umiera 8 lutego 1935 r. Po jego śmierci żona zostaje pozbawiona willi i pałacu w Berlinie. Osiem lat później, 10 marca 1943 r., Martha Liebermann przebywając w żydowskim szpitalu w Berlinie, dostaje wezwanie do stawienia się na transport do obozu koncentracyjnego w Terezinie. Wybiera samobójstwo, przedawkowując weronal. Po jej śmierci gestapo konfiskuje resztę prywatnej kolekcji dzieł malarza.

Gdy wychodzę na ulicę z willi Liebermanna nad jeziorem Wannsee, uświadamiam sobie, że stoję tylko o 550 metrów od innej willi, w której w 1942 r. zaplanowano zagładę pobratymców Liebermanna. Typowa niemiecka koincydencja. Tak jak sąsiedztwo Weimaru Johanna Wolfganga Goethego i Friedricha Schillera z nieodległym obozem w Buchenwaldzie. Niemiecki los – niemieckie brzemię.

© Ⓟ Wszelkie prawa zastrzeżone

Wystawa „Awangarda – Max Liebermann i impresjonizm w Niemczech" w Museum Barberini w Poczdamie czynna będzie do 7 czerwca br. Wystawa „Wszystko dla sztuki" w Liebermann-Villa w Berlinie-Wannsee była otwarta do 25 maja 2025 r.

eprasa.pl ca87f60a9b

Korpoświat jest więzieniem



Grzegorz Kondrasiuk



FOT. MAGDA HUECKEL

Ostatnio w teatralnym światku pojawiło się zagadnienie nadmiarowej obecności „Hamleta". Ciekawszą sprawą jest jednak coś innego: oczekiwanie stojące za tym tytułem, z ikoniczną rolą młodego, zbuntowanego człowieka, że teatr po raz kolejny dogoni rzeczywistość i opowie rodzicom z klasy średniej o pejzażach wewnętrznych ich dzieci. Najnowszy „Hamlet" objawił się w warszawskim Teatrze Powszechnym, przechodzącym lekki (dla niewprawnego oka niezauważalny ani ideowy, ani estetyczny) rebranding pod nową dyrektorką Mają Kleczewską. Wystawił go Kamil Białaszek, który stał się dla dyrektorów i kuratorów festiwali odkryciem po jednym spektaklu, rapowym, obrazoburczym „Panu Tadeuszu" (teatr – jak widać – dziś nikogo nie obchodzi, bo nikt się nie obraził, a spektakl spokojnie sobie wisi na VOD Teatru Telewizji). Chcąc nie chcąc, młody talent – symbolicznie urodzony w roku 2000 – został zmuszony do konfrontowania się z oczekiwaniem starszyzny trzymającej władzę w teatrze – na generacyjny portret „zetek". I z takim właśnie reżyserskim wytrychem przystąpił do Szekspira, który – jak wiadomo – jest jak gąbka (typowe krytyczne bla, bla, bla uprawiane przy tych okazjach), wszystko zniesie, wszystkich przetrzyma – a jego głównymi zaletami z perspektywy ludzi teatru jest to, że po pierwsze, już nie żyje, a po drugie, jego nazwisko dobrze wygląda na afiszu i zapewne przyciągnie publiczność.

Warunek, żeby przystąpić do „Hamleta", jest jeden – trzeba mieć Hamleta. Czyli młodego aktora, który te trzy godzinki z hakiem prawie stałej obecności na scenie udźwignie. Dobrze by także było, aby miał charyzmę oraz energię, aby sprostać kilometrom miotania się po scenie w stanie egzystencjalnego pomieszania (Białaszek powiedziałby, że „mandfucka"). Powszechny ten warunek spełnił – ma Antka Sztabę z dużą łatwością dźwigającego te ciężary, może nawet zbyt łatwo, skoro ma być reprezentantem Gen Z. Ten Hamlet umie w internety, bluzga, szydzi, jest wszędzie, na wszystko ma odpowiedź, więc trudno uwierzyć, że jest reprezentantem rozmemłanego ponoć pokolenia. Zamiast „być albo nie być" Hamlet rozważa zasadność używania terroryzmu w walce Palestyny z Izraelem – i choć sprawa zostaje zawieszona, to sympatie twórców i publiczności są wyraźnie po palestyńskiej stronie. Zresztą aktorzy Powszechnego nie weszli w zaproponowaną formułę reżyserską jako bierne narzędzia. Ma to swoje dobre i złe konsekwencje. Znakomita jest, nawiązująca energetyczny i ideowy pojedynek z Hamletem-Sztabą (a pewnie i z Białaszkiem), Anna Iluczuk jako Gertruda. W scenie nad martwym Poloniuszem, jedynej pokazującej naprawdę „zetek" zrzeczenie się odpowiedzialności za świat, w dopisanych (przez samą aktorkę?) kwestiach, mówi rzeczy dotykalne i trafne. Udziela bolesnej lekcji Realpolitik, na co Hamlet nie potrafi skutecznie ripostować. Cytuję z pamięci: „Co możecie zrobić? Wrzucicie buntownicze tańce na TikToka? Kolejny livestream dla dzieci chorych na raka?" Jest to jedyne polifoniczne miejsce, nawiązujące realny dialog z Szekspirem, traktowanym raczej jak makulatura. Gorzej, gdy do głosu dorywa się Ewa Skibińska – w dopisanej nie wiadomo dlaczego postaci zduplikowanej ducha Ofelii, w megalomańskim monologu, jakżeby inaczej, o patriarchacie. Galopady pomysłów wystarczyło zresztą do połowy drugiej części, a wtedy z pomocą przyszły właśnie takie, męczące i wysilone podpórki, grafomańskie wstawki oraz fatalny pomysł, by rosnący dystans do dramatu ogrywać przeciągniętymi parodiami XIX-wiecznego aktorstwa.

Białaszek jest reżyserem o talencie do rozśmieszania, nadzwyczaj rzadkim w polskim teatrze. Jego „Hamlet", skonstruowany z cytatów i popkulturowych odniesień, przeładowany skeczami i gagami, skrzący się dowcipem (nieco co prawda tiktokowym), jest w swej wymowie skrajnie ponury i nie daje żadnej nadziei. Twórcy ostentacyjnie i wielokrotnie odrzucają dramat i mówią od siebie. „Mówi" także scenografia Aleksandry Wasilkowskiej – dominujący na środku sceny ołtarz skonstruowany z pisuarów, obrazujący (referowaną równocześnie ze sceny) teorię skapywania: globalne korporacje ukradły nam świat, a my nie chcemy o tym wiedzieć, przetwarzając ochłapy. Diagnoza ta jest również historyczna: Duch Ojca został, nadzwyczaj dowcipnie, ukazany jako telewizyjny sprzedawca garnków, co należy czytać w ten sposób, że nie tylko jesteśmy okradani przez „system" tylko dzisiaj, ale i od pokoleń. „I co z tego?" – chciałoby się odpowiedzieć na to rozpoznanie. I po co w tym wszystkim używa się Szekspira? To samo i tak samo można powiedzieć o świecie za pomocą tylu innych tekstów o znacznie mniejszym zasięgu. ©℗

TEATR POWSZECHNY W WARSZAWIE
„HAMLET" NA PODST. W. SZEKSPIRA
REŻYSERIA I OPRACOWANIE DRAMATURGICZNE: KAMIL BIAŁASZEK
PREMIERA: 16 MAJA 2026 R.

eprasa.pl ca87f60a9b



Piotr Gociek

Ziemia, wolność,

Ciąg dalszy „Yellowstone” nastąpił. Warto było czekać. Serial „Ranczo Duttonów” przynosi podobne emocje, choć inaczej stawia akcenty

Użyjmy terminologii bokserskiej: w serialu „Yellowstone” kibicowaliśmy czempionowi. Mistrzami wszechwag stanu Montana był ród Duttonów – najbogatszy, niesłychanie wpływowy, w dodatku dowodzony przez Kevina Costnera. Przez pięć sezonów rozmaici przeciwnicy próbowali szarpać starego wilka, uszczknąć coś dla siebie z jego farmerskiego imperium; okroić je, okrążyć, zdusić. Duttonowie nie poddawali się i jako symbol „starego Zachodu” zyskali sympatię widzów, choć metody, po które sięgali, nie zawsze były godne pochwały.

W serialu „Ranczo Duttonów” („The Dutton Ranch”, do obejrzenia w SkyShowtime) sytuacja ulega odwróceniu: teraz jesteśmy po drugiej stronie i kibicujemy pretendentom. Ulubiona przez fanów para Beth oraz Rip (Kelly Reilly oraz Cole Hauser) zaczyna nowe życie w Teksasie. Tutaj to oni są przybyszami znikąd, nuworyszami, obcymi w obcym kraju, a przede wszystkim irytującą miejscowych nową konkurencją. A ród Jacksonów, właścicieli 10 Petal Ranch, nie po to budował przez dekady swoją dominującą pozycję, żeby teraz ktoś wchodził mu w paradę.

TRZY GENERACJE

Tak oto wkracza na scenę postać kluczowa dla nowego serialu – Beulah Jackson, grana przez Annette Bening (pięciokrotnie nominowaną do Oscara). To ona trzęsie okolicą (i całym rodem Jacksonów), od początku wiadomo więc, że dwie silne kobiety – Beth i Beulah – znajdą się na kursie kolizyjnym. Zwłaszcza że między rodzinami iskrzy też na innym poziomie, poczynając od pewnego spotkania wyrywnego Rob-Willa Jacksona z Kipem na lokalnej stacji benzynowej. Rob-Will to najmniej utalentowany i sprawiający najwięcej kłopotów potomek Jacksonów. Z kolei jego córka Oreana stanie się obiektem miłosnych westchnień Cartera, czyli adoptowanego syna Beth i Kipa.

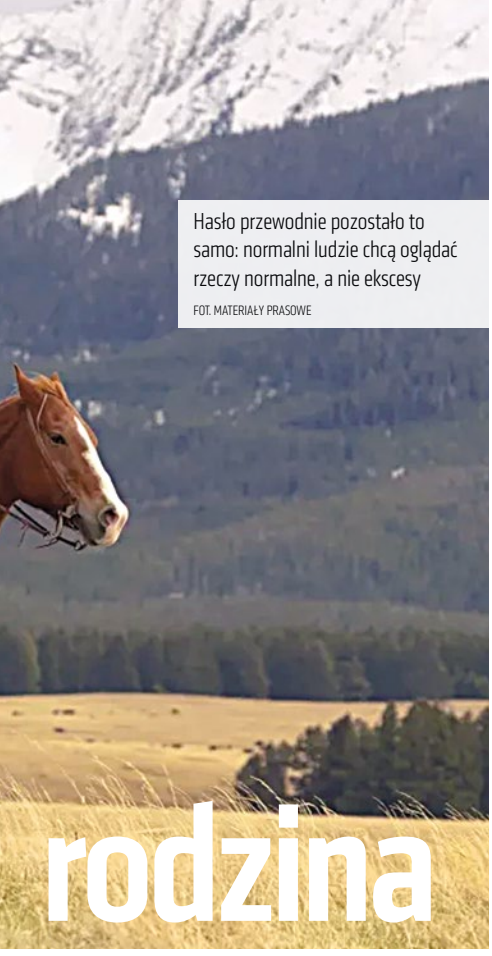
Trzy generacje, trzy potencjalne pola walki, znany doskonale z amerykańskiej literatury i filmu konflikt między starymi a nowymi pieniędzmi – ciąg dalszy „Yellowstone” uszyty jest z elementów doskonale znanych, ale w oglądaniu to nie przeszkadza. „Yellowstone” było przecież i operą mydlaną, i neowesternem, i kryminałem, patchworkiem tego, co znane i lubiane. Ale – i to był klucz do sukcesu – staromodne.

Oczywiście dziś w Hollywood to, co staromodne, jest jednocześnie niepożądane, a nawet wrogie. Oznacza bowiem toksyczną męskość, patriarchalizm, ciemnogród i co tam jeszcze sobie tzw. nowocześni szefowie programowi rozmaitych stacji i sieci ubzdurają. Kiedy Taylor Sheridan wędrował po studiach producenckich w poszukiwaniu domu dla „Yellowstone”, nikomu się ten projekt nie podobał. Odrzuciły go telewizje FX i TNT, nie chciał tknąć Amazon, nie chciał tknąć Netflix.

W pewnej chwili wydawało się, że ryzyko podejmie HBO. Co jednak się wydarzyło? Barwnie opowiadał o tym sam Taylor Sheridan w wywiadzie dla kanału YT „Tom McCutcheon’s THE SHOW”. Jak się okazuje, „Yellowstone” miało tam wpływowego wroga w postaci ówczesnego wiceprezesa programowego (był nim Mike Ellenberg). Tenże wiceprezes, wedle słów Sheridana, nienawidził pomysłu serialu, natomiast krył się za stawianymi warunkami (w domyśle – nie do spełnienia). I tak zażyczył sobie np., żeby rolę główną zagrał Robert Redford. Trafiła kosa na kamień – Sheridan spotkał się z Redfordem i przekonał go do projektu. Ellenberg miał ponoć wreszcie wyznać, że po prostu dopóki on będzie miał coś do powiedzenia w HBO, dopóty ten serial tam nie powstanie.

Wtedy Sheridan i jego biznesowy partner John Linson zapukali wreszcie do Spike Television, która miała potem przekształcić się w kanał Paramount. Tu pomysł kupiono, ale pod jednym warunkiem – że zamiast Redforda główną rolę zagra Kevin Costner. Reszta jest historią. „Yellowstone” stało się największym hitem serialowym XXI w. i dało fundamenty pod budowę telewizyjnego imperium producenckiego. Nie ma dziś gorętszego

eprasa.pl ca87f60a9b



Hasło przewodnie pozostało to samo: normalni ludzie chcą oglądać rzeczy normalne, a nie ekscesy

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

rodzina

nazwiska w branży serialowej niż Taylor Sheridan.

ZAPIEKŁA NIENAWIŚĆ

Dlaczego tak obszernie o tym wspominam, pisząc o sequelu „Yellowstone"? Wiele rzeczy bowiem się w ostatniej dekadzie zmieniło, ale jedna nie: nienawiść lewicowo-liberalnych amerykańskich salonów do tego serialu i jego widzów. Nienawiść tym bardziej zapiekła, im większy sukces Sheridan odnosił, najpierw opowieścią o rodzinie Duttonów, potem kolejnymi serialami. Pomyślmy, jakich wyżyn musiała sięgnąć w chwili, gdy ogłoszono, że Sheridan po wygaśnięciu kontraktu z Paramount będzie związany z konkurencyjną siecią NBCUniversal. Namówiono go do zmiany czekiem opiewającym na… miliard dolarów.

„Yellowstone" symbolizowało bowiem wszystko to, czego tzw. elity Nowego Jorku i Los Angeles szczerze nie cierpią: była to opowieść o „wieśniakach z Montany", którą pokochały miliony innych wieśniaków z całego kraju; rednecków, „bezzębnych wyborców Trumpa" czy jak tam jeszcze wyzywano przedstawicieli Ameryki B, która zbuntowała się przeciw Ameryce A. Sheridan w kolejnych swoich serialach dawał tym widzom abecadło bycia oldskulowym Amerykaninem. Najważniejsza jest ziemia, wolność i rodzina. Faceci powinni być męscy, twardzi i zaradni. Kobiety powinny być piękne, seksowne, zaradne i mądre. Uprawa ziemi i hodowla bydła nie są powodem do wstydu, lecz do dumy. Stek wołowy lepszy jest od wegańskich pasztecików. Nakaz sądowy w garści jest dobry, ale strzelba – jeszcze lepsza. Chciwym korporacjom mówimy „nie!". Nowojorskim bogaczom mówimy „nie!". Deweloperom i nafciarzom mówimy „nie!". I tak dalej, i tym podobne.



SERIAL „RANCZO DUTTONÓW" SKYSHOWTIME

„Yellowstone" to amerykańska utopia, podobnie jak jego spin-off „Madison", który rekomendowałem dwa miesiące temu („Do Rzeczy" nr 15/2026), to tęsknota za czasem, gdy każdy na końskim grzbiecie i ze sztucerem u boku był sam sobie panem i wybrać mógł taką przyszłość, jaką chciał, bo gdzie, jak nie w Ameryce „dla wszystkich starczy miejsca pod wielkim dachem nieba" (sięgając po słynny cytat ze Stachury). To fascynacja bogactwem, owszem, wszak równie amerykańskie jest powiedzenie: „Skoro jesteś taki mądry, to czemu nie jesteś bogaty?". Ale staromodna – powtórzmy to słowo – lekcja „Yellowstone" brzmiała: bogactwo musi brać się z ciężkiej pracy i trzeba je tworzyć z szacunkiem dla natury. A nie poprzez manipulowanie powietrzem na elektronicznych giełdach.

Tej amerykańskiej utopii, tego wspólnego marzenia współczesne salony amerykańskie nie cierpią. Na wszelkie sposoby próbowano więc Sheridanowi dobrać się do skóry. Po pierwsze wyszydzając jego seriale jako telenowele dla prostaków. Po drugie zarzucając mu rozmaite wydumane grzechy: że promuje patriarchat, bo u niego nie dość, że faceci rządzą, to jeszcze dzieci słuchają się (często, ale nie zawsze) rodziców, że uprzedmiatawia kobiety, że dokonuje kulturowych zawłaszczeń.

Wrogowie Sheridana trafili jednak na wyjątkowo cwanego przeciwnika. Padli też ofiarą własnych błędnych wyobrażeń. Prawda jest bowiem taka, że akurat i „Yellowstone", i inne seriale Sheridana pełne są mocnych postaci kobiecych, bywa, że i ciekawszych od męskich herosów. Masowej publiczności wcale nie przeszkadzają bowiem silne kobiety, natomiast nie kupuje ona konceptu kobiet silnych tym, że nienawidzą mężczyzn. Cały urok staromodnego – czyli najzupełniej normalnego – przekazu Sheridana i jego współpracowników polega na tym, że mówią: facet i kobieta stworzeni są, by być razem. W pełni zrealizują się nie wtedy, gdy osiągną Himalaje biznesu i kariery, tylko wtedy, gdy będą mogli liczyć na miłość, dobroć i mądrość płci przeciwnej. Straszna herezja, prawda?

Sheridan poszedł dalej. W prequelach „Yellowstone" najważniejsze są kobiety. Elsa Dutton w „1883" jest narratorką serii. W „1923" rodzinny interes trzymany jest w garści przez Carę Dutton (Helen Mirren), a Alexandra Dutton przemierzy pół świata, by spotkać się znów z ukochanym. Serial szpiegowski „Special Ops: Lioness" to hymn ku czci twardych kobiet w służbie ojczyzny. W kolejnych opowieściach coraz więcej też współczucia dla rdzennych Amerykanów, znaczy Indian, rasistowskie zachowania nie są tolerowane przez bohaterów pozytywnych, w serialu „Landman" ciepło przedstawione jest środowisko latynoskich robotników przybyłych do Teksasu, by pracować na polach naftowych.

Taylor Sheridan obezwładnił swych wrogów rzeczami oczywistymi. To oczywiste, że trzeba się szanować, że rasizm jest niefajny, że niszczonej ziemi i tępionych Indian żal. Ale to nie znaczy, że trzeba od razu przestawiać wajchę w drugą stronę i popadać w samobójczą spiralę przepraszania za wszystko i ojkofobicznego rwania szat.

Te same nuty znajdziemy w „Ranczu Duttonów", choć Sheridan jest tylko współproducentem. Ale scenariusze pisze Chad Feehan, który pisał „Raya Donovana" i „Banshee". Hasło przewodnie pozostało to samo: normalni ludzie chcą oglądać rzeczy normalne, a nie ekscesy szamanów DEI, woke i cancel culture. Fakt, że normalność wzbudza tak wielką wściekłość salonów Ameryki, wystawia jedynie świadectwo tym salonom.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ca87f60a9b



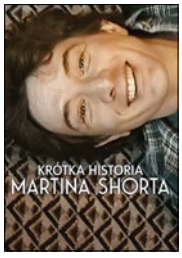
FOT. MATERIAŁY PRASOWE



PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

Wszystko w rodzinie



★★★★★★

REŻ. LAWRENCE KASDAN
„KRÓTKA HISTORIA MARTINA SHORTA" („MARTY, LIFE IS SHORT")
USA 2026
FILM DOKUMENTALNY

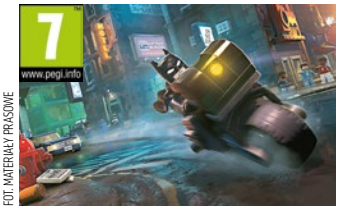
Przystojny nie był, chęci do nauki też mu brakowało, od małego za to naśladował Franka Sinatrę i marzył o takiej sławie. Przeszedł drogę podobną do tej, jaką przeszło wielu innych kanadyjskich komików: lokalna popularność w Toronto, występy z grupą Second City, potem telewizja. A jak telewizja, to prędzej czy później „Saturday Night Live", a skoro „SNL", to prędzej czy później i Hollywood. Martin Short to aktor i komik z tego samego pokolenia co John Belushi, Dan Aykroyd, John Candy, Steve Martin czy Chevy Chase, ale zwykle pozostawał w ich cieniu. Kinowa publiczność pierwszy raz ujrzała go w komedii „Trzej amigos", u boku dwóch ostatnich.

Reżyserem dokumentu „Krótka historia Martina Shorta" („Marty, Life Is Short") jest hollywoodzki weteran Lawrence Kasdan, prywatnie przyjaciel Shorta. Grono tych przyjaciół jest zresztą imponujące; gdy przyjdzie czas na filmy z prywatnego archiwum, zobaczymy, jak w posiadłości Shortów bawią się w Boże Narodzenie i w wakacje Steven Spielberg i Tom Hanks z całymi rodzinami i wiele innych sław. Tak naprawdę bowiem film o Martinie Shorcie jest filmem o rodzinie. Oczywiście mamy też opowieść o tym, jak rozwijała się jego kariera, łącznie z zaskakującym zwrotem akcji, gdy w 1992 r. został gwiazdą musicali na Broadwayu. Okazało się, że naprawdę potrafi śpiewać. Może nie jak Sinatra, ale wystarczająco dobrze, żeby wypełniać sale w miejscu, gdzie gromadzi się najbardziej wybredna publiczność na świecie.

Ale wszystkiego tego nie byłoby, gdyby nie rodzina. Najmłodszy spośród pięciorga rodzeństwa od małego zachęcany był, by rozwijać swe artystyczne umiejętności. Między 12. a 20. rokiem życia dotknęła go seria rodzinnych tragedii, kolejno umierali najstarszy brat, matka, wreszcie ojciec. To wtedy Short przyjął za swą filozofię prostą zasadę: „Życie jest krótkie, nie ma co go marnować". I pełen uporu, optymizmu oraz stoickiego spokoju zajął się pracą. Która też nie przebiegłaby tak świetnie, gdyby nie znalazł odpowiedniej kobiety, z którą przeżył niemal całe życie, gdyby nie dzieciaki, które adoptowali, gdyby nie przyjaźnie. „98 proc. twoich przedsięwzięć kończy się klęską" – mówi Short, którego kariera pełna była spektakularnych katastrof. Ale dziś wszędzie jest potrzebny i otaczają go ludzie pełni miłości. Znaczy: wygrał życie. ©℗

GRA TYGODNIA: „LEGO BATMAN: DZIEDZICTWO MROCZNEGO RYCERZA"

Cała kariera Batmana – zaczynając od treningów w Lidze Cieni, a kończąc na zostaniu postrachem przestępców – zamknięta w grze w konwencji LEGO. Czuć, że twórcy mieli serce do postaci człowieka nietoperza i jego świata. Gameplayowo to typowa gra spod znaku LEGO, choć inspirowana serią Arkham, ze sporą zawartością dodatkową w postaci znajdziek i dodatkowych aktywności, takich jak np. łamigówki przygotowane przez Człowieka-Zagadkę.



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

★★★★★★

Sympatyczna, zabawna, a przy tym klimatyczna gra. ©℗

Radosław Wojtas

- ***Gatunek:*** *akcji, TPP*
- ***Platforma:*** *XSX, PS5, NS2, PC*
- ***Producent, wydawca:*** *Traveller's Tales Warner Bros. Games*

eprasa.pl ca87f60a9b

Kolacja ze zdrajcą

CANAL+



★★★★★★

REŻ. STEVEN SODERBERGH „SZPIEDZY” („BLACK BAG”) USA 2025

wyst. Michael Fassbender, Cate Blanchett, Marisa Abela

Minęło już lat 11, odkąd Soderbergh ogłosił przejście w stan spoczynku. Jak na emeryta poczyna sobie całkiem żwawo, kręci dwa–trzy filmy rocznie. Jeszcze więcej produkuje. Jako reżyser ma w sobie coś z impresjonisty: dąży do uzyskania pożądanego celu najprostszą drogą, wprawiając w konfuzję widzów przywykłych do dzieł wymuskanych. Boi się przekroczyć budżet, z natury jest stachanowcem, a może traci zainteresowanie własnym dzieckiem, zanim ono się urodzi (są tacy ojcowie)? Nazwanie „Szpiegów” eksperymentem byłoby jednak krzywdzące. Rzecz przypomina raczej czwartkowe spektakle teatru sensacji z czasów świetności TVP.

Zaczyna się jak włoska komedia: trzy zaprzyjaźnione pary w trakcie domówki biorą udział w grze zwanej szczerością. Żeby było śmieszniej, wszyscy są zawodowymi kłamcami. Pracują w kontrwywiadzie i właśnie dowiedzieli się, że mają w firmie kreta. Trudno zaufać człowiekowi, który na każde co bardziej wnikliwe pytanie odpowiada: „Czarna torba” (czyli tajemnica państwowa). Wybór między lojalnością wobec ojczyzny, firmy i partnera bywa trudny.

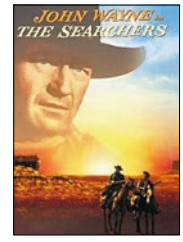
Agent George to osobnik zimnokrwisty. Jego żona Kathryn bez skrępowania objawia naturę drapieżnika. Szpiedzy źle śpią, żyją w toksycznych związkach, muszą regularnie uczęszczać na psychoterapię. Istne terrarium ludzkie, lecz trudno kibicować socjopatom. Na domiar złego film potwierdza podejrzenia, że tajne służby są samowystarczalne. Najchętniej zajmują się same sobą, bohatersko rozwiązując problemy, które same stworzyły. John le Carré lubi to.

Akcja rozgrywa się w Londynie, w konsekwencji obsada jest w większości brytyjska. Stereotyp o perfidnych Wyspiarzach, funkcjonujący również nad Wisłą, został więc umocniony. „Szpiegom” zaszkodziło jednak chłodne, profesjonalne podejście Soderbergha. Tej kameralnej historii brakuje odrobiny szaleństwa, sprawiającej, że dobry film staje się znakomity. Czwartą gwiazdkę przyznaję za muzykę Davida Holmesa, Pierce’a Brosnana w roli M. oraz pomysł, by los złośliwego oprogramowania, mogącego przysporzyć cierpień miłującym pokój mieszkańcom Moskwy, rozstrzygnął się w Polsce. ©℗

Wiesław Chełminiak

TROPEM KOMANCZÓW

Podobno westerny nadają się tylko na śmietnik (historii). Szerzą szkodliwe mity, nie przystają do wrażliwości współczesnego widza i takie tam. Tylko czekać, aż John Ford zostanie strącony z cokołu i wygumkowany jako seksista i rasista. Siedemdziesiąta rocznica premiery to dobry moment, by upewnić się, że „Poszukiwacze” są według nowych kryteriów filmem szczególnie obłudnym i bałamutnym. Lansują bowiem nader ambiwalentny wizerunek Dzikiego Zachodu i jego protagonisty: człowieka pogranicza wymierzającego sprawiedliwość celnym strzałem z colta. Rola upartego Teksańczyka stworzyła zaś błędne wrażenie, że John Wayne jest aktorem wybitnym. Mówiąc serio: „Poszukiwacze” zachowali magnetyczną moc, ale tylko w scenach plenerowych (Monument Valley i wszystko jasne). Fragmenty nakręcone w studiu mocno pachną antykwariatem. ©℗



prime video

★★★★★★

REŻ. JOHN FORD „POSZUKIWACZE” („THE SEARCHERS”) USA 1956

wyst. John Wayne, Jeffrey Hunter, Vera Miles



RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Sztuka z meblościanki



FOT. BARTOSZ BAJERSKI/MN W WARSZAWIE

GDZIE? Warszawa, Muzeum Rzeźby im. Xawerego Dunikowskiego
KIEDY? do 25 października

Ceramiczne pingwiny i małpy, a obok prężący się siłacze i seksbomby – porcelanowa mała sztuka zniknęła z polskich mieszkań razem z meblościankami, na których była wystawiana. Do dziś jednak budzi uznanie miłośników designu i powraca triumfalnie jako bohaterka wystawy w warszawskiej Królikarni.

Projekty tych „rzeźb kameralnych” powstały w latach 50. XX w. w Instytucie Wzornictwa Przemysłowego w Warszawie. Opracował je zespół projektantów w składzie: Henryk Jędrasiak, Mieczysław Naruszewicz, Hanna Orthwein i Lubomir Tomaszewski. Produkcja była masowa. Przez dekadę między rokiem 1956 a 1965 powstawały we wszystkich fabrykach porcelany w PRL.

„Na wystawie zaprezentujemy zbiór pochodzący z kolekcji Muzeum Narodowego w Warszawie. Jest on wyjątkowy, ponieważ w całości składa się z pierwowzorów powstałych pod osobistym nadzorem czwórki wybitnych projektantów w Instytucie Wzornictwa Przemysłowego. To oni wykreowali charakterystyczny, powszechnie naśladowany styl i stworzyli najznakomitsze modele” – piszą autorzy wystawy „Rzeźba na meblościankę”. ©℗

eprasa.pl ca87f60a9b



KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Miasto postojowe

19 stycznia 1946 r. na ulicy Gdańskiej w Łodzi pojawił się pierwszy sowiecki żołnierz z pepeszą. Przewodniczący Tymczasowego Komitetu Obywatelskiego Mieczysław Kosiński wspominał go rzewnie: „Wydawał się malutki – sam jeden zagubiony. Ktoś wybiegł, dał mu kwiatek, ośmielili się i inni. Żołnierz sowiecki szedł sam środkiem jezdni, w jednej ręce trzymał pepeszę, a w drugiej jakieś kwiaty i papierosy".

Pułkownik Armii Ludowej Ignacy Loga-Sowiński do Łodzi przyjechał następnego dnia, by zorganizować nowe władze i w raporcie do Komitetu Centralnego PPR meldował: „Nie sposób opisać tego, co tu się dzieje. Byłem w Lublinie podczas wkraczania Armii Czerwonej i Wojska Polskiego. Byłem także na Pradze. Nie może być żadnego porównania. Tak powszechny entuzjazm, spontanicznie zrodzony, może tylko wskrzesać stolica polskiego proletariatu – Łódź […]. Opowiadali mi oficerowie Armii Czerwonej, że ludność obnosiła ich i całowała".

Z książki Małgorzaty Czyńskiej o powojennej Łodzi, z której pochodzą te cytaty, doczytać się jednak można, że nie wszystko było tam tak pięknie: „Wieczorem ulicą Pomorską uroczyście wkraczają do miasta oddziały Armii Czerwonej. Na ulicach tłumy Łodzian wciskających żołnierzom kwiaty, papierosy, jedzenie. Młoda kobieta biegnie ze szklanką herbaty w dłoniach, którą podaje oficerowi. Ten przystaje, pije, po czym rusza dalej i nagle pada… Ciało Józefa Majewskiego podstępnie otrutego przez Niemkę zostanie umieszczone w trumnie ze szklanym wiekiem i wystawione na widok publiczny na Placu Wolności. Na tym samym placu chowani są w ziemnych grobach czerwonoarmiści polegli przy wyzwalaniu miasta".



FOT. PIOTR KAMIONKA/REPORTER

Ale generalnie najważniejsze jest to, że nie istniało już Litzmannstadt, Niemcy się wynieśli i, w co nie mogli uwierzyć przybysze tłumnie napływający do miasta, domy były całe, a po szynach jeździły tramwaje. A na Piotrkowskiej – złośliwi powiadali, że jedynej ulicy w Łodzi – powstawały nie tylko kawiarnie, lecz także urzędy i redakcje pism. Na tymczasową stolicę „ludowego" państwa miasto uchodzące za czerwone, komunistyczne (choć naprawdę, jeśli już, to było socjalistyczne) nadawało się jak najbardziej. Nic dziwnego, że do końca 1945 r. przybyło tam 206 tys. ludzi, co sprawiło, że licząca pół miliona mieszkańców Łódź stała się liczniejsza od wszystkich innych polskich miast, z obróconą w gruzy Warszawą włącznie.

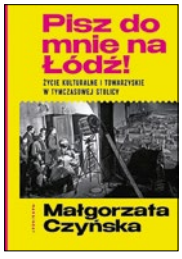
I oto to nie za piękne i niemające większych tradycji miasto, jak na stolicę, choćby i czasową, przystało, przechodzi gwałtowny okres, że tak się wyrażę, ukulturalnienia. Tyle że mocno nasyconego ideologicznie. Niemniej Adolf Rudnicki zachwycał się: „Miasto, które nigdy nie miało uniwersytetu, otrzymało uniwersytet. Miasto, którego teatry nigdy nie miały się czym pochwalić, otrzymało teatry – pierwsze w kraju. Miasto, które nigdy nie posiadało środowiska artystycznego, otrzymało największe i najruchliwsze środowisko artystyczne w kraju. Przez sześć lat korona ludzka leżała na śmietniku, teraz sięgnięto po nią, by ją wyzłocić. Artyści zaczęli mówić za wszystkie lata milczenia, wykrzykiwać to wszystko, co zebrało się im w piersiach. Inter arma silent musae, za to głos sztuki nigdy nie jest tak silny jak potem! Drga prawdą, wszystko w nim prawdziwe, własne".

A już o zgodność tej prawdy z oczekiwaniami nowych władz dbali Kazimierz Mijal, Mieczysław Moczar, wspomniany Loga-Sowiński i inni partyjni czynownicy. Uniwersytet w krótkim czasie zyskał zasłużony przydomek „czerwonego", indoktrynację prowadziła „Kuźnica", a za liberała uchodził Jerzy Borejsza. Ten ostatni – pisała Maria Dąbrowska – „stworzył olbrzymią maszynę wydawniczo-prasowo-księgarsko-czytelniczą z rozmachem niemal amerykańskim. Ale intencją tej całej działalności jest wyraźne, stopniowe i powolne sowietyzowanie i rusyfikowanie kultury polskiej. Po raz pierwszy to w dziejach ludzie mający się za Polaków rusyfikują Polskę".

Stanowczo nie dość mocno wybiła te słowa autorka ciekawej książki o powojennej Łodzi. Anegdoty o Schillerze, Fordzie czy całej czeredzie ludzi pióra pozostają bowiem tym jedynie, czym są – anegdotami właśnie. A po bohaterów „Pisz do mnie na Łódź!" upomni się Warszawa, do której polecą jak na skrzydłach, bo przecież:

Lepiej w Warszawie być łazikiem
Niźli w Łodzi Adamem Ważykiem.

Okazało się, że i w Warszawie całkiem nieźle było być Adamem Ważykiem. Jeśli się chciało, a do tego akurat chętnych nie brakowało. I przed napisaniem przez niego „Poematu dla dorosłych", i po nim. ©℗



★★★★★★

MAŁGORZATA CZYŃSKA „PISZ DO MNIE NA ŁÓDŹ! ŻYCIE KULTURALNE I TOWARZYSKIE W TYMCZASOWEJ STOLICY" MARGINESY, WARSZAWA 2026

eprasa.pl ca87f60a9b



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Tak. Ale po co?

Podobnie jak strażaków w Ameryce szanują listonoszy – w każdym razie kiedyś szanowali. Listonosz bowiem jest symbolem administracji, administracja to państwo, a państwo jest ważne, bo spina tak odmienne od siebie miejsca jak Floryda i Alaska w jeden organizm: „America the beautiful".

Dla amerykańskiej publiczności metafora z powieści Davida Brina była jasna i czytelna. W innych krajach niekoniecznie. Rzeczowej dyskusji o książce nie sprzyjała też zła sława ekranizacji, czyli filmu Kevina Costnera z 1997 r. Powieść tymczasem jest intrygująca i niegłupia (pomijając niepotrzebny zwrot akcji na samym końcu). Niesie też przesłanie bardzo aktualne i dla Amerykanów, i dla Polaków. Zresztą dla wszystkich, którzy w czasach globalizacji zmagają się z kryzysem tożsamości.

W swojej opowieści David Brin pyta bowiem: Co czyni nas wspólnotą? Pytanie jest o tyle ważne, że wypływa z przekonania, że tylko wspólnota może przetrwać. W odróżnieniu od autorów zainteresowanych w fabułach post-apo jedynie krwawymi jatkami i nurzaniem się w świecie, gdzie człowiek człowiekowi wilkiem oraz kanibalem, Brin chce wiedzieć, jak przetrwać. Ale przetrwanie to coś więcej niż sam fakt fizycznego ocalenia, do tego wszak wystarczy mięcho, kawałek dachu nad głową i solidna pała w dłoni. Przetrwać naprawdę to znaczy znów mieć po co żyć, znów budować świat dla naszych dzieci i wnuków, czynić planetę lepszym miejscem. Nawet po atomowym kataklizmie, który ma miejsce 16 lat przed rozpoczęciem akcji „Listonosza".

Gordon, bohater powieści, samotny cwaniak i cynik, próbując wycyganić wikt i nocleg od naiwnych, przebiera się za listonosza i opowiada bajędy o tym, że jest „inspektorem federalnym", który ma „przywrócić komunikację". Kłamstwo staje się ziarnem, z którego wyrośnie prawda. Aby przeżyć, trzeba się zorganizować, by się zorganizować, potrzebne są wspólny sen, wspólny mit, wspólne marzenie. I ludzie faktycznie zaczynają się organizować, a potem okazuje się, że jakieś struktury Ameryki przetrwały. Kłamstwo zamienia się w prawdę, mit żyje. Imperia, narody, społeczności, aby istnieć, muszą wiedzieć „po co?". Odpowiedzi żądajmy nie tylko od pisarzy, lecz także od polityków. ©℗



★★★★★★

DAVID BRIN „LISTONOSZ" ZYSK I S-KA 2026

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Reżyser filmów „Medium" i „Alchemik" przewrotnie o ostatnich dniach kompozytora. Kim jest tajemniczy Foucault, który przedstawia się gościom umierającego Chopina jako jego impresario? Czemu wrogo zerka na księdza?



JACEK KOPROWICZ „IMPRESARIO CHOPINA" LIRA

O medycznym piekle Auschwitz mówi prof. László Kiss. Rozmowa z Kissem, po wojnie wybitnym elektrochemikiem, to połowa książki. Druga to opowieść o losie węgierskich Żydów zsyłanych do niemieckiego obozu zagłady.



TOMASZ PLASKOTA „BYŁEM OFIARĄ DOKTORA MENGELE" REPLIKA

Norweska antropolog wyrusza w podróż śladami imperialnej przeszłości Portugalii. Od Maroka po Angolę, od Tanzanii po Iran, od Indii po Brazylię. Co pozostało z kolonialnego dziedzictwa? Jak wpłynęło na losy miejsc i ludzi?



ERIKA FATLAND „ŻEGLARZ" POSTFACTUM

Nieznana dotąd polskiemu czytelnikowi powieść japońskiego klasyka, autora słynnej „Kobiety z wydm". Na pozór powieść detektywistyczna, w rzeczywistości traktat o alienacji i niszczących skutkach modernizacji.

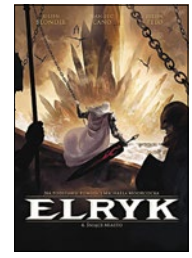
recenzuje Piotr Gociek



KOBO ABE „ZNISZCZONA MAPA" PIW

KOMIKS TYGODNIA:
KRÓL WYGNANIEC

Na początku była seria powieści Michaela Moorcocka o Elryku z Melnibone. Dziś uznawana jest za jedno z najważniejszych dzieł dark fantasy, a książki z tej serii nieustannie są wznawiane (także w Polsce). Za wersję komiksową odpowiadają scenarzyści Julien Blondel i Jean-Luc Cano oraz rysownicy Robin Recht i Julien Telo. Recht nie tylko rysuje, napisał też scenariusz do jednego albumu o Thorgalu. ***Piotr Gociek***



AUTORZY RÓŻNI „ELRYK, TOM 4. ŚNIĄCE MIASTO" TAURUS MEDIA 2026

eprasa.pl ca87f60a9b



Szach-mat dla Waszyngtonu



Michał Krupa

Wizyta Trumpa w Pekinie, klęska w Iranie oraz brutalnie szczere rozliczenia rzeczników amerykańskiego imperializmu nie oznaczają nagłego, dramatycznego załamania amerykańskiej potęgi. Oznaczają coś znacznie głębszego i bardziej nieubłaganego, czyli widoczną i przyspieszoną materializację trendów, które narastały od wielu lat

W połowie 2026 r. Stany Zjednoczone stoją przed jednym z najbardziej dramatycznych punktów zwrotnych w swojej powojennej historii. Obecnie wstrzymana, lecz niezwykle intensywna konfrontacja militarna z Iranem już może być uznana za kompletną porażkę Donalda Trumpa. Ten strategiczny cios został dodatkowo spotęgowany wyraźną i przyspieszającą erozją amerykańskiej przewagi militarnej w porównaniu z Chinami. Na tym tle wizyta prezydenta USA w Pekinie w dniach 13–15 maja 2026 r. stała się niezwykle wymownym, wręcz symbolicznym obrazem nowej globalnej rzeczywistości: amerykański przywódca przybywał do stolicy rywala z wyraźnie ograniczoną pozycją przetargową i wrócił do Waszyngtonu z jeszcze skromniejszymi zdobyczami.

Moment unipolarny, ten nieodżałowany przez wielu czas globalnej dominacji McDonalda, MTV i amerykańskich bomb „niosących pokój", w którym USA mogły niemal swobodnie dyktować warunki światu, nie tylko powoli blednie. On po prostu się rozpada pod ciężarem wieloletniego nadmiernego rozciągnięcia sił, chronicznej słabości własnego przemysłu zbrojeniowego oraz dynamicznego wzrostu potęg, które przestały postrzegać amerykańską dominację jako coś niepodważalnego. Co zaskakujące, coraz głośniej mówią o tym najbardziej „establishmentowi" reprezentanci amerykańskiego establishmentu.

„CAŁKOWITA KLĘSKA"

Robert Kagan nigdy nie należał do obozu antyinterwencjonistów ani tym bardziej pacyfistów. Jako współzałożyciel wpływowego think tanku Project for the New American Century jeden z głównych architektów agresywnej i jednoznacznie proizraelskiej polityki USA na Bliskim Wschodzie oraz mąż Victorii Nuland uosabia samą esencję neokonserwatywnego myślenia o hegemonii USA. Kiedy zatem taki człowiek publikuje na łamach „Atlantic" artykuł zatytułowany „Szach-mat w Iranie", jego słowa nabierają szczególnej, wręcz historycznej wagi. Kagan nie owija w bawełnę. Stwierdza wprost, że Stany Zjednoczone poniosły w Iranie „całkowitą klęskę", której „nie da się ani naprawić, ani zignorować". Podkreśla przy tym fundamentalną różnicę w stosunku do poprzednich konfliktów. Wojny w Wietnamie i Afganistanie, choć bardzo kosztowne pod względem finansowym i ludzkim, „nie wyrządziły trwałej szkody ogólnej pozycji Ameryki na świecie".

Natomiast porażka w konfrontacji z Iranem ma zupełnie inny, dużo głębszy charakter i dotyka samych podstaw amerykańskiej potęgi. Istotą tej klęski jest utrata kontroli nad cieśniną Ormuz, przez którą do niedawna codziennie płynęło ok. jednej piątej globalnej produkcji ropy naftowej. Iran zdołał przekształcić ten strategiczny punkt w swój własny reżim „pozwolenia na przejście". Teheran może teraz nie tylko żądać opłat za tranzyt, lecz także selektywnie blokować lub ograniczać ruch statków należących do państw, z którymi nie utrzymuje dobrych relacji. Jak niedawno zapowiedział spiker irańskiego parlamentu, sytuacja sprzed wojny nie wróci. Kagan w pełni się z tym zgadza, pisząc, że Iran „będzie w stanie nie tylko żądać myta za przejście, lecz także ograniczać tranzyt tylko do państw, z którymi ma dobre stosunki".

eprasa.pl ca87f60a9b



Konferencja prasowa demokratów, 19 maja 2026 r. FOT. ANNA MONEYMAKER/GETTY IMAGES

W tej nowej rzeczywistości państwa Zatoki Perskiej stoją przed dramatycznym i nieprzyjemnym wyborem strategicznym. Po tym, jak zobaczyły na własne oczy, ile warte są amerykańskie gwarancje obronne oraz jak łatwo Iran zdegradował znaczenie głównych instalacji wojskowych USA w regionie, zmuszając amerykański personel do ewakuacji do lokalnych hoteli, muszą zdecydować: albo zaczną się układać z regionalnym mocarstwem, które właśnie udowodniło swoją siłę, albo będą nadal polegać na chwiejnym sojuszu. „Stany Zjednoczone udowodniły, że są papierowym tygrysem, zmuszając państwa Zatoki i inne kraje arabskie do akomodacji Iranu" – podkreśla Kagan. W efekcie Iran umacnia się jako dominująca siła w całym regionie Bliskiego Wschodu.

Strona militarna porażki jest równie przygnębiająca. Mimo ogromnej przewagi amerykańskiej marynarki wojennej na papierze siłowe otwarcie cieśniny Ormuz wydaje się praktycznie niemożliwe bez ryzyka katastrofalnej eskalacji. Jeśli „potężna marynarka USA nie może lub nie chce otworzyć cieśniny" – argumentuje Kagan – to żadna mniejsza koalicja, dysponująca jedynie ułamkiem amerykańskich możliwości tym bardziej nie będzie w stanie tego dokonać. Już kilka tygodni intensywnych walk doprowadziło do niebezpiecznego wyczerpania amerykańskich zapasów precyzyjnej broni, a szybkiego sposobu na ich uzupełnienie po prostu nie ma. Zaawansowane systemy uzbrojenia okazały się w warunkach realnego konfliktu znacznie bardziej podatne na zniszczenie, niż zakładano to w symulacjach.

Konsekwencje tej klęski wykraczają daleko poza Bliski Wschód. Europejscy sojusznicy zmagają się z potężnym szokiem energetycznym, który wielu ekspertów porównuje do kryzysu z 1973 r. Partnerzy w Azji Wschodniej zaczynają poważnie wątpić w długoterminową determinację i zdolność USA do obrony wspólnych interesów. Chiny i Rosja zaś otrzymują spektakularne potwierdzenie słuszności swoich dążeń do umacniania wielobiegunowości. Wojna, którą Waszyngton rozpoczął po to, by raz jeszcze potwierdzić swoją dominację, przyniosła dokładnie odwrotny skutek, udowodniła, że Ameryka nie jest już w stanie jej utrzymywać. Czterdzieści lat polityki „maksymalnej presji" na Iran zamiast złamać przeciwnika, stworzyło w końcu godnego i zdolnego rywala, który dziś dyktuje warunki gry.

Analiza Kagana, co należy podkreślić, choć strategicznie bardzo trafna i precyzyjna, pozostaje niestety typowo amoralna. Niemalże całkowicie pomija ogrom ofiar cywilnych, ciosów zadanych cywilnej infrastrukturze w Iranie oraz globalne cierpienie ekonomiczne zwykłych ludzi. Niemniej jednak nawet w czysto siłowych, geopolitycznych kategoriach werdykt jest miażdżący. Konkluzja Kagana jest zaś znamienna, gdyż jeszcze kilka lat temu byłaby uznana za „appeasement" przez jego własne środowisko intelektualistów zainteresowanych podtrzymaniem statusu hegemona: „Ci, którzy lekkomyślnie nawołują Trumpa, by »dokończył dzieło«, rzadko zdają sobie sprawę z prawdziwych kosztów. Chyba że Stany Zjednoczone są gotowe wszcząć pełnoskalową wojnę lądową i morską w celu obalenia obecnego irańskiego reżimu, a następnie okupować Iran dopóty, dopóki nowy rząd nie przejmie władzy; chyba że są gotowe ryzykować utratę okrętów wojennych podczas konwojowania tankowców przez sporną cieśninę; chyba że są gotowe zaakceptować ogromne, długofalowe zniszczenia potencjału produkcyjnego całego regionu, do jakich najpewniej doprowadzi irańska odpowiedź – to wycofanie się teraz może okazać się najmniej złym wyjściem". Zaiste, szach-mat.

CHINA FIRST

Kilka dni po publikacji tekstu Kagana Max Boot, autor głośnej książki pod znamiennym tytułem „The Case for American Empire" i jeden z najbardziej zagorzałych zwolenników wojny w Iraku, opublikował na łamach „Washington Post" obszerny wywiad z Johnem Culverem, byłym analitykiem CIA do spraw Azji Wschodniej. Jego ocena, oparta na dziesiątkach lat dostępu do najbardziej tajnych danych wywiadowczych, jest jeszcze bardziej miażdżąca niż Kagana, ponieważ nie jest subiektywną opinią publicysty. Według Culvera Chiny wyprzedziły już Stany Zjednoczone w większości kluczowych domen militarnych. „Trudno wskazać obszar poza okrętami podwodnymi i wojną podmorską, w którym USA nadal mają przewagę" – mówi wprost.

Szczególnie niepokojąca jest sytuacja w dziedzinie zaawansowanej amunicji precyzyjnej, czyli elementu, który w nowoczesnej wojnie często decyduje o zwycięstwie. Tutaj przewaga Chin jest ogromna. Jedna tylko chińska stocznia Jiangnan na wyspie Changxing ma większą moc produkcyjną niż wszystkie amerykańskie stocznie razem wzięte. W skali całego kraju chińska zdolność budowy okrętów wojennych przewyższa amerykańską aż 232-krotnie. Pekin wprowadza do służby rocznie tyle nowych jednostek, ile liczy cała francuska marynarka wojenna. W hipotetycznym scenariuszu konfliktu o Tajwan plany Pentagonu podobno przewidują bardzo wczesną ewakuację najcenniejszych aktywów morskich, czyli „wyprowadzić nasze wysokowartościowe aktywa z teatru działań, a potem próbować walczyć o powrót". Jednak chińskie rakiety balistyczne i manewrujące są w stanie razić siły amerykańskie praktycznie w całym regionie, od baz w Japonii, przez Koreę Południową i Australię,

eprasa.pl ca87f60a9b

aż po Guam. „Naprawdę nie ma bezpiecznych miejsc" – ostrzega Culver. Lotniskowce, by mieć realne znaczenie bojowe, musiałyby operować w odległości do tysiąca mil od pola walki, co plasuje je w zasięgu chińskiego rażenia.

Paradoksalnie ta ogromna nierównowaga sił zmniejsza, a nie zwiększa prawdopodobieństwo otwartej wojny. Xi Jinping postrzega kwestię Tajwanu raczej jako kryzys, którego należy unikać, niż jako okazję, którą trzeba wykorzystać. Cierpliwość, rosnąca przewaga ekonomiczna i militarne realia mogą z czasem przynieść pokojowe zjednoczenie bez konieczności prowadzenia kosztownej wojny. Pekin widzi Amerykę jako mocarstwo znajdujące się co prawda w fazie schyłkowej, ale nadal niebezpiecznie „militarnie agresywne" i coraz bardziej nieprzewidywalne, co stanowi dodatkowy powód do strategicznej powściągliwości.

Nawet radykalne zwiększenie wydatków obronnych nie daje większej nadziei na odwrócenie trendu. Proponowany budżet obronny Trumpa w wysokości 1,5 bln dol. grozi po prostu „wyrzucaniem pieniędzy w błoto". Inwestycje w przestarzałe platformy, takie jak lotniskowce czy koncepcje obrony dronowej typu Hellscape, w ocenie Culvera wynikają raczej z instytucjonalnej nostalgii i wewnętrznych mechanizmów awansu w siłach zbrojnych niż z realnej strategii. Cały plan obrony Tajwanu rozbija się ostatecznie o podstawowe ograniczenia logistyki oraz „tyranię czasu i odległości" na Pacyfiku.

Niedawna wizyta prezydenta Trumpa w Chinach stała się symbolicznym zwieńczeniem całego procesu. Przybywając do Pekinu z czapką w dłoni, Trump próbował jak zwykle stosować swoją charakterystyczną taktykę blefu siły i twardych negocjacji. Przygotowania do szczytu były jednak zaskakująco skromne. Nie zorganizowano wcześniejszych spotkań ekspertów, które zwykle przygotowują grunt pod poważne porozumienia. Nie czekały żadne duże kontrakty ani przełomowe traktaty gotowe do podpisania. Towarzysząca Trumpowi delegacja 20 prezesów amerykańskich korporacji nie zrobiła na Chińczykach wrażenia. Prezydent chwalił się po powrocie, że Chiny zgodziły się kupić 200 samolotów Boeinga, ale chińskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych odmówiło potwierdzenia tej informacji, a kurs akcji Boeinga natychmiast spadł. Trump zaoferował również zniesienie niektórych ograniczeń na sprzedaż starszych modeli chipów NVIDIA. Pekin grzecznie, ale stanowczo odmówił. Chiny produkują już własne, w pełni porównywalne układy scalone.

Chińska strona mówiła o „nowym pozycjonowaniu" relacji i „konstruktywnej stabilności strategicznej". To „nowe pozycjonowanie" oznacza traktowanie Stanów Zjednoczonych i Chin jako równorzędnych mocarstw, przy czym Pekin jest obiektywnie w lepszej sytuacji. Prezydent Xi Jinping przedstawił koncepcję „czterech stabilności": stabilności pozytywnej opartej na współpracy, zdrowej stabilności z konkurencją w rozsądnych granicach, stałej stabilności przy aktywnym zarządzaniu różnicami oraz trwałej stabilności gwarantującej przewidywalny pokój. Jest to wizja długoterminowa, nastawiona na wzajemne korzyści, a nie na doraźne kompromisy. Warto odnotować też, że podczas gdy Trump przebywał w Pekinie, ok. 30 chińskich statków handlowych przepłynęło przez cieśninę Ormuz we współpracy z irańskimi władzami. Amerykańskie okręty blokujące rejon Morza Arabskiego nie odważyły się podjąć żadnych działań. W ten sposób powstał ważny precedens: dla Chin cieśnina Ormuz jest de facto otwarta. Fakt, że stało się to dosłownie na oczach bezsilnego amerykańskiego prezydenta, dodatkowo podkreślił słabnącą zdolność Waszyngtonu do egzekwowania swojej woli.

Trump wrócił do kraju, ogłaszając „wielkie postępy", ale rzeczywistość pokazała bardzo skromne rezultaty i wyraźne potwierdzenie trwałości ery wielobiegunowości. Ameryka potrzebowała chińskiej pomocy w radzeniu sobie z konsekwencjami irańskiego kryzysu znacznie bardziej, niż Chiny potrzebowały amerykańskich rynków czy technologii. Wizyta wzmocniła wizerunek dwóch równorzędnych graczy – jednak na warunkach wyznaczonych przez Pekin.

GRECKA TRAGEDIA

Zbieżność tych wszystkich głosów jest naprawdę uderzająca. Dwóch najbardziej wpływowych amerykańskich jastrzębi w ciągu zaledwie kilku dni opublikowało teksty, które można odczytywać jako oswajanie się imperialnego Waszyngtonu ze skutkami własnej polityki. Dziesięciolecia błędnych decyzji, niekończące się interwencje na Bliskim Wschodzie, masowy offshoring przemysłu, próby strategicznego okrążania Chin doprowadziły dokładnie do tego wielobiegunowego świata, któremu miały zapobiec. Jak trafnie zauważył jeden z komentatorów, ostatnie działania USA przypominają klasyczną grecką tragedię: każdy ruch podjęty w celu uniknięcia przeznaczenia staje się mechanizmem, który to przeznaczenie realizuje. Wojna rozpoczęta po to, by potwierdzić dominację, udowodniła jej brak. Długoletnia presja na Iran stworzyła silniejszego przeciwnika. Konfrontacja z Chinami dała zaś Pekinowi potężną dźwignię i widowisko amerykańskiego błagania o pomoc.

Stany Zjednoczone oczywiście nadal dysponują znacznymi atutami: silnymi ośrodkami innowacyjności, względnie korzystną demografią w porównaniu z niektórymi rywalami oraz wciąż największą gospodarką świata według wielu wskaźników. Nie wspominając o potężnym arsenale nuklearnym.

Tak więc wizyta Trumpa w Pekinie, klęska w Iranie oraz te brutalnie szczere rozliczenia rzeczników amerykańskiego imperializmu nie oznaczają nagłego, dramatycznego załamania amerykańskiej potęgi. Oznaczają coś znacznie głębszego i bardziej nieubłaganego, czyli widoczną i przyspieszoną materializację trendów, które narastały od wielu lat. „Podpalacze" tacy jak Kagan czy Boot piszą teraz raporty o pożarze, który sami przez dekady starannie rozniecali. Historia zna ten moment aż za dobrze. Wielkie imperia rzadko kończą się wielkim hukiem. Upadają powoli, w serii upokarzających, pozornie drobnych porażek, gdy nagle okazuje się, że świat przestał się ich bać. Że cieśniny, którymi kiedyś władały, wymykają się spod kontroli. Że rywale, których lekceważyły, budują potęgę na ich błędach. I że ich własne elity, zamiast stawić czoła rzeczywistości, wciąż nawołują do „dokończenia dzieła". Madeleine Albright, była sekretarz stanu w administracji Billa Clintona, nazwała kiedyś Amerykę „niezbędnym narodem". Ameryka nie przestała być potęgą. Po prostu przestała być „niezbędna". I właśnie w tym tkwi sedno historycznego zwrotu, którego jesteśmy świadkami.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ca87f60a9b



Piotr Semka

Polskie bezpieczeństwo, czyli stare klisze wcale nie są stare

Polemizowanie z Marcinem Skalskim to rzecz bardzo ważna. Jego tekst „Reset z Rosją. Czy Polska stoi przed szansą?" („DRz" nr 19/2026) sam zawiera mnóstwo stereotypów, które są typowe dla obozu „realizmu w stosunkach z Rosją". W tym sensie jest swego rodzaju katalogiem tej linii publicystycznej i to dobra okazja, aby z ilomaś kliszami z tamtego obozu podjąć polemikę

Marcin Skalski zaczyna swój tekst od tezy: „Właśnie ze względu na protekcję USA Polska podobno może pozwolić sobie na luksus całkowitego braku stosunków ze swoim największym sąsiadem [...] z Federacją Rosyjską, nie tylko zaś nie ma potrzeby, lecz także nie wolno mieć jakichkolwiek innych stosunków niż jawnie wrogie, właściwie tuż pod progiem wojny".

Problem z polemizowaniem ze Skalskim wynika z tego, że jego tekst jest usiany takimi niewyrażonymi wprost aluzjami, które falsyfikują rzeczywistość. Bo jaka ukryta teza znajduje się w tle zacytowanego fragmentu? Ktoś każe nam iść na zwarcie z Rosją, ktoś nas do tego popycha, ktoś narzuca nam politykę, która jest całkowicie sprzeczna z naszym interesem. Oczywiście, aby uzupełnić to bałamutne przekonanie, Skalski podaje kontrprzykład. Ameryka i inne kraje Zachodu dogadują się z Rosją, a nasze relacje – a raczej ich brak – to wynik naszego naiwniactwa. Skalski całkowicie odwraca związek przyczynowo-skutkowy. Polska przez bardzo długi, a nawet zbyt długi, okres pod rządami Donalda Tuska prowadziła politykę resetu. A jednak nie zatrzymało to, podobnie jak polityka Paryża czy Berlina, przygotowań do agresji na Ukrainę, a wcześniej – ataku na Gruzję.

Dlatego wszelkie rozważania o możliwym resecie zacząć należy od prostego pytania: Czy Rosja prowadzi politykę wobec Polski w sposób przyjazny czy też nie? Jeszcze niecały rok temu trwała operacja dywersyjna nacisku na polską wschodnią granicę za pomocą broni w postaci naporu uchodźców z krajów Trzeciego Świata. Operacja ta, jak wskazują liczni analitycy, musiała być przeprowadzona w kooperacji Białorusi z Rosją. Nawet w momencie, kiedy piszę te słowa, Rosja i Białoruś ponownie podnoszą temperaturę wobec wschodniej flanki NATO. W mediach pojawiły się informacje o zamknięciu lasów w 19 rejonach Białorusi, głównie przy granicach z Ukrainą Polską i Litwą. To, że państwo Alaksandra Łukaszenki jest nieformalnym protektoratem Putina, to – wydaje mi się – coś oczywistego. Dlatego każdy niepokój na granicy polsko-białoruskiej każe nam kierować wzrok w kierunku Moskwy. Wniosek z tego, że ograniczony poziom relacji na linii Polska – Rosja to wynik wrogich działań Rosji.

DO GÓRY NOGAMI

Zauważmy, jak sprytnie odwraca ten stosunek przyczynowo-skutkowy Marcin Skalski. Sugeruje on, że złe relacje to wynik niewolniczego trzymania się przez Polskę życzeń Zachodu albo efekt chorobliwej i irracjonalnej polskiej antyrosyjskiej fobii. Ten wątek zresztą pojawia się jako stała nić we wszystkich publicystycznych wyszywankach polskich rusorealistów. We wszystkich konfliktach to Polska jest sobie winna. W myśl tej logiki Konstytucja 3 maja to fatalny błąd, bo jej ogłoszenie ściągnęło na Polskę rozbiory, obchodzenie wszelkich rocznic powstań jest głupotą, bo wszystkie te zrywy sprokurowały albo zachodnie wywiady, albo sami Rosjanie, prowokując wygodne dla siebie i skazane na niepowodzenie zrywy i wreszcie, co pojawia się w tej układance, za wszystkie złe stosunki polsko-rosyjskie odpowiadamy głównie my.

Idzie za tym jeszcze jedna sugestia: że pojednanie z Rosją jest formą wyzwolenia od poddaństwa w stosunku do Zachodu. I nad tym argumentem warto chwilę się zastanowić. Bazuje on na fakcie, że przynajmniej od 1993 r., gdy oddziały Armii Czerwonej opuściły nasz kraj, zapomniano, czym jest uzależnienie Polski od władców na Kremlu. W promowaniu więc wizji oderwania Polski od Zachodu na rzecz zbliżenia z Rosją pomaga fakt, że wyrosło już całe pokolenie, dla którego kraj Władimira Putina to jakieś egzotyczne pojęcie, z którym nie mają żadnego bezpośredniego osobistego skojarzenia. Za to wszystkie nasze kłopoty – czy to w dziedzinie obronnej z kapryśnym Donaldem Trumpem, czy też z narzucającą swoje standardy, w tym cywilizacyjne, Brukselą – jawią się jako coś konkretnego i tym samym dolegliwego. Ale wszystko to przesłania fakt, że Rosja jest pierwszym krajem w Europie, nie licząc Serbii w latach 90., który powrócił do stosowania agresji militarnej

eprasa.pl ca87f60a9b


OPINIE

Reset z Rosją.
Czy Polska stoi przed szansą?

Marcin Skalski

Reset stosunków z Rosją może być elementem realnego wybijania się Polski na samodzielność, jeśli będzie częścią szerszego zakłinia. Polska i Rosja mogą jednak współistnieć i nie stoi temu na przeszkodzie polityka Kremla na Ukrainie. W myśl wielowektorowości Warszawa musi otworzyć się przy tym na współpracę z Chinami czy też z krajami muzułmańskimi

Pamiętny dzień 11 września 2001 r. W dwie wieże nowojorskiego World Trade Center wbijają się samoloty porwane przez terrorystów z organizacji Al-Kaida, kierowanej talibów Osamę bin Ladena. Kilkugodzinne trowe dopiero chmur walą się w gruzy, spowijając Nowy Jork w olbrzymi chmurę pyłu. Giną tysiące ludzi, a zdruzgotana Ameryka wzbudza się w zagrożeniu globalnej »wojny z terroryzmem« wypowiedzianej przez Georgea Busha przed połączonymi izbami Kongresu. Prezydent Stanów Zjednoczonych wysuwa wobec talibów żądania, które „nie podlegają żadnym negocjacjom ani dyskusjom”, a wskutek ich odrzucenia mają miejsce amerykańskie rządów Talibanu w tym kraju. Za czasów kolejnej administracji, już za kadencji Baracka Obamy, dochodzi natomiast do zlikwidowania samego bin Ladena.

ZMIERZCH AMERYKAŃSKIEJ HEGEMONII

Od tamtych wydarzeń minęła cała epoka, w tym czasie w ramach zademonstrowania sojuszniczej wierności swoje wojska nie tylko do Afganistanu, lecz także do Iraku wysłała Polska. Dziś talibowie ponownie rządzą Afganistanem, gdzie Amerykanie w trakcie pospiesznej ewakuacji porzucili swych lokalnych kolaborantów, pozostawiając także tony cennego sprzętu wojskowego. Post-saddamowski Irak podzielił z kolei próby wybicia się na niepodległość od Waszyngtonu, na pograniczu z Syrią adaptyo zasi przejść tsunami w postaci „Państwa Islamskiego”. Wśród przedładowanych za Saddama irackich szyitów wpływy cyrkul natomiast Iran, aktualnie przeciwnik numer jeden Ameryki.

O ile przywoływanie jedynie konkretnych dat w nauce historii ma niewielki walor poznawczy, o tyle wspomniane 11 września bierze początek cała sekwencja wydarzeń, która zwiastowała nadchodzący zmierzch amerykańskiej hegemonii na globie. Świat wrócił do normy – będący tylko anomalią, co efemerydą był jednobiegunowy właśnie przechodzi do historii. Ameryka przestała być policjantem świata, zaliczając aktualnie spektakularną kompromitację w wojnie przeciwko teoretycznie znacznie słabszemu Iranowi. Ta szyicka republika islamska, będąca sojuszniczką Stanów Zjednoczonych i Izraela, przy okazji skutecznie zwalczała sunnickich monarchom Zatoki Perskiej (sunnizm dyskusyjną wartość amerykańskich gwarancji bezpieczeństwa.

W stanie odbiciem Waszyngton nie jest kach cieśniny Ormuz, co dodatkowo rym z ostatnich tygodni, kiedy to dominacji Stanów Zjednoczonych, kiedy Teheran już teraz pobiera opłaty za zyt przez to strategiczne wąskie gardło wpełenie [odpowiedzialne za transport jednocześnie za trzecie] ropy naftowej w chińskich bankach bądź kryptowalutach. Warto pamiętać, że od 1975 r. kraje eksportujące ropę naftowej sprzedawane w OPEC-owskiej walucie. Gdyby to właśnie dolar był wyłączną walutą w rozliczeniach za ten surowiec, to olbrzymi wzrost cen ropy doprowadziłby do wzrostu popytu na dolara, a tym samym rozliczeń w handlu ropą – jest to ogromna [publikacji z 2010 r., Wojna o Pacyfik. Chińsko-amerykański konflikt o dominację nad światem, Song Hongbing. Podważając status dolara,

państwa neutralnego. Będzie to jednak tym samym państwo bezbronne wobec polityki rosyjskiej. A w jej optyce – jak to niedawno wyjawili w swoich wypowiedziach rosyjscy politycy – samo zbrojenie się Polski jest już działaniem prowokacyjnym.

KTO NABROIŁ?

Jeszcze jeden fragment Marcina Skalskiego budzi wręcz zdumienie:

„Rosja tymczasem nie sugeruje Polsce uniknięcia zagłady za cenę przyłączenia się do swych wojen, nie żąda też porzucenia przez Polskę dotychczasowych sojuszy. Kreml nie stanowi dla Rzeczypospolitej egzystencjalnego zagrożenia, wciąż utrzymywane są stosunki dyplomatyczne, a rosyjski prezydent wyznaczył nawet ambasadora w Polsce”.

Pomińmy już ciąg dalszy używania przez Skalskiego retoryki, w której Rosja robi nam wielką łaskę, że jeszcze nas nie starła z powierzchni ziemi. Problemem jest to, że w tekście Skalskiego pojawia się najzwyczajniejsza nieprawda. Czy aby na pewno Rosja „nie żąda porzucenia przez Polskę dotychczasowych sojuszy”? Panu Skalskiemu warto przypomnieć ultimatum Kremla z grudnia 2021 r. Był to zestaw dwóch projektów traktatów – jeden dla USA, drugi dla NATO. Moskwa domagała się prawnie wiążących gwarancji nierozszerzania sojuszu na wschód (w tym wykluczenia Ukrainy) oraz wycofania infrastruktury wojskowej NATO do granic z 1997 r. Zachód odrzucił te żądania, uznając je za nieuprawnioną ingerencję w politykę wewnętrzną państw sojuszu, w tym oczywiście i naszego kraju. To, że Skalski nie był łaskaw zauważyć tego szczegółu, skłania do podejrzenia, iż za każdym razem uznaje rosyjskie życzenia za coś normalnego.

Ten nawyk przyjmowania rosyjskich fobii, lęków czy wprost zachcianek fatalnie odbił się na polityce Republiki Federalnej Niemiec, w której bardzo znaczący głos w debacie politycznej uzyskali w latach 1998–2022 tzw. Russlandversteher, czyli w wolnym tłumaczeniu „rozumiejący Rosję”. Ich aktywność w żadnym stopniu nie powstrzymała agresywnych zachowań Kremla. Oni także w kółko powtarzali, że „Rosja pozostanie na swoim miejscu i nie jesteśmy w stanie tego zmienić”. Oni także zaklinali, że nic nie stoi w sprzeczności między interesami Niemiec a polityką Rosji. Oni też pisali, że trzeba tylko otworzyć się na Putina, a wszelkie problemy znikną. Przebija z tych słów śmiertelny, paraliżujący strach. Ukraina pokazała, że można taki szantaż odrzucić, że płaci się za to okropną cenę, ale nagrodą są podmiotowość i zachowanie niepodległości.

Skalski, lansując swoją polską wersję rozumienia Rosji, w paru miejscach wspiera się tezami prof. Johna Mearsheimera. Amerykański politolog może uznawać rosyjskie myślenie, bo pisze swoje teksty z Ameryki, tysiące kilometrów od Rosji. Dlatego może wielkodusznie wykazywać zrozumienie dla obaw Kremla, a narodom środkowej Europy zalecać znalezienie modus vivendi z Moskwą za cenę swoich interesów. My mamy granicę białoruską 200 km od Warszawy. A jest to faktycznie granica z Rosją, która

eprasa.pl ca87f60a9b


POLSKI INTERES ZAMIAST STARYCH KLISZ

MOŻLIWOŚCI WSPÓŁISTNIENIA

A przecież Federacja Rosyjska nie

zresztą w podobnym dystansie znajduje się niedaleko od nas, na terenie obwodu królewieckiego. Dlatego musimy myśleć o swojej obronie, a nie ulegać łabędzim śpiewom tych, którzy faktycznie proponują nam zdanie się na łaskę i niełaskę znacznie silniejszego sąsiada.

JEŚLI NIE JASYR, TO CO?

Z tego, że jest trudno, nie wynika, że mamy zdać się na dobrą wolę rosyjskiej dyplomacji. Dlaczego w swojej publicystyce zawsze wyrażam szacunek dla decyzji Ukrainy o obronie swojej niepodległości? Dlatego że podjęła walkę mimo świadomości, jak wielkim arsenałem nuklearnym dysponuje Putin. Mimo świadomości, jak ogromne są zasoby surowcowe Rosji i jak wielkim potencjałem militarnym ten kraj dysponuje. Ukraińcy podjęli to ryzyko i zatrzymali Rosję. Odrzucili logikę, że ogromna różnica potencjałów obu walczących państw skazuje Kijów na naturalną przegraną.

W rozważaniach o naturalnym resecie nie można zapominać o podstawowej kwestii – doświadczenie ostatnich dwóch dekad pokazuje, że polityka ustępstw wobec Kremla kończyła się zawsze kolejnymi agresywnymi działaniami Rosji. Przypomnijmy chociażby reset za rządów prezydenta Baraka Obamy, nie wspominając już o zalotach Donalda Tuska do Putina po przejęciu władzy w Polsce w 2007 r. To Rosja za każdym razem podejmowała decyzje o podjęciu agresywnej polityki. Nam, ludzikom wychowanym w okresie ostatnich 80 lat bez wojny w naszym kraju, rosyjska logika może wydać się tak nienaturalna, że musi to oznaczać, iż w czymś Rosji uchybiamy. Ale – jak to ujął amerykański dyplomata George Kennan w swojej tzw. długiej depeszy ambasady USA w Moskwie do Waszyngtonu – podstawową istotą konfliktu jest „nie to, że Ameryka robi coś źle, a to, czym Ameryka dla Rosjan jest". A – jak dodawał Kennan – jest budzącym agresję zupełnie innym wzorcem myślenia o politycznych celach, o zakresie wolności osobistych i zupełnie obcego postępowania w stosunku do sąsiadów. Tekst Kennana z 1946 r. w niczym się niestety nie zestarzał. Wszyscy ci, którzy byli pewni, że Rosja po upadku ZSRS porzuci politykę siły, przeżyli w 2022 r. gorzkie rozczarowanie. My jako kraj Europy Środkowej możemy do tych doświadczeń amerykańskich dorzucić własne traumy, które mamy prawo uważać za równie ważne co rosyjskie lęki. To doświadczenie zaborów, polityki ZSRS w okresie międzywojennym, dyktatu w Jałcie, powojennej dominacji sowieckiej i tłumienia powstań i buntów w Europie Wschodniej. I nie są to dowody zacietrzewienia, tylko realne obserwacje „długiego trwania" pewnych schematów myślowych w rosyjskich elitach.

To dlatego w Polsce czy w państwach bałtyckich mamy silniejsze niż w wypadku Zachodu czy pana prof. Mearsheimera przekonanie, że rosyjskie państwo tradycyjnie wykorzystuje okresy odprężenia do odbudowy swej siły.

NIE WOLNO SKŁADAĆ RĄK

Piszę te słowa w momencie, kiedy polityka amerykańska rozczarowuje wielu Polaków. Ale czy można patrzeć na strategiczne sojusze w perspektywie tej czy innej ekipy? Już w tej chwili osłabiające wiarygodność Ameryki decyzje Departamentu Obrony wywołują spory sprzeciw w amerykańskiej klasie politycznej. Liczni demokraci, a także republikanie protestują przeciwko sposobowi traktowania Polski w kwestii redukcji żołnierzy US Army na terenie Europy. Można zatem uznawać, że Ameryka przy wszystkich swoich słabościach jest dla nas lepszym punktem oparcia niż faktyczna propozycja neutralizacji Polski. Krytykując to realistyczne spojrzenie, Marcin Skalski próbuje wyśmiewać „używanie klisz", sugerując, że są to jedynie uparcie powtarzane nieprawdziwe stereotypy. Nie. To, że Związek Sowiecki był agresywny, nie było żadną kliszą. Tak jak i teraz twierdzenie, że państwo Putina jest agresywne, jest po prostu stwierdzeniem faktu, a nie żadnym kopiowaniem przebrzmiałych tez.

Branie pod uwagę takich uwarunkowań to przejaw realizmu. I na odwrót – ich wyśmiewanie jako „starych klisz" to dowód albo cynizmu, albo naiwności.

I dobrze zrozumiały to np. Finlandia oraz Szwecja, które wstąpiły do NATO, choć wcześniej hołdowały polityce neutralności. Dlatego dyskutujmy raczej o tym, jak zbudować współpracę militarną w pasie państw na linii Tallin – Ryga – Wilno – Warszawa – Bukareszt, bo te stolice są realnie zagrożone rosyjskim myśleniem neoimperialnym. Oczywiście nieszczęściem naszej historii jest to, że wszystkie te kraje nie mają silnej tradycji „poziomej" i że na dodatek wszelkie takie inicjatywy źle są przyjmowane w Paryżu i Berlinie. Ale nie mamy innego wyjścia. A oparcie się na Amerykanach to też opcja, która nie ma zbyt dużej konkurencji. Opowieści o armii europejskiej to na razie bardziej reklamowy slogan niemieckich i francuskich producentów broni niż jakiś konkret. Ale oczywiście nie jest to wezwanie do odwracania się plecami do głównych państw unijnych.

Debata nad sposobem wzmacniania polskiego bezpieczeństwa jest jak najbardziej potrzebna, ale zastępowanie jej opowieściami o wyśnionym resecie z Rosją bez gruntownego wyrzeczenia się przez Rosję polityki agresji militarnej jest absurdem. A zalety takiego absurdu próbuje nam wmówić Marcin Skalski.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

GŁOS W DYSKUSJI ZABIERALI:

Marcin Skalski, „Reset z Rosją. Czy Polska stoi przed szansą?", „DRz" nr 19/2026,

Rafał A. Ziemkiewicz, „Reset z Rosją? Po co?", „DRz" nr 21/2026

eprasa.pl ca87f60a9b



Lęk przed martwym „potworem”



Filip Memches

Znowu się zrobiło głośno o powieści Jeana Raspaila „Obóz świętych”. W kręgach konserwatywnych bywa ona interpretowana jako katastroficzne proroctwo kryzysu migracyjnego. Tymczasem przedstawiony w utworze obraz jest mocno przerysowany. Poza tym dziś zachodnia „kultura gościnności” jest w odwrocie

Może się wydawać, że ograniczanie wolności słowa występuje wyłącznie w autorytarnych i totalitarnych państwach Globalnego Południa. Tymczasem zachodnie liberalne demokracje również potrafią okazywać lęk przed „myślozbrodnią” – i to nie tylko wobec sił politycznych, lecz także literatury, w dodatku książek napisanych przez pisarzy, którzy już nie żyją. Tak się stało niedawno w przypadku powieści „Obóz świętych” zmarłego w roku 2020 francuskiego prozaika Jeana Raspaila.

Zaczęło się od tego, że w lipcu 2025 r. dzieło to wydane po angielsku nakładem Vauban Books trafiło do sprzedaży na Amazonie. W kwietniu 2026 r. wersja papierowa zniknęła z oferty platformy. Amazon powiadomił Vauban Books, że decyzję podjął z uwagi na „treści obraźliwe” w książce. Nie sprecyzował jednak, o co dokładnie chodzi. W Internecie się zagotowało. Pod adresem Amazona kierowano zarzuty o stosowanie praktyk cenzorskich. W efekcie na platformie wersja papierowa powieści znalazła się w sprzedaży ponownie. Mleko jednak się rozlało. A można też przypuszczać, że gdyby nie protesty internautów, Amazon by się ze swojej decyzji nie wycofał.

CZY TO JEST RASIZM?

Przy tej okazji warto przypomnieć, że blisko 15 lat temu w Polsce „Obóz świętych” wywołał dyskusję… w kontekście ówczesnej parlamentarnej kampanii wyborczej. Otóż na plakacie Prawa i Sprawiedliwości pojawiła się młoda działaczka tej partii, trzymająca pod pachą powieść Raspaila. Należąca do Agory bezpłatna gazeta „Metro” podniosła wokół tej sprawy larum. Zanim jednak to się stało, dziennikarze tego medium postanowili się dowiedzieć, o czym w ogóle jest „Obóz świętych”. Ani tytuł książki, ani nazwisko jej autora nic im nie mówiły. Jak się okazało, na trzech przepytanych przez nich znawców literatury francuskiej coś do powiedzenia na ten temat miała tylko jedna osoba – Anna Wasilewska. To zasłużona tłumaczka, ale bynajmniej nie pozbawiona ideologicznych idiosynkrazji, o czym świadczą jej ówczesne słowa dotyczące Raspaila: „Jest przedstawicielem skrajnej prawicy, antydemokratą, monarchistą i ksenofobicznym nacjonalistą. Oczywiście demokracja jest po to, aby wszystkie potwory przemawiały”. Wasilewska dodała też, że prozaik „krytykuje politykę imigracyjną Francji, czym zasłużył sobie na oskarżenia o nawoływanie do nienawiści rasowej”.

„Obóz świętych” to dystopijna powieść z roku 1973, która dziś w konserwatywnych kręgach Zachodu bywa interpretowana jako katastroficzne proroctwo tego, co przyniosła zachodnia „kultura gościnności”. A fabuła książki jest następująca: z Indii wyrusza armada statków przepełnionych tłumami tamtejszej biedoty. Schorowani i głodni pasażerowie są zdesperowani, żeby dotrzeć do Europy, zasiedlić ją i żyć z jej dostatku. Na wieść o zbliżającej się gigantycznej fali przybyszów ze Wschodu rdzenni Europejczycy są kompletnie zagubieni. Wpadają w popłoch, który kontrastuje jednak ze stanowiskiem czołowych autorytetów Zachodu – włączywszy w to progresywnych hierarchów Kościoła katolickiego, na czele z papieżem (jak na ironię, autor nadał mu imię Benedykt XVI, nie mając rzecz jasna świadomości, że 32 lata później przybierze je po wyborze na biskupa Rzymu szanowany przez niego kard. Joseph Ratzinger). Oto bowiem gremia opiniotwórcze apelują do Europejczyków o to, żeby ci wobec Azjatów wykazali się humanitarną otwartością. Tym samym autorytety przyjmują w stosunku do przybyszów postawę kapitulacyjną. To migrantów znad Gangesu tylko rozzuchwala. Ostaje się jednak garstka osób gotowa bronić Europy przed egzotycznym wrogiem. Zgrupowana ona jest we Francji

eprasa.pl ca87f60a9b



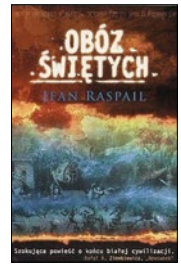
Migranci obrzucają kamieniami funkcjonariuszy polskich służb mundurowych strzegących granicy Polski z Białorusią, 16 listopada 2021 r.

FOT. LEONID SHCHEGLOV/BELTA/AFP/EAST NEWS

– w wiosce położonej na wybrzeżu Morza Śródziemnego. Ów ostatni bastion oporu to właśnie tytułowy „obóz świętych".

Czy zatem powieść Raspaila zawiera przesłanie rasistowskie? Bynajmniej. Świadczy o tym choćby jedna z ważnych postaci występujących w książce. To Hamadura – Hindus, który staje po stronie Zachodu. O swoich rodakach mówi bez ogródek (ktoś mógłby nawet pomyśleć, że ojkofobicznie): „W ogóle nie znacie mojego narodu, jego brudu, fatalizmu, idiotycznych przesądów i atawistycznej ociężałości" (przekład: Marian Miszalski). Tym samym Hamadura wprawia w zakłopotanie Francuzów, którzy okazali intruzom z Azji uległość. Ponadto wygłasza znamienną deklarację: „Bycie białym, w moim rozumieniu, nie jest kwestią koloru skóry. To kwestia stanu ducha. Wśród secesjonistów wszystkich czasów i krajów zawsze byli czarni, którzy nie wstydzili się walczyć po »złej stronie«. Jeśli biali stali się czarnymi, dlaczego czarny nie miałby się stać białym? Ja dokonałem wyboru i proszę, oto jestem".

Można powiedzieć, że spór o powieść Raspaila ujawnia nieporozumienia wokół samego terminu „rasizm". Szkopuł w tym, że w antyrasistowskim dyskursie, który za sprawą maszerującej przez instytucje lewicy zadomowił się w głównym nurcie debaty publicznej na Zachodzie, rasy są utożsamiane z cywilizacjami. Istotą antyrasizmu nie jest walka z uprzedzeniami rasowymi, lecz motywowana ideologicznie tabuizacja problemów, które wynikają z różnic między stylami życia, kulturami, religiami. Odmienność „szlachetnych dzikusów" z Afryki i Azji względem rdzennych Europejczyków to dla lewicy wartość sama w sobie – tak jak to, co wyróżnia mniejszości seksualne na tle heteroseksualnej większości. Kluczową kategorię stanowi inność, która na Zachodzie stała się kulturowym fetyszem. W imię równości i inkluzywności zaczęto hołubić wszystko, co peryferyjne, obce, dziwne, niestandardowe. Natomiast określenie „rasista" stało się po prostu politycznym epitetem. W wielu przypadkach jest on w użyciu, gdy brakuje argumentów, a trzeba oponenta pogrążyć. I Raspail się o tym przekonał. Tymczasem pogląd, że cywilizacja zachodnia góruje nad innymi cywilizacjami, nie ma charakteru rasistowskiego.



JEAN RASPAIL „OBÓZ ŚWIĘTYCH" DĘBOGÓRA 2026

ODRAŻAJĄCY MOTŁOCH

Z pewnością w „Obozie świętych" mamy do czynienia z trafnym przewidzeniem pewnych zjawisk na Zachodzie (choćby proimigracyjny kurs prominentnych hierarchów kościelnych), ale jednak utwór ten należy traktować z dystansem. Nakreślony w powieści obraz jest mocno przerysowany. Przybysze z Indii jawią się jako odrażający – nie tylko estetycznie, lecz także przede wszystkim moralnie – motłoch. Nie sposób sobie wyobrazić, żeby nawet najbardziej wrażliwi na ludzką krzywdę Europejczycy XXI w. wzruszyli się na widok takiej tłuszczy.

Przede wszystkim jednak dziś na Zachodzie „kultura gościnności" jest w odwrocie, bo nie zdała egzaminu. Rdzenni mieszkańcy krajów zachodnich coraz bardziej uświadamiają sobie skutki masowej imigracji z Afryki i Azji. Chodzi o konflikty społeczne, których nie da się już ani zakłamać, ani zamilczeć. Natomiast w reakcji na tę sytuację w siłę rosną środowiska będące pod względem ideowym odpowiednikiem powieściowego „obozu świętych". To antysystemowe partie „populistyczne". Mało tego, również lewicowe i liberalne elity polityczne Zachodu dokonują rewizji polityki imigracyjnej. Utwardzają swoje stanowisko w kwestii masowego przyjmowania cudzoziemców z Afryki i Azji. Coraz odważniej krytykują model społeczeństwa wielokulturowego. I trzeba przyznać, że robią to m.in. dlatego, że zależy im na zachowaniu swojej pozycji, więc chcą odebrać polityczne paliwo – ujmując rzecz alegorycznie – „obozowi świętych". Dodatkowo podejmują temat imigracji w relacjach między państwami, i to sojuszniczymi. Przykładem jest to, co się dzieje w Unii Europejskiej. Można tu wskazać choćby naciski Niemiec na Polskę i inne państwa środkowo-europejskie, żeby przyjmowały migrantów w stopniu zadowalającym władze w Berlinie. Oczywiście nie stoją za tym żadne względy humanitarne. Po prostu tak jest realizowany niemiecki interes narodowy.

ZAPOTRZEBOWANIE NA „POŻYTECZNYCH IDIOTÓW"

Natomiast nie da się ukryć, że w krajach zachodnich politycy przebiegle wykorzystujący retorykę humanitaryzmu w celach partykularnych potrzebują „pożytecznych idiotów", którzy są szczerze przeświadczeni o tym, że masowa imigracja z Afryki i Azji jest „kulturowo ubogacająca". Szczególnie cenne są w tym gronie osoby wpływowe, kształtujące opinię publiczną choćby poprzez takie przedsięwzięcia jak film fabularny „Zielona granica" Agnieszki Holland. Jeśli jakieś państwa serwują propagandę, według której Polska to kraj rasistowski, to tego typu dzieła wzmacniają ten przekaz.

Wracając zaś do „Obozu świętych", pod względem prozatorskim nie jest to porywający utwór. Fragmentami powieść razi łopatologią. Można odnieść wrażenie, że autor chciał dosłownie wyłożyć to, co zamierzał przekazać czytelnikom. Ale zarazem powieść Raspaila da się potraktować jako błyskotliwą publicystykę. Z ust niektórych postaci padają wypowiedzi, które w pisemnej formie mogłyby wyjść spod pióra czy klawiatury niejednego mistrza felietonistyki. I to jest atut książki. Może zatem to wystarczy, żeby się jej obawiali strażnicy politycznej poprawności. Widać, skoro tracą oni na znaczeniu, to ich wzmożenie rośnie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ca87f60a9b



Grzegorz Majchrzak

Sowiecka coca-cola i śpiwory Urbana



Czwarty reaktor elektrowni jądrowej w Czarnobylu po wybuchu, kwiecień 1986 r.
FOT. REUTERS PHOTOGRAPHER/REUTERS/FORUM

W nocy z 25 na 26 kwietnia 1986 r. doszło do katastrofy w Czarnobylu, mieście położonym na Ukrainie, wówczas jeszcze wchodzącej w skład sowieckiego imperium. W wyniku tego zdarzenia ucierpiała m.in. Polska

Dylu-dylu, pierd..... w Czarnobylu! Raz, dwa, trzy – promieniujesz ty! – tak brzmiała po tej tragedii jedna z wyliczanek podczas zabawy w chowanego. Bo – co oczywiste – Polacy po tym, jak ich władze PRL poinformowały o katastrofie, szeroko komentowali to niezwykłe zdarzenie. Oczywiście rządzący uczynili to z opóźnieniem, ale – co warto podkreślić – szybciej niż w większości innych państw tzw. demokracji ludowej, a zwłaszcza w Czechosłowacji. Inna sprawa, że faktu tego po wykryciu wzrostu promieniowania przez szwedzkie stacje pomiarowe nie sposób było ukrywać. Reakcjom w kraju przyglądały się zarówno Służba Bezpieczeństwa, jak i opozycja oraz zachodni korespondenci. I tak np. SB, informując o sytuacji w kraju 29 kwietnia, czyli dzień po lakonicznej depeszy Polskiej Agencji Prasowej na temat katastrofy, według której sytuacja miała pozostawać pod kontrolą i rzekomo nie stwarzać zagrożenia, komunikowała: „Generalnie należy stwierdzić, iż wiadomość o awarii została przyjęta ze spokojem i zrozumieniem. W wypowiedziach zwracano uwagę, iż nie była ona zdarzeniem zawinionym i mogła mieć miejsce w każdym z innych państw". Dodawano również, że „powołanie specjalnej komisji przy Prezesie Rady Ministrów zostało odebrane bardzo pozytywnie i wiązane jest z nadzieją uzyskania pełnej informacji o jej skutkach dla kraju". To było to, co władze chciały usłyszeć, bardzo możliwe zresztą, że oddawało nawet nastroje środowisk jej bliskich.

Z pewnością jednak odczucia większości Polaków były zupełnie inne – mało kto wierzył w kolejne uspokajające komunikaty, a opozycja zorganizowała własne niezależne badania stopnia napromieniowania kraju, informując o ich wynikach w podziemnej prasie. Przyznać to zresztą musiała nawet Służba Bezpieczeństwa, która już w kolejnej swojej informacji, z 30 kwietnia 1986 r., stwierdzała, że: „Komunikat o awarii [...] i przejściu nad Polską chmury radioaktywnej wywołał w społeczeństwie duże zaniepokojenie ze względu na możliwość ujemnych skutków dla zdrowia". Było ono – co całkiem zrozumiałe – najwięk-

eprasa.pl ca87f60a9b

sze wśród mieszkańców północno-wschodniej Polski, nad którą przemieściły się pierwsze radioaktywne chmury, a także rodzin z małymi dziećmi oraz kobiet w ciąży. Ewidentnie przy tym nie dowierzano rządowym komunikatom, uznając, że te „minimalizują zagrożenie", gdyż są obliczone na „uspokojenie opinii publicznej". Polacy byli – jak najbardziej słusznie – przekonani, że „awaria miała większy zasięg, niż to wynika z oficjalnego komunikatu". Krytykowano PRL-owskie władze za ich działania, m.in. pojawiły się twierdzenia, że podawanie płynu Lugola, blokującego przyswajanie jodu po wybuchu w Czarnobylu, było spóźnione o dwa dni. Twierdzono też, że powinno się tą akcją – w całym kraju – objąć „nie tylko dzieci". W tym miejscu należy dodać, że wspomniana operacja w przypadku części osób (np. dzieci wojskowych, działaczy partyjnych czy funkcjonariuszy SB i MO) została zorganizowana co najmniej dzień, a nawet dwa dni wcześniej niż w przypadku ogółu. Inna sprawa, że nie przebiegała ona bez zakłóceń – jak informowało MSW, 2 maja 1986 r. specyfik ten miał nie dotrzeć jeszcze do wielu szkół i przedszkoli. Tak na marginesie to właśnie wówczas płyn Lugola został szyderczo określony mianem sowieckiej coca-coli, a radioaktywne chmury znad Związku Sowieckiego „obłoczkami przyjaźni"…

OBCHODÓW PIERWSZOMAJOWYCH NIE ODWOŁANO

Polacy niedowierzający władzom i podawanym przez nie informacjom tradycyjnie, jak w innych sytuacjach kryzysowych, ruszyli do sklepów oraz przychodni, a przed aptekami, do których odsyłał personel przychodni po preparaty jodowe, tworzyły się długie kolejki. Płyn Lugola zniknął z aptecznych półek (w tym czasie w ciągu dwóch dni zdążył jeszcze podrożeć z 5 do 12 zł), a jego zapasów nie można było uzupełnić z powodu braku składników niezbędnych do przygotowania go. Ze sklepów z kolei znikały artykuły spożywcze, zwłaszcza nabiał (szczególnie masło chłodnicze czy mleko w proszku) oraz mięso i cukier. W efekcie 2 maja praktycznie wyczerpały się zapasy produktów mleczarskich. Trudno się zresztą temu dziwić, skoro czasem popyt na te artykuły był kilkukrotnie większy niż zwykle. Polacy wykupywali również mąkę, kaszę, makaron czy sól. Z przyczyn propagandowych nie odwołano obchodów pierwszomajowych, a polskich kolarzy – w znacznej części formalnie żołnierzy ludowego Wojska Polskiego – groźbami zmuszono do udziału w Wyścigu Pokoju, wyjątkowo rozpoczynającym się w Kijowie, czyli ok. 130 km od czarnobylskiej elektrowni. Bo – jak słusznie zauważała podziemna „Wola" – PRL-owskie władze dbały „bardziej o interesy ZSRR niż własnego narodu".

Na szczęście dość szybko okazało się, że tym razem mieliśmy sporo szczęścia. Jak pisał w numerze z 18 maja 1986 r. „Przegląd Wiadomości Agencyjnych", na podstawie danych od fizyków, z którymi redakcja tego podziemnego pisma miała kontakt: „Według oceny fachowców napromieniowanie raczej nie przekroczyło progu, poza którym byłoby niebezpieczne dla zdrowia ludzkiego teraz, natomiast nikt nie może się autorytatywnie wypowiedzieć o skutkach przyszłych, co rząd skrupulatnie pokrywa milczeniem". I – jak przy tym zauważano – „nauka w gruncie rzeczy nie wie, powyżej jakich granic i dla kogo radioaktywność staje się groźbą na przyszłość". Te skutki długofalowe dopiero dzisiaj poznajemy i nadal nie wiemy, ile osób w naszym kraju zachorowało z powodu czarnobylskiej katastrofy na raka, a ile ich zmarło czy też jeszcze umrze. Przez lata jednak spekulowano, że śmierć jednego z polskich naukowców i zarazem działacza Solidarności – prof. Zbigniewa Wołoszyna – mogła mieć związek z jego badaniami nad skutkami czarnobylskiej katastrofy dla Polski i Polaków. Wypadł on – 7 stycznia 1987 r. – z budynku hotelu Fabryki Samochodów Osobowych w Warszawie. Co prawda, śledztwo Instytutu Pamięci Narodowej nie potwierdziło wersji o zabójstwie politycznym, ale nie wyjaśniło też wszelkich wątpliwości wokół tego, co się stało…

Inna sprawa, że działania władz PRL były, o czym była już mowa – delikatnie rzecz ujmując – dalekie od ideału. Jak opisywał podziemny „Tygodnik Mazowsze" na swoich łamach: „Niedopuszczalny był także sposób przekazywania danych o stopniu skażenia. W powodzi liczb i fachowych terminów brakowało podstawowych informacji, jakie obszary są aktualnie objęte wzmożoną radiacją. Brak było również szybkich i jednoznacznych zaleceń ochronnych przed skażeniami, zwłaszcza w stosunku do dzieci i młodzieży". Notabene kiedy np. komisja rządowa podała podczas konferencji prasowej, że promieniowanie w Mikołajkach po wybuchu przekroczyło 500 razy normę, Telewizja Polska tego fragmentu nie wyemitowała. Z kolei rzecznik prasowy rządu Jerzy Urban twierdził, że ich mieszkańcom czy – szerzej –mieszkańcom Polski Północno-Wschodniej, nad którą przemieściły się pierwsze radioaktywne chmury, w związku z katastrofą nie grozi niebezpieczeństwo. Po co nadmiernie niepokoić ludzi?

REAKCJA ZACHODU

Inna sprawa, że o tym, co się stało w Związku Sowieckim, Polacy i tak się dowiedzieli z zachodnich mediów. Tak na marginesie atakowanych przez Urbana za „prowokacje i szerzenie kłamstw w celu wywoływania paniki w Polsce", a także rzekome podsycania nastrojów antyrządowych. A – co trzeba dodać – to właśnie z tych mediów wielu Polaków czerpało wiedzę, te zaś nie dysponowały pewnymi informacji, lecz jedynie spekulacjami. I tak np. – jak informowało 30 kwietnia Radio France Internationale – według Agencji Reutera w ciągu dnia poziom radioaktywności wzrósł w Białymstoku do poziomu 15-krotnie wyższego niż normalnie. Podobne miało być w Suwałkach. Z kolei według Agence France-Presse – powołującej się na białostocką służbę zdrowia – miał on być w tym województwie czterokrotnie wyższy od normalnego. Inne natomiast „bliżej nieznane źródła" miały informować o wzroście ponad 200-krotnym. Jak zatem widać, jedno tylko było pewne – promieniowanie było wyższe, i to zdecydowanie, od normalnego. Polacy zaś szukali informacji oraz porad dotyczących zachowania, w efekcie kolejki tworzyły się również przed kioskami z prasą. Ale tej rzetelnej wiedzy brakowało nie tylko zwykłym ludziom, lecz także np. lekarzom.

Na braki – szczególnie mleka w proszku dla małych dzieci – zareagował Zachód, w tym Stany Zjednoczone. Nie

eprasa.pl ca87f60a9b

spodobało się to PRL-owskim władzom. W efekcie rzecznik prasowy rządu w odwecie –13 maja 1986 r – zaoferował w imieniu PRL-owskich władz bezdomnym w Nowym Jorku koce i śpiwory. Do dziś jest to jedno najbardziej pamiętnych zdarzeń, do których doszło podczas cotygodniowych konferencji prasowych dla dziennikarzy zachodnich. Te miały wyglądać na samotny pojedynek Urbana z zachodnimi korespondentami, a były w istocie starannie zaplanowanym spektaklem propagandowym na użytek wewnętrzny. O wspomnianych śpiworach było głośno w kraju i za granicą, szczególnie oczywiście w Stanach Zjednoczonych. Tak na marginesie: choć burmistrz Nowego Jorku odrzucił tę „hojną" propozycję, to znaleźli się na nie inni chętni w USA. Ciekawe, czy je otrzymali. Z drugiej strony warto przypomnieć o sankcjach kolejnych państw Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej na produkty rolne z Polski i innych państw socjalistycznych, notabene najmniej dolegliwych dla Związku Sowieckiego. Inna sprawa, że jako pierwsze taką decyzję podjęły kraje skandynawskie (Szwecja, a następnie Dania), te same, które jako pierwsze zostały skażone w wyniku czarnobylskiej katastrofy. A także że decyzję tę krytykowała m.in. Światowa Organizacja Zdrowia, której zdaniem embargo powinno objąć tylko produkty z regionów, gdzie poziom radiacji w wyniku katastrofy w czarnobylskiej elektrowni był wysoki. Jerzy Urban grzmiał o dyskryminacji, jako że „zagrożenie nie zna granic". I dodawał, że „roślinność oraz zwierzęta nie mogą być bardziej skażone jedynie dlatego, że rosną i żyją w socjalizmie". I trudno mu się dziwić, gdyż pierwsze szacunki władz PRL mówiły o stratach z tego powodu rzędu 35 mln dol., a przy dłuższym utrzymaniu embarga nawet setek milionów.

Tak na marginesie trudno się oprzeć wrażeniu, że Polacy zareagowali na wybuch elektrowni atomowej w Związku Sowieckim i potencjalne skażenie kraju dużo spokojniej niż zachodni dyplomaci czy – szerzej – państwa zachodnie, a przynajmniej część z nich. I tak np. część ambasad (m.in. Wielkiej Brytanii, Francji, Włoch, Republiki Federalnej Niemiec, Australii czy Kanady) w Warszawie zaleciła swoim obywatelkom, kobietom w ciąży oraz matkom z małymi dziećmi opuszczenie Polski. Radio Wolna Europa komentowało: „Jak widać, rządy innych krajów niepokoją się poziomem promieniotwórczości w Polsce bardziej niż rząd PRL". Rząd Wielkiej Brytanii zalecił również swoim obywatelom, żeby nie podróżowali nie tylko do zachodniej części Związku Sowieckiego, lecz także do północno-wschodniej Polski czy do Warszawy, ze względu na możliwość skażenia radioaktywnego.

Anna Walentynowicz zaapelowała do polskich kobiet, aby te domagały się odszkodowania od władz Związku Sowieckiego

Swój przyjazd do Warszawy – na występy zaplanowane na 15–17 maja – odwołała brytyjska orkiestra Academy of Saint Martin in the Fields. Z kolei Finowie odmówili przyjazdu na mecz Pucharu Davisa z Polską planowany w stolicy w terminie 9–11 maja, został on przełożony za zgodą Polskiego Związku Tenisowego. Na niezwykły krok zdecydowały się władze amerykańskie, które do swoich ambasad na obszarach potencjalnie zagrożonych promieniowaniem z Czarnobyla wysłały fachowców w celu ustalenia poziomu zagrożenia. Kiedy ci przybyli – 3 maja 1986 r. – do Warszawy, zbadali poziom promieniowania na terenie ambasady USA oraz w mieszkaniach amerykańskich dyplomatów. Okazało się ono tak małe, że przy użyciu „normalnych mierników" nie udało się stwierdzić „żadnych odchyleń od normy", a niewielkie promieniowanie wykryte zostało dopiero przy wykorzystaniu „czułych instrumentów". Nie zagrażało ono zresztą zdrowiu.

DOWCIPY I PROTESTY

O czym warto w tym miejscu przypomnieć – katastrofa w Czarnobylu stała się również w Polsce przedmiotem żartów i dowcipnych komentarzy, np. „Co to jest: ma skrzydła i świeci w ciemnościach? Kura z Kijowa" czy „Co to takiego rosyjska coca-cola? Płyn Lugola". Inny z dowcipów z kolei brzmiał: „Kobieta kupuje masło. Sprzedawczyni pyta: »Chce Pani świeże czy solone?«. »Jak najstarsze«". Natomiast jeszcze inny: „Rząd PRL jest gotowy przyznać więźniom sumienia status więźnia politycznego pod trzema warunkami: że będą codziennie pić dwa mleka, że będą jeść codziennie dużo nowalijek, że zgodzą się na codzienne trzygodzinne spacery na powietrzu". Kolejny miał formę ogłoszenia: „Zamienię M-4 w Warszawie na śpiwór w Nowym Jorku".

Inna sprawa, że Polacy nie byliby sobą, gdyby w związku z wydarzeniami za wschodnią granicą nie zaprotestowali. I tak np. 2 maja we Wrocławiu – jak informowały media zachodnie – miało manifestować 120–200 osób z transparentem „Zabijacie nasze dzieci, żądamy pełnej informacji". Ta niewielka demonstracja została zorganizowana przez Ruch Wolności i Pokój i miała zostać rozproszona przez milicję, a kilka osób zatrzymano. Kolejna, kilka dni później – również w stolicy Dolnego Śląska – pod hasłem „Dziś Czarnobyl, jutro Żarnowiec" także została zorganizowana przez WiP. Była niewielka, bo zaledwie kilkudziesięcioosobowa, co ciekawe – z udziałem m.in. matek z dziećmi. Protestów przeciwko budowie elektrowni atomowej w Żarnowcu – według „niezawodnej sowieckiej technologii" – było zresztą później więcej. Z kolei Anna Walentynowicz zaapelowała do polskich kobiet, aby te domagały się odszkodowania od władz Związku Sowieckiego.

Na koniec warto przypomnieć, że władze PRL – podobnie jak innych państw socjalistycznych objętych zachodnimi sankcjami – nie wystąpiły i nie zamierzały wystąpić, w przeciwieństwie np. do Republiki Federalnej Niemiec, z roszczeniami wobec Związku Sowieckiego za straty spowodowane katastrofą w Czarnobylu. I to mimo tego, że Polska w jej wyniku poniosła, głównie z powodu zachodniego embarga na żywność, duże straty. Ale trudno się temu dziwić, skoro ekipa Wojciecha Jaruzelskiego nie zdecydowała się nawet zaprotestować, jak np. Szwecja, przeciwko zatajaniu przez Moskwę informacji o awarii w sowieckiej elektrowni atomowej. Odważniejszy był nawet włoski komunistyczny dziennik „L'Unità".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest pracownikiem Biura Badań Historycznych IPN.

eprasa.pl ca87f60a9b



KOMUCHOŻERCA

Ludobójcy

LESZEK ŻEBROWSKI

Od dawna trwa oswajanie nas z komunizmem i jego instytucjami w Polsce. Nowe-stare kierunki propagandy zostały sprowadzone do twierdzeń, że przecież nie było tak źle, wprowadzono powszechną edukację (przed Polską Ludową też przecież była), kraj został odbudowany po straszliwej wojnie (ale to nie komuniści go odbudowywali!) i nastąpiła elektryfikacja. A w innych krajach Europy to co? Do dziś prądu nie ma? Prostackie argumenty trafiają jednak do prostych umysłów, które to bezwiednie-wiednie to powtarzają. Jeszcze tylko brakuje oświadczeń, że to dzięki komunie deszcz pada, słońce świeci i mamy czym oddychać. Efekt takich działań jest taki, że kolejne roczniki Polaków prawie nic nie wiedzą o istocie panowania komunistów po 1944 r. O dziesiątkach tysięcy ofiar, przede wszystkim cywilów, o pacyfikacjach, zbrodniach sądowych i pozasądowych, o potwornych metodach śledztw, torturach i gwałtach.

A przecież jest o czym rozmawiać. To, że sprawcy zbrodni „uciekli" od odpowiedzialności (upływ czasu zrobił swoje), nie oznacza, że mamy o tym wszystkim nie wiedzieć. Powinniśmy wiedzieć m.in. dlatego, żeby pamiętać, i dla pamięci ofiar. Komunizm był (i zawsze jest) systemem zbrodniczym. To truizm. Ale musimy znać jego zbrodnie, przynajmniej te najbardziej drastyczne, i musimy poznać mentalność zbrodniarzy, w tym najbardziej prominentnych ludobójców. Tak, bo nie tylko z mentalnym ludobójstwem mieliśmy do czynienia.

Po klęsce III Rzeszy Niemieckiej w maju 1945 r. świat zaczął poznawać ludobójstwo niemieckie. Otwarte obozy zagłady i obozy koncentracyjne, dziesiątki tysięcy zwłok, których sprawcy nie zdążyli unicestwić były wielkim aktem oskarżenia. I wydawało się, że już nikt nigdy nie będzie chciał nawiązywać do takich metod masowego zabijania ludzi. Ależ nic podobnego! Oto w maju 1945 r. (tuż po kapitulacji Niemiec) na osławionym „tajnym" Plenum KC PPR towarzysz Grzegorz Korczyński zgłosił postulat, aby na ziemiach polskich odbudować… krematoria. Argumentował wprawdzie, że to „dla Niemców", ale wiemy, jak komuniści traktowali kategorie wrogów. Pułkownik Korczyński (czyli Stefan Kilanowicz) był wówczas szefem WUBP w Gdańsku. Gomułka przestraszył się medialnych konsekwencji w świecie i zdjął go ze stanowiska. Na otarcie łez Korczyński dostał awans na generała bezpieki i wiceszefa MBP!

To nie był „wypadek przy pracy". Oto Stefan Koc, szef PUBP w Ostrołęce, nie mogąc poradzić sobie z „bandami reakcyjnego podziemia", zażądał od swych przełożonych zdecydowanej reakcji. „Amerykanie powinni zrzucić bombę atomową na Ostrołękę, zamiast na Hiroszimę"... ©℗



HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Zamek ostatnich władców RP

SŁAWOMIR KOPER

Świetność dworu Wazów runęła wraz z potopem szwedzkim. Skandynawowie splądrowali straszliwie Zamek Królewski w Warszawie, wyrywali nawet plafony z sufitów i okna ze ścian. Gdy wreszcie zostali wyparci, rezydencja nie nadawała się do zamieszkania. Pomimo prób rekonstrukcji budowli Jan Kazimierz rezydował w Ujazdowie i w Pałacu Kazimierzowskim, natomiast Jan III Sobieski przebywał głównie w Wilanowie.

August II Mocny planował gruntowne zmiany w architekturze zamku, ale zabrakło na to środków i ograniczył się do przebudowy wnętrz. Jednak jego syn i następca, August III, został zmuszony do remontu bryły rezydencji z powodu pożaru, który wybuchł 31 maja 1732 r. Kilka lat później przekształcano elewację od strony Wisły, która uzyskała charakter saskiego rokoko. Pojawił się wówczas charakterystyczny centralny ryzalit, któremu towarzyszyły dwa boczne z trójkątnymi tympanonami.

Lepsze czasy dla zamku nadeszły wraz z panowaniem Stanisława Augusta Poniatowskiego. Architekci władcy opracowali aż 11 projektów przebudowy rezydencji, która miała całkowicie zmienić bryłę. Ze względów finansowych planów tych nie udało się zrealizować, ale gruntownie przekształcono wnętrza zamku, które uzyskały reprezentacyjny charakter.

Za czasów Stanisława Augusta w skład kompleksu włączono Pałac pod Blachą, wcześniej stanowiący własność prywatną. Barokowy budynek z dwoma skrzydłami posiadał miedziany dach i stąd pochodziła jego nazwa. W czasach ostatniego polskiego króla skrzydło północne zostało nadbudowane o dwa piętra i połączone ze stworzoną przez władcę Biblioteką Królewską. Pałac pod Blachą jest jedynym elementem warszawskiego zamku, który przetrwał drugą wojnę światową praktycznie bez strat.

W szanującej się rezydencji królewskiej nie mogło oczywiście zabraknąć ogrodów. Wiedział o tym doskonale Stanisław August i zaplanował, że powstaną na miejscu dawnego ogrodu renesansowego. Niestety, upadek Rzeczypospolitej spowodował, że park utworzono dopiero w drugiej dekadzie XIX w., a ulica przebiegająca bezpośrednio nad ogrodami została zabudowana przez tzw. Arkady Kubickiego. Nazwa pochodzi od projektanta, a gmach składa się z siedmiu ażurowych arkad, umieszczonych w ścianach parterowego budynku.

Sklepienie arkad zostało wypełnione ziemią i po posadzeniu drzew oraz krzewów uzyskano przestrzeń spacerową stanowiącą integralną część odtworzonych ogrodów królewskich. A wewnątrz arkad odbywa się obecnie wiele imprez kulturalnych, z Targami Książki Historycznej i licznymi koncertami na czele. ©℗

eprasa.pl ca87f60a9b

Ostatni Castro gasi światło





Piotr Włoczyk

Głęboki kryzys na Kubie może niebawem zakończyć się upadkiem reżimu zbudowanego przez braci Castro. Oczywiście o ile wcześniej administracja Trumpa nie przewróci go siłą, co w kontekście problemów w Zatoce Perskiej może być dla niej wyjątkowo kuszącą perspektywą

Kubańczycy nazywają je „oczami i uszami" reżimu Castro. CDR-y rozsiane są gęsto po całej Kubie, w Hawanie znajdziemy je w każdym kwartale. Niemal każdy dorosły Kubańczyk „z automatu" zapisany jest do swojego sąsiedzkiego CDR. Komitety Obrony Rewolucji (Comités de Defensa de la Revolución – CDR) to miejsca, w których reżim – dzięki służącym tam partyjniakom – przygląda się postawie ludzi żyjących w sąsiedztwie i reaguje na wszelkie „nieprawomyślne" zachowania. A przynajmniej w teorii tak to wygląda, bo praktyka bywa już różna.

– W Hawanie wynajmuję mieszkanie w kamienicy. Po drugiej stronie ulicy mieści się CDR – mówi w rozmowie ze mną Andrzej (imię zmienione), 50-letni polski przewodnik, który co roku spędza kilka miesięcy na Kubie. – Niedawno zapytałem siedzącą tam kobietę, czy jej zdaniem Amerykanie „wejdą" i generalnie co przyniesie przyszłość. Bez sugerowania, co sam o tym myślę. Ta kobieta wyszła ze mną na zewnątrz i powiedziała po cichu: „Tak źle nigdy jeszcze nie było. Mam nadzieję, że »wejdą« i to się wreszcie skończy".

Odcięcie przez Trumpa na początku roku paliwa z Wenezueli wzmogło kryzys na Kubie, ale nie sposób powiedzieć, że to wtedy zaczął się kataklizm gospodarczy. Od pandemii, gdy po raz pierwszy na Kubie zabrakło turystów, ten kraj nie może się

eprasa.pl ca87f60a9b



Hawańczycy oświetlają stół do gry smartfonami, podczas gdy na ulicy płonie ogień rozpalony przez protestujących przeciw przerwom w dostawie prądu, 14 maja 2026 r.
FOT. RAMON ESPINOSA/AP/EAST NEWS

wygrzebać z kryzysu. Efektem jest exodus na niespotykaną skalę. Szacuje się, że w ciągu ostatnich sześciu lat Kubę opuściło nawet 1,5 mln ludzi (oznaczałoby to, że jej populacja spadła z 11 mln do 9,5 mln).

– Już wcześniej było ciężko, ale od COVID widać już kompletny upadek. Od tego czasu bardzo wielu moich kubańskich znajomych z dzielnicy wyjechało, już z rzadka spotykam tam znajome twarze – mówi Andrzej, który ostatni raz na Kubie był dwa miesiące temu. – Na Kubie właściwie nie ma już turystów. Z powodu problemów z paliwem lotniczym i brakiem prądu w hotelach przestali tam latać nawet Rosjanie i Kanadyjczycy, czyli główni klienci. Skończył się więc dopływ dewiz. I to zarówno dla reżimu, jak i ludzi, którzy pracują w tej branży. Ich sytuacja jest po prostu tragiczna. Z moich rozmów wynika, że ludzie naprawdę czekają na upadek tego reżimu. I są na to coraz lepsze widoki.

PRETEKST DO INWAZJI?

W niewielkim kubańskim mieście od kilku lat swoją posługę pełni czterdziestokilkuletni ksiądz katolicki. Nazwijmy go Ricardo (inwigiluje go bezpieka, więc zgadza się ze mną, że lepiej będzie ukryć jego tożsamość). Gdy pytam go o kubańską służbę zdrowia, która wciąż przedstawiana jest przez obrońców reżimu Castro jako wielka zdobycz rewolucji, ks. Ricardo zaczyna się gorzko śmiać.

– O czym my w ogóle rozmawiamy? W szpitalach nie ma wody, żeby normalnie skorzystać z WC. Owszem, dostaniesz łóżko z materacem, najczęściej zawszonym, ale przyjeżdżasz z własną pościelą, wentylatorem, kubkami i w 95 proc. przypadków z własnymi lekami – mówi „Do Rzeczy" ks. Ricardo. – Ostatnio pomagaliśmy chłopakowi z połamanymi nogami. Musieliśmy dla niego załatwić specjalne śruby, igły, strzykawki, a także jedzenie dla personelu szpitala. Tak wygląda osławiona kubańska opieka zdrowotna. Ludzie psioczą na lekarzy, że biorą łapówki, ale oni też mają rodziny i są zmuszeni „kombinować". Ja się śmieję, że jeżeli stanie mi się coś poważnego, to albo kostnica, albo samolot. Na pewno nie kubański szpital!

Zaciśnięcie embarga przez Trumpa, szczególnie w kwestii dostępu do paliwa, z pewnością pogorszyło sytuację, ale kubańska opieka zdrowotna jest w opłakanym stanie już od dłuższego czasu. Amerykańskie embargo nie obejmuje środków medycznych, lekarstw czy żywności, więc nie sposób stwierdzić, że to z powodu Trumpa chorzy na Kubie muszą przynosić do szpitala własne leki czy strzykawki.

Już dwa lata temu, gdy Ameryką rządził bardziej skory do tolerowania reżimu Castro Joe Biden, władze w Hawanie ogłosiły wprowadzenie „gospodarki wojennej" w związku z katastrofalnymi niedoborami podstawowych produktów. Kubańscy komuniści na nowo narzucili wtedy ograniczenia nielicznym prywatnym biznesom, którym wcześniej pozwolili działać.

Po porwaniu w styczniu tego roku prezydenta Wenezueli, który w ramach „socjalistycznej pomocy" zapewniał Kubie niemal darmowe paliwo, Amerykanie coraz wyraźniej sygnalizują, że Kuba musi na nowo stać się częścią „ogródka" USA. Od początku roku delegacje Stanów Zjednoczonych i Kuby spotykały się kilka razy, by uzgodnić kompromisowy plan działania, który byłby do zaakceptowania przez obie strony, ale wiele wskazuje na to, że jest to ślepa uliczka.

W połowie maja portal Axios przekazał sensacyjnie brzmiące doniesienia z amerykańskiego wywiadu: Hawana miała kupić od Rosji i Iranu ponad 300 dronów kamikadze, które mogłyby zagrozić bazie Guantanamo, okrętom US Navy, a także miastu Key West na Florydzie. Kubańskie władze natychmiast zdementowały te doniesienia, podkreślając, że Ameryka szuka w ten sposób pretekstu do ataku. Zresztą nie tylko Kubańczycy widzą, że wobec problemów w Zatoce Perskiej Biały Dom jest w naturalny sposób zainteresowany odniesieniem zwycięstwa w swoim bezpośrednim sąsiedztwie.

Po publikacji portalu Axios Miguel Díaz-Canel, prezydent Kuby od 2019 r., stwierdził, że ewentualna inwazja USA skończyłaby się „krwawą łaźnią", ale równocześnie pokazał Waszyngtonowi gałązkę oliwną, pisząc na X: „Kuba nie stanowi zagrożenia". W ostatnią środę Amerykanie zwiększyli presję na Hawanę, stawiając Raúlowi Castro zarzuty zabójstwa czterech ludzi (trzech było obywatelami USA, a jeden posiadał kartę stałego pobytu). Chodzi o wydarzenie sprzed 30 lat, gdy kubańskie myśliwce zestrzeliły dwie awionetki należące do organizacji humanitarnej Brothers to the Rescue. Oskarżony był wówczas ministrem obrony Kuby. Słysząc o zarzutach, Castro siłą rzeczy musiał pomyśleć o porwaniu Nicolása Maduro, który również został oskarżony przez amerykańską prokuraturę

DOKTRYNA TRUMPA

– Czas reżimu dobiega końca, a USA przygotowują się do użycia siły militarnej – mówi „Do Rzeczy" Sebastian A. Arcos, szef Institute for Cuban Studies z Florida International University. – Reżim powinien upaść jeszcze w tym roku, być może już tego lata.

eprasa.pl ca87f60a9b

Arcos uciekł z Kuby w 1992 r. w wieku 31 lat, więc na własnej skórze przekonał się, jak wygląda władza Castro. W tamtym czasie Kuba nie mogła już liczyć na wsparcie Moskwy, ale jednak ówczesnego kryzysu nie sposób porównać do tego, co dziś przeżywają Kubańczycy. – Pogłębia się problem głodu. Ludzie autentycznie chodzą tu głodni – opowiada ks. Ricardo. – W najgorszej sytuacji są ludzie starzy i chorzy. Emerytura kubańska wynosi kilka dolarów miesięcznie. Jeżeli nie masz rodziny za granicą, która dosyła ci pieniądze, to przymierasz głodem.

Wraz z zaostrzeniem relacji z USA kubańskie władze wydały obywatelom zalecenie, by każdy przygotował sobie odpowiednik naszego polskiego „plecaka ewakuacyjnego". W środku miałyby się znaleźć najpotrzebniejsze rzeczy, jak latarka, zapałki, zestaw pierwszej pomocy medycznej czy suchy prowiant. „To jest jakiś żart. Jeżeli zdobycie jedzenia jest takim problemem, to jak niby mamy oszczędzać racje żywnościowe na wypadek wojny?" – napisał w mediach społecznościowych pewien Kubańczyk.

– Reżim znajduje się obecnie w najbardziej niestabilnym momencie w swojej historii. Doszło do jednoczesnego kryzysu legitymizacji politycznej i załamania gospodarczego, a dodatkowo administracja Trumpa stała się czynnikiem dążącym do zmiany reżimu poprzez zaostrzone sankcje oraz groźby użycia siły militarnej – mówi „Do Rzeczy" szef Institute for Cuban Studies. – Trump jest pierwszym prezydentem USA, który odszedł od standardowego założenia strategicznego, obowiązującego od czasu kryzysu kubańskiego z 1962 r., zgodnie z którym Stany Zjednoczone powinny biernie czekać, aż kubański reżim upadnie sam z siebie.

John Suarez, dyrektor waszyngtońskiego Center for a Free Cuba, również podkreśla, że polityka Trumpa wobec Kuby to zagrożenie, z jakim Hawana nie mierzyła się od dekad. – Polityka Trumpa polegała do tej pory na zaostrzaniu sankcji wobec kubańskiej dyktatury, identyfikowaniu i nakładaniu sankcji na funkcjonariuszy reżimu, grożeniu przywódcom reżimu postępowaniami karnymi za wcześniejsze zbrodnie. Do tego doszła jeszcze możliwość wszczęcia działań militarnych, jeśli Kuba nie zerwie sojuszy z reżimami wrogimi Stanom Zjednoczonym i nie zakończy sponsorowania terroryzmu państwowego. Równocześnie Departament Stanu USA otworzył kanały umożliwiające dostarczanie pomocy humanitarnej zwykłym Kubańczykom – mówi „Do Rzeczy" John Suarez.

Raúl jest ostatnim z założycieli reżimu. Gdy odejdzie, na szczytach władzy rozpocznie się walka o wpływy

A jak ta sytuacja komentowana jest na amerykańskiej lewicy? Profesor Aviva Chomsky (córka Noama Chomsky'ego), historyk z Salem State University, autorka książki „Historia rewolucji kubańskiej", przekonuje mnie, że Kubańczycy, w tym rząd kubański, chcą mieć pozytywne relacje ze Stanami Zjednoczonymi.

– To Stany Zjednoczone odmawiają nawiązania takich relacji – mówi „Do Rzeczy" prof. Aviva Chomsky. – Rząd kubański od dawna obwinia politykę USA – embargo/blokadę – za problemy gospodarcze kraju. Zawsze było to częściowo prawdą. Teraz jest to całkowicie prawdą. Jeśli Stany Zjednoczone nie pozwolą, by jakiekolwiek paliwo docierało na wyspę, to żadna polityka rządu nie będzie w stanie poprawić sytuacji gospodarczej.

CZERWONY TRON

Raúl Castro, brat Fidela, który pomagał mu budować reżim, ma 94 lata i już pięć lat temu oddał fotel pierwszego sekretarza Komunistycznej Partii Kuby obecnemu prezydentowi.

– Totalitarny reżim na Kubie zawsze miał dwie głowy: Fidela i Raúla. Kiedy nadszedł czas, by Fidel ustąpił, Raúl był gotów go zastąpić, prowadząc zasadniczo tę samą politykę. Na Kubie to „przejście" zostało przewidziane i przebiegło płynnie. Bracia mieli też dodatkową przewagę: mogli wyciągnąć wnioski z transformacji w Europie Środkowej – co robić, a czego unikać, aby zapobiec podobnej transformacji na Kubie. Odpowiedzią były bezwzględne represje i masowa emigracja dysydentów – mówi Sebastian A. Arcos. – Historycznie rzecz biorąc, najsłabszym momentem dla większości reżimów totalitarnych jest okres przejścia między przywódcami, szczególnie po śmierci ważnego lidera. Raúl jest ostatnim z założycieli reżimu. Gdy odejdzie, na szczytach władzy rozpocznie się walka o wpływy. Takie konflikty frakcyjne często stają się momentem przełomu i transformacji, tym bardziej że społeczne poparcie dla reżimu wyparowało – ludzie nie ufają już władzy i nie wierzą w jej propagandę.

John Suarez z Center for a Free Cuba twierdzi: „»Sekretem« utrzymywania się kubańskiego reżimu przy władzy jest delegalizacja wszystkich partii politycznych poza partią komunistyczną, państwo policyjne inwigilujące społeczeństwo oraz gotowość do więzienia, przymusowego wyganiania lub zabijania dysydentów zagrażających władzy. Obecnie na Kubie przetrzymywanych jest ponad 1,2 tys. więźniów politycznych".

W naturalny sposób eksperci zastanawiają się, czy na Kubie może dojść do podobnych wydarzeń jak w Wenezueli. Christopher Sabatini, dyrektor Programu Ameryki Łacińskiej w brytyjskim think tanku Chatham House, podkreśla jednak, że Kuba stanowi dla USA zupełnie inne wyzwanie niż Wenezuela w kontekście „doktryny Donroe" (żartobliwe nawiązanie do sposobu realizowania przez Trumpa słynnej „doktryny Monroego").

„Kuba nie leży na ogromnych złożach ropy naftowej i nie posiada niewykorzystanych bogactw mineralnych. Zmiana rządu nie przyniosłaby Stanom Zjednoczonym żadnych wielkich korzyści gospodarczych. Nawet przemysł cukrowniczy, który zbudował przedrewolucyjną Kubę, uległ załamaniu. Kuba nie stanowi też zagrożenia dla bezpieczeństwa narodowego mimo bliskich relacji z Rosją, Chinami i Iranem – pisze Christopher Sabatini w swojej analizie dla Chatham House. – Zamiast tego sytuacja ta jest w dużej mierze napędzana ideologią: spuścizną zimnej wojny, w której przez 66 lat i za rządów 13 amerykańskich prezydentów nie udało się obalić deklarowanego wroga znajdującego się zaledwie 90 mil od wybrzeży Florydy".

Na Kubie służy grupa polskich duchownych, którzy pomagają miejscowej ludności, m.in. Misjonarze Świętej Rodziny (MSF) oraz Misjonarze Oblaci Maryi Niepokalanej (OMI). Na ich stronach internetowych można znaleźć informacje na temat sposobów wsparcia misji na Kubie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ca87f60a9b



Agnieszka Golańska-Bault

Uwaga, skrajna lewica zabija!

Przyzwolenie na „antyfaszystowskie" akty agresji ma być rzekomą obroną przed brutalną prawicą. Jak w przypadku większości neomarksistowskich konceptów i ten ma się nijak do rzeczywistości. Według oficjalnych danych publikowanych corocznie przez Europol w latach 2022–2024 w całej Unii Europejskiej odnotowano 72 akty terroryzmu przypisane ekstremistom lewicowym i tylko siedem takich zdarzeń powiązanych z ekstremistami prawicowymi

W Parlamencie Europejskim odbyła się 11 marca br. debata pt. „Wzrost przemocy politycznej, zwłaszcza ze strony organizacji skrajnie lewicowych". Miesiąc wcześniej, 14 lutego, we francuskim szpitalu zmarł w wyniku obrażeń mózgu odniesionych podczas brutalnego ataku ultralewicowej bojówki w Lyonie 23-letni student Quentin Deranque. Jego śmierć i szokujące okoliczności z nią związane wywołały polityczne trzęsienie ziemi w mediach i na najwyższych szczeblach władzy.

Przypomnijmy przebieg wydarzeń: 12 lutego Deranque stał z grupą kilkunastu swoich kolegów w pobliżu prestiżowej szkoły wyższej – Instytutu Nauk Politycznych (tzw. Sciences-Po) w Lyonie – w celu zapewnienia ochrony swoim siedmiu koleżankom z feministycznej, prawicowej organizacji Némésis, prowadzącym pikietę przed budynkiem uczelni. W tym samym bowiem czasie Instytut Nauk Politycznych gościł w swych progach niejaką Rimę Hassan, francuską eurodeputowaną z ramienia skrajnie lewicowej partii La France Insoumise (Francja Niepokorna – LFI, na jej czele stoi trockista Jean-Luc Mélenchon), reprezentantkę tzw. francuskiej islamolewicy. Młode kobiety z kolektywu Némésis chciały zaprotestować przeciw proimigracyjnym, genderowym poglądom europosłanki, które przyczyniają się do prawdziwej zapaści bezpieczeństwa i praw kobiet we Francji, a także wyrazić swoje niezadowolenie z faktu, że publiczna uczelnia regularnie zaprasza na wykłady osoby prezentujące skrajnie lewicowe poglądy, a uniemożliwia wykłady osobom prezentującym prawicowy punkt widzenia. Konserwatywne aktywistki z Némésis i podobnych kobiecych organizacji regularnie proszą o ochronę swoich kolegów w czasie organizowanych przez nie happeningów, manifestacji i marszów, gdyż niemal zawsze padają ofiarami agresji słownej i fizycznej.

Zarzuty o umyślne spowodowanie śmierci lub współudział w zabójstwie Quentina Deranque'a postawiono 11 osobom (w tym trzem kobietom). Kilka z nich związanych jest ze skrajnie lewicową organizacją „antyfaszystowską" La Jeune Garde, formalnie rozwiązaną w roku 2025 z powodu przemocy, której się dopuszczała. Według zestawienia opublikowanego przez prawicowy tygodnik „Journal du Dimanche" w latach 2019–2026 organizacja przyznała się na kanale Telegramu „Antifa Squads" do ponad 50 brutalnych aktów agresji. Sam założyciel organizacji, Raphaël Arnault, został w 2022 r. skazany na cztery miesiące w zawieszeniu za grupową napaść na młodego mężczyznę. Mimo że wciąż figuruje w tzw. rejestrze S, czyli we francuskim systemie ewidencji osób uważanych za potencjalne zagrożenie dla bezpieczeństwa państwa, w 2024 r. został deputowanym do francuskiego parlamentu z ramienia wspomnianej skrajnie lewicowej partii LFI.

WPŁYWOWY SOJUSZNIK

Ścisłe związki między lewicą, partią Zielonych i francuskimi tzw. ruchami antyfaszystowskimi nie są tajemnicą. Zastępca mera Lyonu do spraw bezpieczeństwa, Mohamed Chihi, potwierdził, że regularnie współpracuje z „ruchami antyfaszystowskimi" w ramach zwalczania skrajnej prawicy, a były rzecznik La Jeune Garde twierdzi, że organizacja prowadziła szkolenia z samoobrony m.in. dla związkowców z komunistycznej konfederacji związkowej CGT i dla Zielonych w Strasburgu. Organizacje i aktywiści „antyfaszystowscy" korzystają we Francji z protektoratu największych lewicowych oraz centrowo-liberalnych sił politycznych, a także pobłażliwości sądów i policji. Mogą też liczyć na sympatię wielu intelektualistów (którzy wręcz sprzeciwiali się delegalizacji La Jeune Garde), ponieważ są niejako „zbrojnym ramieniem" tych właśnie środowisk w walce z aktualnie najbardziej popularnym we Francji Zjednoczeniem Narodowym (Rassemblement National, RN, partią Marine Le Pen) i innymi mniejszymi ugrupowaniami prawicowymi, w ramach demonizacji zwanymi po prostu „skrajną prawicą", „faszystami" lub wręcz „neonazistami".

Napaści na członków RN czy partii Rekonkwista Érica Zemmoura lub uczestników wieców i spotkań prawicy są we Francji czymś codziennym. Jako że walczy się z „faszystami", wszelkie chwyty są dozwolone. Francuscy lewicowi ekstremiści od wielu już lat mają

eprasa.pl ca87f60a9b

jednak jeszcze jednego, wpływowego sojusznika. Są nim wyższe uczelnie, całkowicie zdominowane przez dyskurs skrajnej lewicy: poparcie dla imigracji, genderyzm, wokeizm, dekolonializm, a w związku z sympatiami palestyńskimi i wpływem politycznego islamu – antysemityzm. W liście otwartym opublikowanym w poczytnym dzienniku „Le Figaro" 4 stycznia 2022 r. studenci z kilku instytutów nauk politycznych (chodzi również o wspomniane powyżej prestiżowe „Sciences-Po" w Lyonie) zwracają uwagę na liczne zagrożenia płynące z „kultury unieważnienia" („cancel culture") i wszechobecną oficjalną i nieoficjalną cenzurę myśli i wypowiedzi na francuskich uniwersytetach. Sygnatariusze listu ostrzegają: „Ukryty proces polityczny, który nieustannie grozi każdemu studentowi, profesorowi niezgadzającemu się z domniemaną progresywną linią, doprowadzi do zaniku ducha krytycznego myślenia". Potwierdzają to liczne przykłady zastraszania i sankcjonowania niepoprawnie myślących.

W 2021 r. dwaj profesorowie Instytutu Nauk Politycznych w Grenoble zostali oskarżeni o „islamofobię", ponieważ w czasie uniwersyteckiej debaty zakwestionowali samo to pojęcie. W akcji odwetowej skrajnie lewicowy Narodowy Związek Studentów Francji (UNEF) rozkleił na murach szkoły, a następnie opublikował w Internecie oskarżycielskie plakaty z ich nazwiskami. We Francji, gdzie silnie obecny jest islamski radykalizm, tego rodzaju happeningi mogą narazić określone osoby na niebezpieczeństwo i są aktem dalece nieodpowiedzialnym. Tymczasem studenci, którzy przeprowadzili tę akcję, zostali uniewinnieni przez radę dyscyplinarną szkoły, co zszokowało pomawianych profesorów i dużą część opinii publicznej.

Liczne są fizyczne ataki na prawicowe stowarzyszenia studenckie, takie jak UNI, Le Cercle Mauriac, Le Printemps Républicain i La Cocarde étudiante, a założycieli stowarzyszeń Génération Z (wspierającego kandydaturę Érica Zemmoura w wyborach prezydenckich) czy związanych ze Zjednoczeniem Narodowym próbowano wręcz wydalić z uczelni. Regularnie i wręcz histerycznie oprotestowuje się zaproszenia prelegentów uznawanych przez „progresywnych" aktywistów za dysydentów ideologicznych, a ich obecność na terenie szkoły za zagrożenie dla bezpieczeństwa

Według tygodnika „Le Journal du Dimanche" na ok. 60 osób zaproszonych do wygłoszenia wykładu na paryskim „Science-Po" w roku ubiegłym aż 37 osób prezentowało zdecydowanie lewicowy punkt widzenia, w tym dziewięć reprezentowało skrajną lewicę. Tylko dwóch prelegentów można uznać za przedstawicieli środowiska prawicowego. Praktykom zastraszania, zniechęcania, obrażania, dezawuowania towarzyszy na uczelniach klimat prawdziwego przyzwolenia na przemoc, pod warunkiem że jest ona skierowana przeciwko „faszystom". Należy przy tym uściślić, że we Francji za faszystę może być uznany każdy „na prawo od Macrona". Zaledwie kilka dni po tragicznej śmierci Quentina Deranque'a na zamkniętej grupie WhatsApp tej samej elitarnej „Science-Po" w Paryżu dwóch profesorów usprawiedliwiało mord w Lyonie, pisząc: „Ci naziole dostali to, na co zasłużyli". Część francuskiej intelektualnej elity zdaje się być mentalnie całkowicie podporządkowana nowym brutalnym ideologiom dehumanizującym przeciwników politycznych, a wyższe uczelnie, na których pracują, traktują jak poletko doświadczalne dla swoich totalitarnych idei i praktyk.

Mamy do czynienia z konfliktem między tymi, którzy różnice chcą wyjaśniać w debacie, a tymi, którzy uważają, że mają prawo uciekać się do fizycznej siły czy wręcz eliminacji oponenta

OCALONY IMMUNITET

Przyzwolenie na „antyfaszystowską" przemoc ma być rzekomą obroną przed brutalną prawicą. Jak w przypadku większości neomarksistowskich konceptów i ten ma się nijak do rzeczywistości. Według oficjalnych danych publikowanych corocznie przez Europol (pt. „EU Terrorism Situation and Trend Report") w latach 2022–2024 w całej Unii Europejskiej odnotowano 72 akty terroryzmu przypisane skrajnej lewicy i tylko siedem takich zdarzeń powiązanych ze skrajną prawicą. Dane są jeszcze bardziej zdumiewające, gdy zerkniemy na liczbę zatrzymanych w związku z tymi przestępstwami: 118 aresztowań na prawicy i tylko 61 na lewicy. Ta dysproporcja to jeszcze jeden namacalny dowód na niezwykłą nadgorliwość w ściganiu i nękaniu „faszystów" oraz niezwykłą wprost pobłażliwość organów ścigania i sądów wobec lewicowych ekstremistów.

Lewicowa przemoc nie jest specyfiką Francji, a ekstremiści z różnych krajów tworzą nieformalnie międzynarodową siatkę organizacji spod znaku Antifa. W lutym 2023 r. niejaka Iliara Salis, włoska nauczycielka i aktywistka skrajnie lewicowa, została zatrzymana wraz z kilkoma innymi osobami z niemieckiego lewackiego gangu Hammerbande („Młotkowy Gang", gdyż lewicowi „wojownicy" walą ludzi młotkiem) za napad w Budapeszcie na przypadkowych przychodniów podejrzanych o neonazistowskie sympatie z racji ich wyglądu. Salis została na Węgrzech aresztowana i tam oczekiwała na proces. W sukurs jednak przyszli jej włoscy towarzysze i w 2024 r. została posłanką Parlamentu Europejskiego z listy Alleanza Verdi e Sinistra (Sojusz Zielonych z Lewicą). Tym samym uzyskała immunitet i mogła wrócić do Włoch. Wniosek Węgier o zniesienie jej immunitetu, tak by proces karny o usiłowanie przez nią zabójstwa mógł być kontynuowany, został stosunkiem 306 do 305 głosów odrzucony przez Parlament Europejski z powodu domniemanego wymiaru politycznego sprawy, czyli prześladowania Salis przez rząd Viktora Orbána.

Wiele wskazuje na to, że włoscy „antyfaszyści" mogą również liczyć na „bratnią pomoc" swoich odpowiedników z Francji. I oto znów spotykamy Raphaëla Arnaulta, który w styczniu br. w Internecie zamieścił film przedstawiający atak na trzech młodych mężczyzn z młodzieżówki prawicowej partii Bracia Włosi. Do ataku doszło w momencie wywieszania przez nich plakatów upamiętniających rocznicę zamachu na Acca Larentia w Rzymie (w 1978 r. z rąk lewicowej

eprasa.pl ca87f60a9b



Marsz upamiętniający Quentina Deranque'a, młodego prawicowego aktywisty pobitego na śmierć przez ultralewicową bojówkę, Lyon, 21 lutego 2026 r. FOT. NICOLAS ECONOMOU/REUTERS/FORUM

bojówki zginęło trzech młodych ludzi; to były „lata ołowiu", czyli okres terroru pod koniec lat 70., całkowicie zdominowany przez akty agresji skrajnej lewicy). Skoro Arnault wideo kręcił sam, to był tuż obok miejsca zdarzenia – w każdym razie przebywał wówczas w Rzymie i odbierał nagrodę przyznaną przez włoskich aktywistów spod znaku Antify „za zasługi w zwalczaniu prawicy".

PODOBNIE JAK W ROKU 1936

Sytuacja w Hiszpanii wydaje się być jeszcze bardziej napięta, gdyż tutaj agresywna lewica sprzymierza się w swych dążeniach z separatystami. W wywiadzie udzielonym portalowi Remix News w roku 2021 eurodeputowany z ramienia partii VOX, były dziennikarz „El País" i innych dużych hiszpańskich mediów Hermann Tertsch, twierdzi wręcz, że rząd Pedra Sáncheza bezpośrednio zachęca skrajną lewicę do politycznej przemocy. Hiszpańscy konserwatyści są kłamliwie oskarżani o akty agresji, medialnie linczowani i kryminalizowani. Tworzony jest klimat, mający, zdaniem Tertscha, doprowadzić do delegalizacji VOX. Tymczasem to właśnie działacze prawicy są przedmiotem werbalnych i fizycznych ataków ze strony bojówek lewicy. Na wiecach wyborczych VOX politykom tej partii nie zapewnia się niezbędnej ochrony, policja nie dba o zachowanie bezpiecznego odstępu między agresywnymi manifestantami a politykami (w co najmniej jednym przypadku polecenie skracania tego dystansu wydał sam minister spraw wewnętrznych Fernando Grande-Marlaska). W czasie jednego z takich zdarzeń w Madrycie, przed wyborami regionalnymi w roku 2021, agresorami okazali się członkowie ochrony Pabla Iglesiasa, ówczesnego wicepremiera z ramienia skrajnie lewicowej partii Podemos. Ten sam Iglesias w ubiegłym roku zaproponował premierowi Sánchezowi pakt na rzecz „zniszczenia politycznej prawicy" – w czasie gdy, zdaniem rzecznika VOX, lewica „ponownie ucieka się do zastraszania i podżegania do nienawiści" w obliczu wzrostu poparcia dla jego partii w sondażach. Wyliczanie incydentów, w których rozzłoszczony tłum kilkudziesięciu, a nawet kilkuset agresorów atakuje (często skutecznie raniąc) polityków i wyborców VOX, byłoby z pewnością mrożącą krew w żyłach, choć monotonną lekturą. Zdaniem Tertscha nie było czegoś podobnego w Hiszpanii od czasów rządu Frontu Ludowego w 1936 r. w miesiącach poprzedzających wybuch hiszpańskiej wojny domowej.

RZEKOME ZAGROŻENIE DLA DEMOKRACJI

Niestety, sceny rozgrywające się na ulicach Madrytu, Barcelony czy miast francuskich to również doświadczenie Niemiec. W 2019 r. w Bremie trzech „nieznanych sprawców" zaatakowało brutalnie lokalnego lidera Alternatywy dla Niemiec (AfD), Franka Magnitza, wychodzącego z przyjęcia noworocznego, a kilka miesięcy temu w Giessen podobny los spotkał posła do Bundestagu z ramienia AfD, Juliana Schmidta, pobitego na ulicy przez grupę sprzeciwiających się powołaniu przez Alternatywę nowej młodzieżówki tej partii Generation Deutschland. Napadło na niego aż 20 osób, kopano go, jak Durenque'a, w głowę – na szczęście w porę interweniowała policja. Do licznych ataków na polityków prawicy, m.in. w Stuttgarcie, dochodziło w roku 2024 w związku z kampanią wyborczą przed wyborami do europarlamentu: lokalny kandydat AfD, Heinrich Koch, został zraniony nożem, gdy próbował zatrzymać mężczyznę zrywającego plakaty wyborcze partii w Mannheim, a w Karlsruhe zamaskowani sprawcy zaatakowali dwóch lokalnych radnych wychodzących z kawiarni. Pod koniec ubiegłego roku grupa utożsamiana z Antifą przyznała się do podpalenia samochodów prywatnych polityka AfD Bernda Baumanna i jego żony w Hamburgu. W odpowiedzi na interpelację posła AfD Martina Hessa rząd federalny opublikował w połowie 2025 r. dane dotyczące skali przemocy politycznej w Niemczech. Pokazują one, że liczba ataków na polityków w tym kraju wyraźnie wzrosła w porównaniu z analogicznym okresem roku 2024, a najczęstszymi ich ofiarami byli przedstawiciele AfD (68 ataków), przy czym większość sprawców miała powiązania z lewicowym ekstremizmem (w aż 64 przypadkach). Prawicowym ekstremistom przypisano łącznie sześć aktów agresji politycznej. Tymczasem to właśnie antyimigrancka AfD jest nazywana w Niemczech „partią ekstremistyczną", „faszystowską", poddawana inwigilacji i nieustannie deprecjonowana w oczach potencjalnych wyborców jako rzekome zagrożenie dla demokracji.

Zabójstwo Quentina Deranque'a zostało określone przez premier Włoch Giorgię Meloni jako „rana zadana całej Europie". Jeśli w naszym kręgu cywilizacyjnym można zginąć za głoszenie określonych poglądów, jak to było w przypadku Charlesa Kirka w USA, lub stając w obronie próbujących dojść do głosu w debacie publicznej kobiet, to znak, że nasz system polityczny i społeczny uległ rozkładowi. Tu nie chodzi bowiem tylko o spór między lewicą a prawicą, ale o konflikt między tymi, którzy różnice chcą wyjaśniać w debacie, a tymi, którzy uważają, że mają prawo uciekać się do fizycznej siły czy wręcz eliminacji oponenta. Nie zabijają cię dlatego, że jesteś faszystą, lecz nazywają cię faszystą, żeby móc cię zabić.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ca87f60a9b



Wiele wskazuje na to, że Alaksandr Łukaszenka próbuje się ułożyć z Zachodem FOT. RAMIL SITDIKOV/POOL/EPA/PAP

Gra z Mińskiem warta mszy

Maciej Pieczyński

Atak hybrydowy na granicę został odparty, Poczobut wyszedł na wolność, a poza tym porozumienia z Łukaszenką szuka sam Trump. Dawno Warszawa nie miała tylu sensownych argumentów do dialogu z władzami białoruskimi. Dialogu, który niekoniecznie musi być resetem

Od 2020 r. między Polską a Białorusią trwał niemal nieprzerwany konflikt. Najpierw Alaksandr Łukaszenka sfałszował wybory prezydenckie. Potem Warszawa poparła masowe protesty białoruskiej opozycji. Następnie Mińsk sztucznie wywołał kryzys migracyjny na granicy z Polską, przypuszczając de facto atak hybrydowy na wschodnią flankę NATO. Może w porozumieniu z Moskwą, a może wprost przeciwnie – aby uwikłać się w lokalną awanturę i tym sposobem uniknąć udziału w awanturze globalnej, czyli w szykowanej przez Władimira Putina inwazji na Ukrainę. Relacje pogarszał fakt, że w białoruskich więzieniach (za propolską, ale też opozycyjną działalność) siedzieli przedstawiciele mniejszości polskiej. Na czele z Andrzejem Poczobutem.

Prawie sześć lat po wybuchu pełzającej hybrydowej wojny polsko-białoruskiej na nieodległym horyzoncie pojawił się pokój. A przynajmniej rozejm. Kryzys migracyjny najprawdopodobniej dobiegł końca. W pierwszym kwartale 2026 r. nikomu nie udało się przekroczyć polskiej granicy od strony Białorusi. Tę informację triumfalnie ogłosił sam Donald Tusk. Dla porównania: przez cały rok 2025 nielegalni migranci podjęli 20 tys. prób przedostania się do Polski tą drogą. Z tego 1,7 tys. prób skutecznych. Są dwie możliwości. Albo Polska sama się obroniła, albo Łukaszenka zmienił politykę w ramach gry z Donaldem Trumpem.

GEST POD ADRESEM POLSKI

Całkiem możliwe, że prezydent Białorusi świadomie wstrzymał presję migracyjną, wykonując tym samym pod adresem Polski gest, który można streścić następująco: „Jak widzicie, na granicy może być spokojnie. To teraz czekam na wasz ruch. A jak się nie doczekam, to znów zaatakuję". Jak było i jest naprawdę, nie wiadomo. Ale też jedna opcja nie wyklucza drugiej. To, że granica jest coraz bardziej szczelna, to fakt. Próby zbliżenia Łukaszenki z Zachodem (w tym z Polską) również są faktem. Być może więc „ostatni dyktator Europy", widząc, że nie jest w stanie uderzać w Polskę tak mocno jak wcześniej, swoją niemoc sprzedaje jako gest pod adresem Warszawy.

Najbardziej spektakularnym aktem dobrej woli Mińska jednak było oczywiście uwolnienie Andrzeja Poczobuta. Przy czym rzecz jasna trzeba pamiętać, że był to element szerszej operacji wymiany więźniów. Symptomatyczne, że Poczobut został wymieniony za rosyjskiego archeologa Aleksandra Butiagina. Z jednej strony, Warszawa w ten sposób zagrała na nosie Kijowa. Z drugiej strony, „waluta", jaką zapłaciliśmy za Poczobuta, pokazuje, że uwolnienie polskiego dziennikarza nie było przełomem w relacjach z Białorusią, tylko częścią gry również z Rosją. A jednak tę grę udało się wygrać.

Nie można też zapominać o niejednoznacznej postawie Łukaszenki wobec wojny na Ukrainie. Dyktator Białorusi udostępnił Rosjanom terytorium, swoich wojsk jednak na front nie wysłał. Prawdopodobnie sondował możliwość ucieczki do Polski na wypadek pogorszenia relacji z Putinem. Wreszcie ostrzegał Warszawę przed nadlatującymi rosyjskimi dronami. Szukał więc kontaktu z Polską na długo przed ociepleniem relacji z Waszyngtonem.

Trump po powrocie do Białego Domu na poważnie zajął się zbliżeniem z Mińskiem. Prezydent USA, nieskuteczny w zaprowadzaniu pokoju na Ukrainie, sprawnie sobie radzi w relacjach z Łukaszenką. Dzięki jego staraniom wolność zyskała spora grupa więźniów politycznych na Białorusi. Trump i Łukaszenka dążą obopólnie do korzystnego resetu. „Baćka" chce w ten sposób przełamać izolację w świecie zachodnim, powrócić na międzynarodowe salony, a także zyskać lewar w relacjach z Rosją.

Waszyngton zniósł jakiś czas temu sankcje na białoruskie nawozy potasowe. Nawet jeśli nie trafią one docelowo na rynek amerykański, to zwiększenie ich podaży na rynkach światowych wywoła spadek cen. A to o tyle istotne, że drogie nawozy stają się w USA poważnym problemem politycznym. Jednak zniesienie amerykańskich sankcji nie wystarczy. Nawozy muszą zostać wyeksportowane z Białorusi. Stąd naciski Trumpa na Litwę, aby udostępniła swój port w Kłajpedzie. Wilno prawdopodobnie już uległo. Teraz

eprasa.pl ca87f60a9b

zaś będzie namawiać do tego samego Warszawę. Premier Litwy, Inga Ruginienė, zapowiedziała, że porozmawia z Donaldem Tuskiem o wznowieniu kontaktów z Białorusią. Ekspert z Defence24, współpracownik NATO dr Aleksander Olech, w rozmowie z „Gazetą Wyborczą" kreśli ciekawy scenariusz resetu z Białorusią. Jego zdaniem Amerykanie oferują Polsce następujący układ: porozumienie z Mińskiem w zamian za całkowite i trwałe wygaszenie ataku hybrydowego. To zaś pozwoli również Warszawie skupić się bardziej na problemie wojny rosyjsko-ukraińskiej. Doktor Olech sugeruje przy tym, że Polska powinna wypracować własną koncepcję negocjacji z Mińskiem, zanim Trump i Łukaszenka dogadają się ze sobą ponad naszymi głowami.

Dialog z Mińskiem przestaje być tematem tabu. Również w tych środowiskach, które jeszcze niedawno stały w awangardzie konfrontacji z Łukaszenką. Były szef Agencji Wywiadu (w latach 2016–2022) płk Piotr Krawczyk w komentarzu na antenie Kanału Otwartego ujawnił niedawno sensacyjne kulisy rozmów z białoruskimi władzami i służbami. W marcu 2019 r. miał usłyszeć od szefa KGB, że Rosja szykuje prowokację, mającą na celu storpedowanie trwającego w tamtym czasie ocieplenia relacji Mińska z Zachodem. Pułkownik Krawczyk sugeruje, że protesty antyłukaszenkowskiej opozycji w 2020 r. były w pewnej mierze inspirowane i podsycane przez służby Kremla. Ważną rolę odegrał popularny telegramowy kanał NEXTA, nagłaśniając niejawne informacje ze służb o planowaniu zduszenia protestów. Były szef polskiego wywiadu przyznaje, że nie ma dowodów na agenturalne powiązania z Kremlem tego medium. Rosjanie mogli po prostu dezinformować NEXTĘ, żeby za jej nieświadomym pośrednictwem budować niepokój wśród Białorusinów. Krawczyk przypomniał, że w chwili wybuchu protestów Mińsk kupował jeszcze amerykańską ropę, tym samym gospodarczo uniezależniając się od Moskwy. W transporcie surowca przez Litwę na Białoruś pośredniczyła polska firma. Łukaszenka miał więc na horyzoncie wyraźne perspektywy robienia interesów z Zachodem. A trzeba pamiętać, że przetwórstwo ropy to bardzo istotna gałąź białoruskiej gospodarki. Ostatecznie, jak przekonuje płk Krawczyk, Rosjanie osiągnęli swój cel, podburzając Białorusinów i prowokując tym samym krwawą rozprawę z protestującymi, co doprowadziło do zerwania dialogu Łukaszenki z Zachodem. Były szef Agencji Wywiadu przypomniał też, że mimo napiętych relacji Łukaszenka uwalniał z więzień kolejnych polskich działaczy. Uwolniłby wcześniej również Poczobuta, który jednak nie chciał wrócić do Polski bez prawa powrotu na Białoruś. Zdaniem Krawczyka poparcie Warszawy dla opozycji, która deklarowała obalenie Łukaszenki, musiało wywołać reakcję, którą był atak na polską granicę.

Rewelacje byłego szefa wywiadu krytycznie skomentował były chargé d'affaires RP na Białorusi Witold Jurasz. W podcaście „Raport Międzynarodowy" przypomniał, że w czasie, gdy Krawczyk stał na czele AW, całe polskie państwo było zaangażowane w pomaganie białoruskiej opozycji. Jurasz nie kwestionuje kremlowskich powiązań przeciwników Łukaszenki, na które sam wskazywał w 2020 r. Dziwi się jednak ewolucji poglądów Krawczyka i daje do zrozumienia, że jego wypowiedź wpisuje się w kampanię na rzecz oswojenia polskiej opinii publicznej z perspektywą resetu z Białorusią. Stąd oskarżenia pod adresem antyłukaszenkowskiej opozycji o związki z Kremlem – łatka „ruskiej onucy" (niezależnie, na ile słuszna) zawsze działa.

DLA POLAKÓW NA BIAŁORUSI

Sami Białorusini również zachęcają Polskę do dialogu. „Dałbym naszym polskim sąsiadom czas, by się wykazać. Mamy bardzo wiele zadań i możliwości. Jeśli uda nam się wypracować wzajemne mechanizmy transportowo-logistyczne, to na tym wygrają obie strony. Jeśli znajdziemy rozwiązania pewnych handlowo-gospodarczych kwestii, w tym współpracy przygranicznej (kolej nie działa, samoloty nie latają, część przejść granicznych jest zamknięta, kolejki są szalone), to oczywiście należy oczekiwać intensyfikacji kontaktów" – stwierdził jeszcze 10 maja na antenie państwowej telewizji Biełaruś 1 szef tamtejszej dyplomacji Maksim Ryżankou. Podkreślał też, że piłka jest po stronie Warszawy: „[Polacy] dużo mówili, że mają pewne warunki. Tak się złożyło, że wszystkie problemy na dziś zostały rozwiązane. Proszę bardzo, jesteśmy gotowi do przeprowadzenia konsultacji ze stroną polską na poziomie wiceministrów […]. Na początek musimy omówić pełen zakres relacji. Ktoś musi usiąść i dokonać dokładnej analizy sytuacji, ustalić, na jakim etapie jesteśmy dzisiaj ze stroną polską, w całym zakresie relacji. Myślę, że powinno się tym zająć Ministerstwo Spraw Zagranicznych" – dodał minister spraw zagranicznych Białorusi.

Relacje polsko-białoruskie to nie tylko gospodarka, nielegalni migranci i wsparcie (lub jego brak) dla antyłukaszenkowskiej opozycji. To również polityka historyczna, czyli sfera, w której Mińsk jest bardziej antypolski niż Kijów. Ukraińcy blokują ekshumacje, Białorusini – niszczą cmentarze żołnierzy Armii Krajowej, których w swojej propagandzie przedstawiają jako nazistów. Warto przypomnieć, że właśnie rzekoma gloryfikacja nazizmu (a dokładniej: polskiego podziemia niepodległościowego) stała się jedną z przyczyn zamykania w więzieniach działaczy polskiej mniejszości. Z drugiej strony, Łukaszenka bardziej jest pragmatykiem niż polonofobem. Bardziej niż sama polskość przeszkadza mu działalność opozycyjna. Dlatego Andżelika Borys po tym, jak zrezygnowała z walki z systemem i została lojalistką, otrzymała możliwość rozwijania nauczania języka polskiego w szkole Polonica Plus. Jej oddolna praca może mieć dla Polski więcej skutków pozytywnych niż skądinąd bohaterska postawa Andrzeja Poczobuta. Z punktu widzenia Warszawy bowiem ważniejsze, by Polacy na Białorusi uczyli się polskiego, niż żeby próbowali obalić rząd.

Nadzieje na wyrwanie Białorusi z objęć Rosji to mrzonki. Łukaszence mimo wszystko wygodniej jest w obozie autokratów niż w obozie demokratów. Jego wielowektorowa polityka zawsze służyła przede wszystkim lewarowaniu własnej pozycji względem Moskwy. Białoruś jest niemal w pełni zależna od Rosji. Łukaszenka nie jest w pełni suwerennym graczem, a także nie jest totalnie bezwolnym narzędziem Putina. Woli być dyktatorem w swoim (formalnie niezależnym) kraju niż gubernatorem jednego z rosyjskich obwodów. Dlatego warto z nim (byle ostrożnie) grać, starając się poszerzać (niewielki, ale jednak) zakres suwerenności Białorusi względem Rosji. Reset trwały nie będzie, ale dialog warto prowadzić. A przy okazji realizować własne interesy. Spokój na granicy i bezpieczeństwo Polaków na Białorusi warte są mszy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ca87f60a9b

Szczyty wandalizmu



Osiemnastoletni Maël Le Lagadec wniósł na najwyższy szczyt Pirenejów 35-kilogramowy krzyż

FOT. INSTAGRAM.COM/MAEL_LGDC



Radosław Wojtas

W imię walki z religią wandale wnoszą na alpejskie i pirenejskie szczyty szlifierki kątowe, by ciąć stojące tam od dekad krucyfiksy. Gdy z najwyższej góry Pirenejów zrzucono w przepaść stary krzyż, 18-letni Francuz wniósł na własnych plecach nowy, wykonany własnoręcznie

Raki, czekan, kask i kijki trekkingowe są niezbędne na lodowcu. Wychodź wcześnie (najlepiej przed 6 rano), aby uniknąć miękkiego śniegu i burz, które często występują po południu. To kilka z garści porad, które serwuje Internet odnośnie do Pico de Aneto – najwyższego szczytu Pirenejów. Osiemnastoletni Maël Le Lagadec wyruszył na szczyt w nocy, w towarzystwie swojego przyjaciela. Na plecach niósł 35-kilogramowy krzyż.

Wejście na wierzchołek góry, znajdujący się na poziomie 3404 m n.p.m., zajęło mu kilkanaście godzin. Wcześniej poświęcił pewnie jeszcze więcej na wykonanie krzyża z czarnego orzecha. Ustawił go w miejscu aluminiowego krucyfiksu, który górował nad Pirenejami od lat.

Aluminiowy krzyż na szczycie Pico de Aneto ustawili w 1951 r. członkowie katalońskiego stowarzyszenia wspinaczkowego. Konstrukcja, ważąca ok. 100 kg, przez ponad siedem dekad opierała się wiatrom, zamieciom i uderzeniom piorunów. Zdemontowano ją tylko raz, aby naprawić uszkodzenia spowodowane silnym naporem lodu. Lokalny kowal wykonał niezbędne prace i pod koniec sierpnia 2025 r. krucyfiks wrócił na swoje miejsce, transportowany na górę z użyciem śmigłowca.

Czego nie dokonała natura, zrobił człowiek. W kwietniu 2026 r. zauważono zniknięcie symbolu z Pico de Aneto. Ustalono, że aktu wandalizmu i profanacji dokonano między 8 a 15 kwietnia. Do dziś nie znaleziono sprawców, ale wiadomo, że zadali sobie sporo trudu. Trzymetrowy krucyfiks ścięto za pomocą szlifierki kątowej u samej podstawy i zrzucono w przepaść.

Jeśli sprawcom dewastacji zależało na usunięciu symbolu wiary, to osiągnęli efekt odwrotny do zamierzonego. Wyczyn 18-letniego Francuza, praktykanta ogrodnictwa z Montauban, zaczęto nazywać aktem zadośćuczynienia, nadziei i wierności. Opisywały go media na całym świecie.

KOMU WADZI KRZYŻ

Starannie zaplanowane, wymagające dużej fatygi akty dewastacji krzyży w górach już wcześniej się zdarzały. Krzyż na niewysokim, ale malowniczym Pic Saint-Loup (658 m n.p.m.), dominującym nad panoramą francuskiego miasta Montpellier, widoczny był z odległości kilkudziesięciu kilometrów. Żelazny krucyfiks mierzył 9,5 m wysokości i ważył ponad 900 kg. W nocy z 9 na 10 maja 2020 r. niezidentyfikowani sprawcy przy użyciu palników i sprzętu do cięcia przepalili go u samej podstawy. Konstrukcja nie spadła całkowicie, lecz pochyliła się i zwisała nad

eprasa.pl ca87f60a9b

300-metrową pionową przepaścią. Na skałach sprawcy wymalowali sprayem napisy, które nie pozostawiały złudzeń co do ich intencji: „Pic Laïque" (Laicki Szczyt) oraz „Witch Power" (Siła Wiedźm). Miejscowe samorządy zadziałały sprawnie – 17 lipca 2020 r. na Pic Saint-Loup ponownie stanął krzyż.

Mimo że hiszpańscy samorządowcy zapowiedzieli szybką naprawę zniszczonego krzyża na Pico del Cielo (1508 m n.p.m.) na Costa del Sol, to mieszkańcy nie chcieli czekać ani chwili. Może dlatego że osoby, które zdewastowały krucyfiks, wybrały bardzo symboliczną datę – Wigilię Bożego Narodzenia 2025 r. Już 10 dni po wyrwaniu z cokołu i obaleniu konstrukcji przeprowadzono oddolną ekspedycję. Grupa licząca 35 ochotników krok po kroku wnosiła nie tylko narzędzia i niezbędne metalowe złącza, lecz także ciężkie worki z cementem, piasek i wodę potrzebną do urobienia w warunkach wysokogórskich nowego fundamentu pod strącony symbol. Liderzy wyprawy mówili w wywiadach, że krzyż został podniesiony z czystego „szacunku i pasji" do starszych pokoleń (które ten symbol wzniosły) oraz dumy – pragnęli „odzyskać ów wizerunek jako integralny symbol Pico del Cielo".

W 2016 r. w bawarskich Alpach nieznany sprawca (lub sprawcy), nazywany w niemieckich mediach „Gipfelkreuz-Hackerem", rozpoczął metodyczną kampanię dechrystianizacji lokalnych gór. W maju 2016 r. ścięto krzyż na szczycie Dudl-Alm, a w lipcu powalono drewnianą instalację na górze Prinzkopf.

Kulminacja nastąpiła w sierpniu 2016 r. na szczycie góry Schafreuter (2102 m n.p.m.). Liczący ponad 2,8 metra wysokości i ważący 250 kg drewniany krzyż szczytowy został odnaleziony rano przez turystów głęboko nacięty i chwiejący się niebezpiecznie, co wymusiło jego całkowite powalenie ze względów bezpieczeństwa. Według doniesień z lokalnej prasy i relacji pracowników alpejskich schronisk osoba zidentyfikowana jako prawdopodobny sprawca „działała w amoku jak dzikie zwierzę". Zastępca komendanta policji w Bad Tölz, Josef Mayr, ocenił, że za tymi czynami stoi fundamentalna wrogość wobec symboli chrześcijańskich. Co więcej, po tym, jak Niemiecki Związek Alpejski podjął trud wzniesienia nowego krzyża na Schafreuter na początku października, już pod koniec tego samego miesiąca padł on ofiarą ponownego aktu wandalizmu z użyciem piły.

ZNAK TRIUMFU

Krzyżom na szczytach gór bardziej niż wandale zagraża dziś laicyzacja Europy. O ich obecności w górskim krajobrazie zdecyduje rozstrzygnięcie toczącej się debaty na temat tego, czy w tej przestrzeni jest miejsce dla symboli religijnych. Argumenty przeciw krucyfiksom na szczytach nie kończą się na kwestiach światopoglądowych. Niektórzy podnoszą także motywy ekologiczne i krajobrazowe.

Reinhold Messner, bodaj najsłynniejszy himalaista i ekstremalny alpinista na świecie, w wywiadach dla niemieckiej prasy, odnosząc się do fali niszczenia krzyży, przedstawił zniuansowany, aczkolwiek radykalny pogląd. Z jednej strony zdecydowanie potępił on niszczenie historycznych krzyży i wandali (nazywając ich działania niemal „aktem terrorystycznym"), uznając, że stare krzyże są nieusuwalnym elementem tożsamości i kultury alpejskiej. Z drugiej strony otwarcie poparł wstrzymanie ich budowy. W opinii Messnera góry same w sobie reprezentują wzniosłość i naturalną potęgę, „należą do całej ludzkości", a zatem nie wymagają żadnych dodatkowych, rzemieślniczych „znaków na coś nadprzyrodzonego".

Niezidentyfikowani sprawcy przy użyciu palników i sprzętu do cięcia przepalili krzyż u samej podstawy

Krzyże ustawiane na niedostępnych szczytach są dziś chyba nawet bardziej elementem dziedzictwa kulturowego niż symbolem religijnym. Kiedy powstawały pierwsze z nich, góry nie kojarzyły się ludziom jak dziś – z miejscem wypoczynku i rekreacji – były barierą komunikacyjną, ale też przestrzenią grozy i strefą sacrum zarazem. Krzyże, ustawiane na coraz wyższych wzniesieniach, miały kilka funkcji. Oprócz nawigacyjnych czy granicznych także ochronne. Miały zabezpieczać alpejskie wsie położone w dolinach przed gwałtownymi burzami, piorunami, gradobiciem oraz lawinami.

Kiedy w 1492 r. ludzka stopa stanęła na szczycie Mont Aiguille (2086,7 m n.p.m.) we francuskich Prealpach, górze uważanej wcześniej za nie do zdobycia, ekspedycja ustawiła na krawędziach rozległego płaskowyżu szczytowego aż trzy krzyże. Krzyż w górach przestał być jedynie znakiem na szlaku, a stał się symbolem triumfu ludzkiego ducha i woli nad potęgą i niedostępnością natury. A gdy rewolucja francuska oraz prądy oświecenia przyniosły falę desakralizacji przestrzeni publicznej, niedostępne szczyty jawiły się jako ostoje tradycji. Wspomniany już tutaj Reinhold Messner wskazuje, że chłopi z Tyrolu stawiali krzyże jako wyraźny symbol oporu przeciwko oświeceniu.

GIEWONT I TARNICA BEZ KRZYŻY?

Najważniejszy dla Polaków górski krzyż stanął na Giewoncie (1895 m n.p.m.) z inicjatywy zakopiańskiego proboszcza ks. Kazimierza Kaszelewskiego na pamiątkę 1900. rocznicy urodzin Chrystusa. Same żelazne elementy krucyfiksu ważą prawie dwie tony. Na własnych barkach wnosili je na górę parafianie z Zakopanego. Gdy w 1975 r. dokonywano renowacji krzyża, młodzież pod nadzorem księdza proboszcza Władysława Curzydły wyniosła z Hali Kondratowej na szczyt Wielkiego Giewontu 1200 kg piasku, 200 kg cementu oraz wodę do betonu.

Krzyż na najwyższym szczycie w polskiej części Bieszczadów ustawiono w roku 2000 w miejscu, w którym na początku lat 80. stanął krzyż wniesiony na górę potajemnie przez przemyskich kleryków. Jego elementy także znalazły się na Tarnicy (1346 m n.p.m.) dzięki wysiłkowi pielgrzymów.

Co jakiś czas powracają głosy, by oba krzyże – a zwłaszcza ten na Giewoncie – zdemontować. „Krzyż nadal zabija! Usunąć z Giewontu!"– napisał po jednym z tragicznych wypadków uderzenia pioruna prof. Jan Hartman. Reakcja władz Zakopanego była zdecydowana. Hartmanowi odpowiedział też inny profesor – ks. Paweł Bortkiewicz. – Jeżeli ktoś chce się przekonać, jaka będzie siła tego oporu, zwłaszcza ze strony górali, to niech próbuje podnieść rękę na krzyż – powiedział na antenie Radia Maryja.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ca87f60a9b



FOT. TRAVEL WITH SHRAWAN / FACEBOOK

NA WYBIEGU

Dwóch obywateli USA zostało aresztowanych po incydencie w zoo w Ichigawie. Jeden z mężczyzn przeskoczył ogrodzenie i wszedł do wybiegu makaków, wśród których była słynna małpa Punch, podczas gdy drugi nagrywał całe zdarzenie. Na wideo widać, że intruz był przebrany w kostium – ponoć promujący kryptowalutę – i niósł pluszową zabawkę. Zoo poinformowało, że żadne zwierzę nie ucierpiało, a pracownicy szybko wyprowadzili mężczyznę z wybiegu.

MOTYW CZOŁGU

Prezes Starbucks Korea został zwolniony po kampanii reklamowej „Dzień Czołgu". Wywołała ona oburzenie w Korei Południowej. Chodzi o promocję kubków „Seria Czołg", która ruszyła w 46. rocznicę masakry w Gwangju. Wówczas dyktatura wojskowa wysłała czołgi przeciw demonstrantom. Teraz użycie słowa „czołg" wiele osób uznało za nawiązanie do tej tragedii. Po fali krytyki kampanii i wezwaniach do bojkotu Starbucks Korea firma szybko wycofała kampanię i przeprosiła.

SKOK

Podczas pościgu policyjnego w stanie Wisconsin kierowca uciekający przed funkcjonariuszami wykonał spektakularny skok samochodem. Policja próbowała zatrzymać auto. Miała nakaz aresztowania jego kierowcy. Tymczasem samochód wpadł do rowu, wybił się na nasypie i przeleciał nad innym pojazdem, lądując w polu. Ścigany kierowca próbował jeszcze uciekać pieszo, lecz został zatrzymany przez policję za pomocą paralizatora.

NIETYPOWE ZGŁOSZENIA

Mieszkaniec Elkins (stan Wirginia Zachodnia) został aresztowany po serii telefonów, które wykonał na numer alarmowy 911. Trzydziestotrzyletni mężczyzna zgłaszał obecność zombie, duchów i UFO wokół swojego domu. Z kolei po przybyciu na miejsce czterech zastępców szeryfa podawał się za policjanta z Luizjany. W wyniku interwencji służb ustalono, że zgłoszenia były fałszywe, a mężczyzna podszywał się pod funkcjonariusza.

WĄŻ W KANALIZACJI

Do wstrząsającego incydentu doszło w ośrodku wypoczynkowym Salvador Benedicto na Filipinach. Po podniesieniu klapy sedesu goście hotelowi odkryli wyłaniającą się z muszli klozetowej kobrę królewską. To jadowity gad. Jak się okazało, wąż zaplątał się w rurę odpływową. Ostatecznie służbom udało się go stamtąd usunąć. Nikomu nic się nie stało. Prawdopodobnie z powodu upałów wąż szukał w kanalizacji chłodu. ©℗

Filip Memches



JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Europa traci miejsca pracy

Niemcy – niegdyś kraj z najsilniejszym rynkiem pracy w całej strefie euro – borykają się z coraz poważniejszymi problemami.

W dawnej „fabryce Europy", czyli państwie, w którym przez lata bezrobocie było tematem marginalnym, liczba osób bez pracy przekracza już 3 mln. To najwięcej od kilkunastu lat. Tymczasem kolejne firmy, zamiast nowych inwestycji, ogłaszają plany zwolnień. Niemieckie stowarzyszenie przemysłu motoryzacyjnego (VDA) ostrzega, że do 2035 r. branża straci kolejnych 125 tys. miejsc pracy (od 2019 r. łączna liczba zlikwidowanych etatów wyniesie wówczas 225 tys.).

Według Deutsche Welle główne przyczyny problemów to wysokie ceny energii, nadmierna biurokracja oraz malejąca konkurencyjność niemieckich produktów za granicą.

We Francji bezrobocie w pierwszym kwartale 2026 r. wzrosło do 8,1 proc. (to najgorszy wynik od czasów pandemii w 2021 r.). Wzrosła również liczba osób bez pracy w Wielkiej Brytanii. Według ubiegłotygodniowych danych stopa bezrobocia wzrosła do 5 proc., podczas gdy liczba wakatów spadła do najniższego poziomu od pięciu lat.

Także w Polsce w 2026 r. przybywa bezrobotnych. W marcu było ich o niemal 120 tys. więcej niż w tym samym miesiącu roku 2025. Stopa bezrobocia utrzymała się na poziomie 6,1 proc. i była najwyższa od maja 2021 r. Według najnowszych danych Ministerstwa Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej w kwietniu bezrobocie spadło do 6 proc., ale w urzędach pracy zarejestrowanych było o 133,1 tys. osób więcej niż w analogicznym okresie 2025 r. Jednocześnie fatalna sytuacja w Niemczech uderza też w pracujących za Odrą Polaków.

eprasa.pl ca87f60a9b



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

O czym wszyscy zgodnie milczą

Gołym okiem widać, że rządząca Polską koalicja Koalicji Obywatelskiej i jej przystawek, pod wodzą premiera Tuska, nie tylko nie ma żadnego pomysłu na zredukowanie, a tym bardziej na całkowite wyeliminowanie z polskich finansów ich pogłębiającego się deficytu, ale nawet nie zdradza chęci wejścia w posiadanie takiego pomysłu. Bo i po co! – zdaje się raz po raz sugerować swą radosną niefrasobliwość. I hoduje deficyt coraz większy, sięgający już nie ponad 6, a ponad 7 proc. PKB, a wkrótce może i ponad 8 proc. PKB?

Wszelako to, że pomysłu na uratowanie Polski przed bankructwem nie ma ekipa Tuska, która z braku pomysłów na rządzenie Polską, którą lubi rządzić, już dawno temu uczyniła swój znak firmowy, nie dziwi ani trochę. Natomiast to, że także PiS, który dla odmiany na wszystko i zawsze ma tuzin recept i wszystko zawsze wie najlepiej, ani razu do tej pory nie zgłosił w tej sprawie ani jednego pomysłu, to rzecz mocno zastanawiająca. Zaciekawia zwłaszcza brak pomysłów na uporanie się z katastrofą finansów Polski ze strony byłego premiera Morawieckiego, który nigdy nie kryje, że zawsze wie, jak zaradzić każdemu złu – zwłaszcza spowodowanemu przez politycznych konkurentów. A tu ani jednego wpisu na X czy na FB, jak się uporać z ową nie lada dziurą – największą w calutkiej UE – która pożera kasę naszego państwa. Bo legendarne „zmniejszenie luki VAT" naprawdę tym razem już nie wystarczy.

Ba, w sprawie owego zatrważającego deficytu zapanowało wyjątkowo zgodne milczenie wszystkich polityków. Oprócz tych z partii rządzących – KO, PSL, pozostałości po partii Hołowni i wszystkich lewic oraz głównej partii opozycyjnej, czyli PiS, zgodnie przecież milczą na ten temat – deficytu finansów publicznych i długu publicznego, który właśnie przebija konstytucyjny limit na poziomie 60 proc. PKB – także politycy opozycyjnych partii wolnorynkowych, czyli Konfederacji i Korony, od czasu do czasu poprzestając na rytualnym pohukiwaniu, że wysoki deficyt jest bardzo szkodliwy i należy go zmniejszyć. Ale… jak go zmniejszyć? Jak zredukować wysokość deficytu finansów publicznych, a najlepiej – w ogóle go wyeliminować? I jak zmniejszyć wysokość długu Polski? Czyli – jak wyeliminować ryzyko bankructwa Polski?

A o tym to już wszyscy milczą wyjątkowo zgodnie. W końcu po co mieliby narażać się wyborcom i wskazywać, które wydatki należałoby w pierwszej, a które w drugiej kolejności zmniejszyć, które zaś po prostu od razu i raz na zawsze zlikwidować oraz/lub które podatki podnieść albo/i jakie nowe wprowadzić?

I „dzięki" temu milczeniu – w milczeniu – wszyscy pędzimy w stronę ściany, o którą się wkrótce rozbijemy. ©℗



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

PiS strzela sobie w stopę

Jak wiadomo, nawet najbardziej żywotna kwestia strategiczna może się w Polsce stać przedmiotem karczemnej nawalanki między dwoma obozami politycznymi. Tak się również stało z opóźnieniem (jeśli wierzyć oficjalnym amerykańskim komunikatom – to właśnie opóźnienie, a nie odwołanie) rozmieszczenia amerykańskiej brygady w naszym kraju w ramach stałej rotacji. Obóz PiS grzmi, że wydarzyło się to z powodu obraźliwych wypowiedzi przedstawicieli obecnej władzy wobec prezydenta Trumpa czy też mało entuzjastycznych deklaracji, dotyczących ściągnięcia do Polski amerykańskich wojsk.

Przez moment załóżmy, że to prawda. Gdyby tak było i gdyby faktycznie amerykańska administracja podejmowała decyzję o strategicznym znaczeniu na podstawie tego, czy dany polityk odezwał się na temat amerykańskiego prezydenta bardziej lub mniej przyjemnie, nie wystawiałoby to najlepszego świadectwa Donaldowi Trumpowi. Ba, paradoksalnie takie sugestie wspierają narrację Donalda Tuska, mówiącego o tym, że Amerykanie przestali być wiarygodnym partnerem. Co więcej, pojawia się pytanie, dlaczego dla Trumpa decydujące miałyby się stać wypowiedzi Tuska, ale już nie nacisk ze strony podobno mającego z nim znakomite relacje prezydenta Nawrockiego albo również dobrze sobie radzącego w kontaktach z USA wicepremiera Władysława Kosiniaka-Kamysza.

W sumie zatem wyjaśnienia poczynań naszego sojusznika, które stara się sprzedawać publice obóz PiS, są paradoksalnie skrajnie niekorzystne dla forsowanej przez ten obóz linii całkowitego uzależnienia od Ameryki. To klasyczny przypadek strzelania sobie w stopę. Niestety, nie można wykluczyć, że PiS ma rację. A wtedy mamy bardzo poważny problem. ©℗

eprasa.pl ca87f60a9b

Wjazd smoka



Już co ósmy sprzedawany w Polsce nowy samochód jest chińskiej marki. W ubiegłym tygodniu premierę w Polsce miał nowy, siedmioosobowy SUV MG S9 FOT. JAP



Jacek Przybylski

Polski rynek motoryzacyjny z roku na rok dynamicznie przyspiesza. Jednocześnie staje się dużo bardziej konkurencyjny. Tylko w maju odbyło się kilka głośnych premier. Dane z salonów pokazują zaś spadek średnich cen. Widać też wyraźnie, że o polskich kierowców coraz skuteczniej walczą chińskie marki. Nad Wisłą jest ich już ponad 20

Według danych Centralnej Ewidencji Pojazdów i Kierowców w kwietniu 2026 r. zarejestrowano w Polsce 57,87 tys. nowych aut osobowych i dostawczych do 3,5 t. To o 10,23 proc. więcej niż w tym samym miesiącu ubiegłego roku. Spojrzenie na statystyki od stycznia do końca kwietnia również pokazuje, że polski rynek dynamicznie się rozwija. Liczba rejestracji w tym okresie wzrosła o niemal 8 proc. (w porównaniu z tym samym czasem 2025 r.) do ponad 227,6 tys. egzemplarzy. A eksperci IBRM Samar prognozują, że w całym 2026 r. liczba samochodów osobowych wyniesie ok. 635 tys. egzemplarzy.

PRZYBYWA „ELEKTRYKÓW"

Na rynku widać kilka ważnych trendów. Po pierwsze: wzrostom sprzedaży nowych samochodów towarzyszy słabnący import aut używanych (trend ten trwa od połowy ubiegłego roku).

Po drugie, w rekordowym tempie przybywa aut elektrycznych (ich sprzedaż w ujęciu bezwzględnym była w kwietniu wyjątkowo wysoka). Pierwszy raz liczba rejestracji e-aut przekroczyła poziom 2,6 tys. egzemplarzy w ciągu jednego miesiąca. I chociaż tempo wzrostu ich sprzedaży jest wyraźnie niższe, niż chcieliby tego politycy, a hybrydy nadal dominują, to wreszcie zainteresowanie e-autami nie wynika z państwowych dotacji. Infrastruktura ładowania jest już coraz lepsza. Szybko rozwija się również technologia, dzięki czemu udaje się powoli zmniejszać główne wady samochodów elektrycznych. Rośnie więc zasięg, a jednocześnie zmniejsza się czas potrzebny na naładowanie samochodu na szybkich, publicznych ładowarkach.

Volvo EX60, czyli elektryczny SUV, który miał polską premierę 7 maja, oferuje zasięg wynoszący aż 810 km (WLTP). Według zapewnień producenta – tego modelu jeszcze nie testowaliśmy – możliwe powinno być zatem przejechanie na jednym ładowaniu z Krakowa do Gdyni lub z Wrocławia do Suwałk! Dzięki architekturze 800 V model EX60 może zaś odzyskać energię pozwalającą na przejechanie ok. 340 km w zaledwie 10 minut (przy szybkiej ładowarce z prądem stałym). Cena EX60 zaczyna się od 281,9 tys. zł.

BYD jeszcze w tym roku planuje bowiem wprowadzić technologie FLASH Charging oraz Blade Battery 2.0 (pozwala na ładowanie akumulatora od 10 do 70 proc. w ok. 5 minut, a do 97 proc. w ok. 9 minut). Od maja w polskich salonach jest zaś dostępny Deepal S05 chińskiego koncernu Changan. Ma 485 km maksymalnego zasięgu, a uzupełnienie energii od 30 do 80 proc. trwa – według producenta – 15 minut i pozwala odzyskać ok. 240 km zasięgu (ładowanie od 5 proc. do 80 proc. ma zajmować ok. 26 min). Deepal S05 w najtańszej wersji kosztuje 169,9 tys. zł, a w najdroższej 187,9 tys. zł.

eprasa.pl ca87f60a9b



Szybko rośnie też sprzedaż samochodów elektrycznych. Volvo pokazało w maju model EX60 o zasięgu 810 km

FOT. JAP

Z kolei aspirujący do klasy premium – i zaprezentowany uroczyście w ubiegłym tygodniu – elektryczny SUV MGS6 ma maksymalny zasięg na poziomie 530 km (WLTP) i kosztuje w promocji 199,9 tys. zł (wersja Exclusive) lub 212,9 tys. zł (Exclusive z napędem AWD, który pozwala na sprint od zera do 100 km/h w 5,1 s).

W autach elektrycznych swą szansę na coraz bardziej konkurencyjnym europejskim rynku upatrują też tak wielkie koncerny jak Stellantis. Nie mają to być jednak SUV-y, w których coraz bardziej dominują Chińczycy, ale niewielkie auta, których cena ma nie przekraczać 15 tys. euro (czyli po ubiegłotygodniowym kursie ok. 64 tys. zł).

SZTURM CHIŃSKICH MAREK

Na polskim rynku wyraźnie widać jeszcze jeden trend: coraz większym zaufaniem nabywców nowych samochodów cieszą się marki z Chin. Koncerny z Państwa Smoka swą polityką cenową wywołały panikę wśród tradycyjnych konkurentów, którzy musieli zrezygnować z części sowitej marży. Według ekspertów IBRM Samar w pierwszych miesiącach 2026 r. widać zarówno spadek średniej ceny sprzedaży, jak i coraz większy wpływ chińskich marek na poziom cen.

Pierwszą piątkę najpopularniejszych producentów nadal tworzą jednak tradycyjne marki, takie jak Toyota (jej sprzedaż w okresie styczeń–kwiecień 2026 r. spadła o 3,6 proc. rok do roku), Škoda (wzrost sprzedaży o 15,7 proc.), Volkswagen (wzrost o 7,6 proc.), a także BMW (wzrost o 15 proc.) i Mercedes (wzrost o 2,7 proc.). Mimo licznych promocji czy przedłużonej wyprzedaży rocznika 2025 u tradycyjnych producentów udział chińskich marek w polskim rynku wyniósł w kwietniu 2026 r. aż 12,7 proc. Na razie w tym roku to rekordowy wynik. Szefowie marek z Państwa Środka dwoją się i troją, aby go jeszcze znacząco polepszyć.

Według danych IBRM Samar w ciągu pierwszych czterech miesięcy 2026 r. Polacy kupili w salonach ponad 23,5 tys. aut z Chin (to wzrost o 130 proc. rok do roku). To zaś oznacza, że już co ósme nowe auto kupowane w salonach nad Wisłą to marka chińska. Pierwszą piątkę w tej kategorii tworzą MG (wzrost sprzedaży od początku stycznia do końca kwietnia o 29 proc. rok do roku), Omoda (wzrost aż o 171,6 proc.), Chery (brak danych, bo zadebiutował w Polsce dopiero w połowie 2025 r.), BYD (wzrost sprzedaży o 240,2 proc.) i Jaecoo (wzrost o 27,2 proc.).

– Wzrost na poziomie ponad 240 proc. rok do roku jest oczywiście bardzo dynamiczny i naturalnie wraz ze skalą biznesu coraz trudniejszy do powtórzenia procentowo. Dla nas kluczowe jest jednak nie samo tempo wzrostu, ale jego trwałość i długofalowy charakter – tłumaczy „Do Rzeczy" country manager BYD i Denza Michał Bowsza. – Strategia BYD w Polsce opiera się dziś na kilku bardzo mocnych fundamentach. Pierwszym jest systematyczne rozszerzanie oferty produktowej w różnych segmentach rynku – zarówno w obszarze samochodów elektrycznych, jak i Super Hybryd DM. Drugim elementem jest rozwój Grupy BYD w kierunku segmentu premium i luksusowego. W 2026 r. ogłosiliśmy w Europie premierę marki Denza i dwóch pierwszych modeli w ofercie: Z9GT oraz D9 (siedmioosobowy MPV), która otwiera przed nami zupełnie nowy obszar rynku i pozwala odpowiadać na potrzeby klientów oczekujących najwyższego poziomu technologii, komfortu i designu – podkreśla Michał Bowsza. – Trzecim filarem są innowacje technologiczne – dodaje.



Omoda 5 była w kwietniu najchętniej kupowanym chińskim modelem w Polsce

FOT. JAP

Najpopularniejszym chińskim modelem była w kwietniu Omoda 5 (2719 sprzedanych egzemplarzy, wzrost rok do roku o 62,5 proc.), która w wersji hybrydowej kosztuje 116,5 tys. Wyprzedziła ona dotychczasowego lidera MG HS, którego cena zaczyna się od 125,9 tys. (2716 sztuk, wzrost sprzedaży r/r o 19,6 proc.). Statystyki pokazują też, że grupa Chery (ma w Polsce takie marki jak Chery, Omoda, Jaecoo czy Jetour) sprzedaje już mniej więcej tyle egzemplarzy, co grupa Renault (Renault, Dacia czy Alpine). Globalnym ambasadorem marki Chery został w ubiegłym tygodniu Robert Lewandowski. Wojciech Szczęsny wraz z żoną reklamują markę Omoda. Z kolei na ubiegłotygodniowej premierze MG pojawił się Mariusz Czerkawski, były gracz NHL i reprezentacji Polski w hokeju na lodzie. Podczas UEFA Euro 2024 Volkswagena w roli głównego sponsora zastąpił zaś BYD.

WYSYP DEBIUTÓW

Na 2026 r. koncern Chery zaplanował powiększenie oferty o takie modele jak Omoda 7 Super Hybrid, Jaecoo 8 Super Hybrid, Jaecoo 7 Hybrid oraz Jaecoo 5 Hybrid. Na przełomie roku nad Wisłą zadebiutować powinna Omoda 4. Z kolei Omoda 9 Super Hybrid w kwietniu osiągnęła wynik 471 rejestracji, zapewniając temu modelowi pozycję lidera całego rynku w kategorii hybryd PHEV (ładowanych z gniazdka). Drugie miejsce w tej kategorii w kwietniu zajął zaś Chery Tiggo 9. I to jest ten segment rynku, na którym brylują chińskie marki. BYD wprowadził na rynek modele

eprasa.pl ca87f60a9b



CS55 Plus to benzynowy model koncernu Changan Automobile, który w maju oficjalnie zaczął walkę o polskich klientów FOT. JAP

Atto 2 DM-i oraz Sealion 5 DM-i. A jeszcze w obecnym kwartale planuje premierę nowego modelu w segmencie B, również opartego na technologii Super Hybryd DM. W ubiegłym tygodniu główny konkurent marek koncernów Chery i BYD, czyli MG, pokazał MGS9, czyli siedmiomiejscowy SUV typu Plug-In Hybrid, który na jednym tankowaniu i ładowaniu może przejechać ponad tysiąc kilometrów. W podstawowej wersji auto to ma kosztować 172,9 tys. zł, a w wyższej wersji wyposażenia 181,9 tys. zł.

– Nowe SUV-y klasy D, które właśnie miały premierę w Polsce, nie trafią do sprzedaży wszędzie w Europie. Wprowadzamy je w Polsce, bo macie coraz lepszą infrastrukturę drogową, a Polacy lubią duże samochody. I myślę, że właśnie dopasowanie aut do wymagań i potrzeb tutejszego klienta to sekret naszych sukcesów na lokalnych rynkach – tłumaczył „Do Rzeczy" Elbert Guo, CEO MG Motor Poland, MG Central & Eastern Europe oraz MG Austria & Switzerland, podczas ubiegłotygodniowej premiery w zabytkowym podwarszawskim Pałacu Rozalin. – Polska jest bardzo ważna dla MG, ale jednocześnie to rynek coraz bardziej wymagający i konkurencyjny. Brytyjska marka MG i jej 100-letnie dziedzictwo budzą zaufanie w Europie. My nie dostarczamy samochodów, które są po prostu wyprodukowane w Chinach. Budujemy je w oparciu o europejskie wymagania, wykorzystując fakt, że nasi inżynierowie od 45 lat ściśle współpracowali z tutejszymi ekspertami – dodał Elbert Guo. Podkreślił przy tym, że głównym powodem tak dużego sukcesu MG nad Wisłą jest to, iż Polacy są otwarci na wypróbowanie nowych produktów.

Nie sposób opisać wszystkich planowanych nowości, bo w tym roku nad Wisłą ma się pojawić ok. 30 nowych „chińczyków". Samych marek jest zaś już ponad 20. Poza wymienionymi wyżej obecne są także: JAC, Bestune, Geely, Maxus, Dongfeng, Hongqi, Forthing czy Xpeng. W maju w Polsce pojawił się koncern Changan, który poza wspomnianym modelem Deepal S05 wprowadził do salonów modele Deepal S07 (za 204,9 tys. zł), a także dwa SUV-y z napędem benzynowym: CS75 Plus za 149,9 tys. zł i CS55 Plus za 129,9 tys. zł.

Dlaczego koncern Changan Automobile zdecydował się na debiut, w czasie gdy o polskiego klienta walczy już tak wielu chińskich producentów? – To wcale nie jest trudny moment na debiut w Polsce. Działając na największych rynkach motoryzacyjnych świata, przystosowaliśmy się już bowiem do zaciętej rywalizacji. W Chinach zajmujemy miejsce w pierwszej czwórce. I mimo bardzo ostrej konkurencji sprzedaliśmy w ubiegłym roku niemal 3 mln egzemplarzy naszych samochodów. Nie boimy się wejścia do Polski również z tego powodu, że jesteśmy jednym z największych producentów części. Możemy więc zaoferować polskim klientom jeszcze więcej niż inne chińskie marki: jeszcze lepsze technologie, dobrą jakość i rozsądną cenę – mówi „Do Rzeczy" Eyang Wang, podkreślając, że marka Changan działa od 45 lat, a w Europie jest obecna od ponad dwóch dekad. Firma Changan chwali się też, że sprzedała już na całym świecie ponad 30 mln samochodów. – Polska jest istotnym rynkiem w naszej strategii rozwoju. Dlatego chcemy szybko rozwijać się na tutejszym rynku i już w pierwszym roku działalności planujemy wejść do pierwszej czwórki chińskich marek obecnych nad Wisłą – dodaje.

Marki z Państwa Środka szybko rozwijają też strukturę dealerską i serwisową. Marka MG ma obecnie w Polsce 55 salonów, a do końca roku chce ich mieć 60. Rozszerzenie sieci sprzedaży planuje też Chery, który obecnie ma 56 punktów dealerskich. Koncern ten ma także Centrum Szkoleniowe OMODA JAECOO | CHERY | EXLANTIX w Warszawie (zaczyna tam działać m.in. laboratorium gwarancyjne) i duży magazyn części zamiennych w Duchnicach. Na ukończeniu jest również centralny magazyn części zamiennych w Polsce marki BYD, która ma obecnie 43 salony dealerskie i serwisowe. Równolegle BYD rozwija swoje zaplecze w Europie, zarówno w obszarze logistyki, jak i R&D.

POLSKI PRZYCZÓŁEK

Chery, największy chiński eksporter samochodów, który w 2025 r. eksportował jeden samochód co 23 sekundy, dopiero po osiągnięciu sukcesu w Polsce rozpoczyna próbę podbicia Niemiec. – Marka Omoda Jaecoo bardzo szybko zdobyła zaufanie polskich kierowców, podczas gdy na rynek niemiecki wchodzi dopiero teraz. Eksperci wskazują na to, że Polacy są bardziej otwarci na nowe marki i coraz częściej kierują się stosunkiem ceny do wyposażenia i niewątpliwie jakości, a nie wyłącznie historią producenta. Chińskie SUV-y przyciągnęły klientów nowoczesnym designem, wzorcowym wykończeniem, bogatym wyposażeniem, atrakcyjną ceną oraz długimi gwarancjami. W Niemczech sytuacja wygląda inaczej – tam konsumenci są silniej przywiązani do lokalnych marek premium i ostrożniej podchodzą do nowych producentów z Chin. Mimo to Omoda Jaecoo rozpoczęła już ekspansję również na tamtym rynku, wkraczając odważnie, tak jak to miało miejsce na naszym rodzimym rynku, z dużym powodzeniem – tłumaczy „Do Rzeczy" dyrektor sprzedaży Chery Polska Mateusz Kampa.

Do ekspansji szykuje się też koncern Xiaomi, znany w Polsce ze smartfonów, smartwatchy etc. – W 2027 r. wprowadzimy nasze samochody na rynek europejski – powiedział „Do Rzeczy" podczas targów MWC w Barcelonie dyrektor do spraw komunikacji i public relations Angus Kai Ho Ng. Nie chciał ujawniać szczegółów. Nieoficjalnie spekuluje się jednak, że już w przyszłym roku nad Wisłą pojawią się elektryczne SU7 czy YU7.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ca87f60a9b



Z Markiem Gróbarczykiem, posłem PiS, ministrem gospodarki morskiej i żeglugi śródlądowej w latach 2015–2020

rozmawia Tomasz Cukiernik

Niemiecka blokada Odry

TOMASZ CUKIERNIK: Jakie inwestycje hydrotechniczne na Odrze zostały skasowane za rządów Donalda Tuska?

MAREK GRÓBARCZYK: Szczegółowe informacje na ten temat znajdują się w ustawie o rewitalizacji rzeki Odry, która zawierała kompleksową listę wszystkich inwestycji hydrotechnicznych, a także sanitarnych związanych z całym dorzeczem Odry. To było 96 enumeratywnie wymienionych inwestycji. Cała ta ustawa została skasowana, zostawiono tylko dwie inwestycje dotyczące naturalizacji Odry. Inwestycje dotyczyły stopni wodnych, wszelkiego rodzaju zabudowy przeciwpowodziowej, przeciwsuszowej, regulacyjnej. Do tego dochodziły zbiorniki retencyjne, które miały być budowane wzdłuż Odry, i cały zakres działań inwestycyjnych wodno-kanalizacyjnych związanych z budową oczyszczalni ścieków, kanalizacji sanitarnych, wodociągów i inwestycje związane z modernizacją instalacji w obrębie kopalni czy też KGHM. Dodatkową kwestią pozostaje alimentacja wody, czyli funkcjonowanie korytarza transportowego w ramach możliwości zapewnienia odpowiedniej ilości wody. Problem dotyczy górnej części Odry, bo tam wstrzymano budowę stopni wodnych, a także zabudowy ostróg, czyli regulacyjnej.

W jaki sposób rozszerzenie Drawieńskiego Parku Narodowego na obszar Międzyodrza zablokuje rozwój Odrzańskiej Drogi Wodnej i Portu Szczecin–Świnoujście?

To wiąże się z tym, że tam znajduje się funkcjonujący trakt Odrzańskiej Drogi Wodnej, połączenie Świnoujścia de facto z Hawelą, a więc niemieckim systemem dróg śródlądowych. Tam mogą pływać największe barki i to jest główny powód tych zakusów ze strony Donalda Tuska, ponieważ park automatycznie hamuje jakiekolwiek możliwości inwestycyjne w dorzeczu Odry, utrzymaniowe i żeglugowe. To jest jedna wielka konfabulacja, jeśli minister Paulina Hennig-Kloska mówi, że park nie będzie miał wpływu. Rzeczywistość jest zupełnie inna. Decyzje w tym zakresie podejmuje nie minister, tylko dyrektor parku narodowego, i wszelkiego rodzaju oddziaływania negatywne w parku są priorytetowo eliminowane. Na przykład w Biebrzańskim Parku Narodowym była dopuszczona żegluga turystyczna, a decyzją dyrektora parku całkowicie ją zlikwidowano. Wprowadzenie parku narodowego całkowicie hamuje jakikolwiek rozwój gospodarczy. Park narodowy nie jest do tego, aby rozwijać gospodarkę, tylko po to, żeby chronić naturę. Na tym terenie to jest bezwzględny zamach na gospodarkę. To nie są tereny cenne przyrodniczo, a industrialne. Zawsze takimi były i mają ku temu bezwzględnie podstawy ekonomiczne oraz historyczne.

Jakie są niebezpieczeństwa związane z nadaniem Odrze osobowości prawnej?

To jest szatański pomysł. Rzeka będzie mogła być reprezentowana w sądzie. Grupy ekologiczne, które będą miały nadzór nad Odrą, będą mogły skarżyć, blokować, nakładać kary. Stworzono specjalną policję odrzańską, która będzie blokować inwestycje, które miałyby negatywny wpływ na Odrę. Co wpływa negatywnie na rzekę, może być w ich mniemaniu elementem sankcji karnych z tym związanych. To też wiąże się z potężnym uderzeniem w cały obszar industrialny, bo funkcjonowanie KGHM jest potężnie zagrożone, ponieważ kopalnie będą atakowane głównie ze względu na to, że są nieekologiczne. Przyszłe inwestycje będą musiały być uzgodnione z reprezentantami osoby prawnej. To bardzo przemyślane działanie, które raz na zawsze ukróca jakiekolwiek możliwości rozwojowe w obrębie Odry, tworząc po prostu, jak to mówiła Ula Zielińska, „błotniska, bagniska, bobrowiska".

Napisał pan w mediach społecznościowych, że „trwa zmasowany atak Niemiec na zniszczenie gospodarczego znaczenia Odry", czyli te wszystkie działania, o których przed chwilą rozmawialiśmy, idą w tym kierunku. W jaki sposób na tym zyskują Niemcy?

Kwintesencja wiąże się przede wszystkim z Portem Szczecin–Świnoujście, który jest jednym z największych konkurentów dla strony niemieckiej. Wiąże się to z budową terminala kontenerowego w Świnoujściu, który już został zablokowany przez rząd Tuska. W naturalny sposób przejąłby znaczną część przeładunków, bo stworzyłby bramę dla środkowoeuropejskiego korytarza transportowego, łącząc trzy media transportowe: S3, drogę kolejową, tzw. Nadodrzankę, i Odrzańską Drogę Wodną. Terminal kontenerowy miał przynosić do budżetu ok. 10 mld zł rocznie z tytułu podatków.

Generowany w ten sposób ruch statków byłby ogromnym zastrzykiem dla rozwoju portu, ale poprzez m.in. Odrzańską Drogę Wodną obsługiwałby też Brandenburgię, Saksonię, Meklemburgię-Pomorze Przednie, bo obszar wschodnich Niemiec najbliżej miałby do terminala w Świnoujściu. Jednocześnie rozwijałby się cały obszar związany z transportem masowym, a także branża logistyczno-spedycyjna. Już nie mówiąc o terminalach, suchych czy

eprasa.pl ca87f60a9b



mokrych, związanych chociażby z Odrą, czy połączeniach transportów multimodalnych w tym zakresie. Objęcie tego obszaru parkiem narodowym i nadanie Odrze osobowości prawnej oznacza zablokowanie rozwoju terminala kontenerowego i spowoduje, że ładunki zamiast przez Świnoujście będą transportowane poprzez port w Hamburgu lub Bremerhaven, tam pozostaną wszelkie cła i podatki. To jest główny cel strony niemieckiej. Nie ma się jej co dziwić, robi wszystko, żeby ograniczyć możliwości rozwojowe, a dzięki Tuskowi dobrze jej to idzie.

Co na to Bruksela, której powinno przecież zależeć na rozwoju wszystkich krajów członkowskich?

Bruksela z jednej strony opowiada się za transportem ekologicznym, brakiem śladów węglowych itp., gdzie żegluga śródlądowa jest najlepszym transportem ekologicznym. Ale w tym wypadku morfologia tej rzeki nie pozwala na jakąkolwiek inwestycję ze względu na zachowanie żywych organizmów, naturalnego jej charakteru itd., więc wszelkiego rodzaju inwestycje na Odrze są niedopuszczalne w ramach dotacji unijnych. Tusk nie wykonał żadnych działań, aby te fakty zmienić, wszystko to zostało zahamowane, a pieniądze nie trafią na te inwestycje. Mało tego, została zgłoszona skarga do Trybunału Sprawiedliwości UE w zakresie podwyższonych emisji ścieków właśnie z zakładów przemysłowych, głównie z KGHM i kopalń. To potęguje kierunek blokowania wszelkiego rodzaju inwestycji i wygaszania gospodarki na zachodniej granicy Polski wzdłuż Odry, która jest największą konkurencją dla strony niemieckiej.

Z drugiej strony w Niemczech Wschodnich nie ma inwestycji w tym zakresie, więc polska inwestycja przejęłaby ogromne wpływy w zakresie ekonomicznym. Jedynym sposobem na to jest szatańskie rozwiązanie w postaci parków, osobowości prawnych, wszelkiego rodzaju grup pseudoekologicznych, które mają za zadanie blokowanie inwestycji. Hennig-Kloska, próbując wprowadzić Park Narodowy Dolnej Odry, przede wszystkim skupiła się na budowie ośrodków edukacyjnych, gdzie miało być blisko 100 wysokopłatnych etatów i głównie chodziło o szkolenie świadomości ekologicznej. Ustawa nie wskazywała na żadne gatunki chronione, nie było żadnej inwentaryzacji przyrodniczej, były tylko pieniądze na ośrodki edukacyjne. To jest polityczny element bardzo szerokiej koncepcji hamowania inwestycji.

Mówi się o porcie w Kozlu, że mógłby się stać takim wodnym CPK. Czy zatem walka nie dotyczy samej Odry, a właśnie całego dorzecza, czyli ponad jednej trzeciej powierzchni Polski?

Oczywiście, że tak. W zasadzie brakuje tylko dwóch stopni wodnych, Lubiąż i Ścinawa, i ostróg na środkowej Odrze. To zapewniłoby swobodną żeglugę na Śląsk. Koźle stałoby się wtedy centrum dystrybucyjnym, takie próby były już wcześniej przeprowadzane. Próbowano transportować przede wszystkim nawozy sztuczne właśnie Odrą. Kuriozalne jest to, że dzisiaj trzeba tłumaczyć ludziom, że Odra to także medium transportowe, gdzie do lat 90. prowadzono na niespotykaną skalę żeglugę i to było oczywiste. Dzisiaj trzeba na nowo przekonywać, że Odra nadaje się do żeglugi. Ale faktycznie problem stanowiła ta alimentacja wody, jej brak.

I tutaj mamy kolejne działanie, które już się dawno zaczęło. Decyzja została podjęta przez wiceministra środowiska z PO Stanisława Gawłowskiego, bo zbiornik w Raciborzu miał być zbiornikiem mokrym, czyli wyłapywać wodę na wiosnę, a wypuszczać latem, kiedy są niskie poziomy, by w ten sposób utrzymywać odpowiedni poziom Odry i zapewnić żeglugę przez 280 dni w roku. Natomiast po jego wizycie w Brukseli, bodajże za pierwszego rządu Tuska, przywiózł decyzję, że zbiornik w Raciborzu ma być zbiornikiem suchym, co automatycznie eliminuje możliwość akumulacji wody w tym zakresie. Unia Europejska w zeszłej perspektywie przewidziała tylko możliwość suchych zbiorników przeciwpowodziowych.

Zablokowano możliwość budowy mokrych. A dzisiaj pilnie potrzebujemy mokrych zbiorników retencyjnych, które wyłapałyby wodę, która spływa z wiosennymi roztopami. Mamy maj i dramat wodny na Mazowszu oraz w Wielkopolsce. Chyba o to chodzi, żeby w Polsce cały czas był problem z wodą. Rozwiązanie jest bardzo proste, przygotowane i trzeba je tylko zrealizować. Niestety, kuriozalne względy ekologiczne nie pozwalają na to, żeby wprowadzić odpowiednią gospodarkę wodną w Polsce. Z jednej strony rolnikom i ludziom trzeba płacić za szkody powodziowe, które przynoszą potężne powodzie błyskawiczne, a potem trzeba płacić za szkody suszowe. Cały czas jest katastrofa budżetowa w tym zakresie, co można by zahamować, kontynuując odpowiednie inwestycje.

Doktor Grzegorz Chocian z Fundacji Eco Pro Bono otwarcie twierdzi, że za organizacjami ekologicznymi sprzeciwiającymi się inwestycjom w Polsce stoją niemieckie interesy.

Oczywiście, że tak. To są m.in. organizacje niemieckie, ale głównie organizacje międzynarodowe zarejestrowane w różnych krajach. Wielokrotnie dr Chocian udowadniał, że one są przez rząd niemiecki poprzez subwencje wspierane w działaniach. To oni głównie protestowali w kwestii rewitalizacji Odry. Wnosili skargi do polskich sądów. Polski sąd admini-

eprasa.pl ca87f60a9b



Odra na odcinku w Szczecinie
FOT. ADOBE STOCK

stracyjny nakazał rozbiórkę zabudowy regulacyjnej na Odrze. Do tego doszło, że jeden sędzia powiedział, iż nie wolno nic robić. Nakazał rozbiórkę już wybudowanych ostróg. To jest niewyobrażalne, co się dzieje w tym zakresie. To jest jeden z elementów bezwzględnej walki ze wszelkiego rodzaju inwestycjami wodnymi. Blokowanie wszystkiego, co się da, wstrzymywanie pozwoleń środowiskowych z tym związanych i wykorzystywanie instytucji unijnych, komisji PE, TSUE itp.

Byle tylko nie rozpoczęła się żadna budowa. Mamy w tym zakresie potężne doświadczenia. Była taka inwestycja na dolnej Odrze finansowana m.in. przez Bank Światowy, EBI i EBOR. Przeprowadzono próbę jej zablokowania. Jako rząd PiS dokończyliśmy te ostrogi tylko dzięki temu, że Bank Światowy nie uwierzył atakom organizacji ekoterrorystycznych i nie wstrzymał pieniędzy na realizację. Natomiast unijne banki EBOR i EBI wstrzymały pieniądze na finansowanie tego typu inwestycji. I to na podstawie donosu dwóch niemieckich europosłów.

Z jednej strony mamy nasze ostrogi kamienne, ekologiczne, bez żadnego betonu. A po niemieckiej stronie Odry mamy, jak to mówią, „straszące betony". Niemieckie ostrogi są betonowe i nie ma z tym żadnych problemów, nie ma uwag. Natomiast ostrogi po naszej stronie są blokowane, mimo że są to narzuty kamienne. Wyrok administracyjnego sądu polskiego mówi, że te narzuty kamienne niszczą morfologię dna Odry i należy je natychmiast rozebrać, co pokazuje, że jest to zorganizowane działanie i bardzo niebezpieczne w kontekście realizacji inwestycji w Polsce.

A jak rozwija się transport rzeczny po zachodniej stronie Odry?

Niemieccy politycy samorządowi bardzo liczą na to, że rozbudujemy Odrę i umożliwimy żeglugę, bo jest odgórny nakaz rządu federalnego, żeby blokować Odrę. Natomiast swego czasu mieliśmy spotkania chociażby z przedstawicielami Saksonii, którzy mówili, że Odra jest kluczowa dla ich rozwoju. Wszelkiego rodzaju nabrzeża są budowane lokalnie także z pieniędzy unijnych. A na Renie jest tak duży ruch, że tworzą się korki. Największym portem śródlądowym Europy jest niemiecki Duisburg, nie mówiąc o Łabie, Menie i pozostałych rzekach, które są kluczowe dla Niemiec. Ruch rzeczny w Niemczech to ok. 20–25 proc. ogólnego transportu. Bez żeglugi śródlądowej Niemcy nie będą w stanie funkcjonować. Poza tym Niemcy nie mają żadnych problemów z powodziami i suszą. Mają zapewnioną retencję w granicach 30 proc., czyli wszystkie inwestycje już wykonano, niczego już więcej się nie planuje. A u nas jesteśmy dopiero na początku drogi, musimy zbudować 306 zbiorników, ok. 40 tys. km łączników i kanałów, żeby stworzyć retencję na poziomie 20–25 proc.

Napisał pan, że port w Elblągu nie działa, w Gdyni port zewnętrzny wstrzymany, w Świnoujściu zlikwidowany terminal kontenerowy i spadki przeładunków, a w Szczecinie nabrzeża sprzedane Niemcom. Jak w rezultacie tych działań wygląda sytuacja z przeładunkami w portach morskich i jaki to ma wpływ na dochody budżetowe?

W okresie naszych rządów o ok. 140 proc. zostały podniesione przeładunki w portach, obejmowaliśmy władzę na poziomie sumarycznie 60 mln ton przeładunków; kiedy kończyliśmy rządzić, wielkość przeładunków w portach osiągnęła 146 mln ton, z czego największy element wpływu do budżetu to przeładunki kontenerowe, które wzrosły do ponad 2 mln TEU. To wiązało się z rozbudową portu w Gdańsku, czyli budową Baltic Hub, rozbudową nabrzeży w Porcie Gdynia. I to przyniosło podatki, cła, daniny, różnego rodzaju akcyzy itd. – 56 mld zł do budżetu państwa w skali roku, nie mówiąc o całym obszarze inwestycyjnym i rozwojowym, miejsca pracy itd. Baltic Hub został przez nas zabezpieczony, ponieważ pozyskaliśmy singapurskiego inwestora PSA, chociaż przy większościowym udziale Skarbu Państwa, bo PFR jest również współwłaścicielem tych terminali. Ale całkowicie inaczej wygląda sprawa w kontekście przeładunków masowych, przede wszystkim w obszarze agro, czyli produkcji rolno-spożywczej, rud metali, węgla i w masowych przewozach. Tutaj największe spadki notuje port w Świnoujściu. Zgodnie z danymi GUS od nowego roku przeładunki w tym zakresie spadły o 40 proc. W zeszłym roku przeładunki spadły o ok. 10 proc. we wszystkich portach. Te dane są zafałszowane, bo w tym czasie wzrósł transport ropy i gazu ziemnego, a te surowce nie mają w takim zakresie wpływu na przychody budżetowe.

Czy zgadza się pan z tezą, że rozwój Polski w kierunku, który mógłby zagrozić gospodarce niemieckiej, od razu jest blokowany, a Bruksela to wspiera?

Historycznie i z własnego doświadczenia mogę powiedzieć, że tak. W aktualnych warunkach – jako państwo Unii Europejskiej. Te porty są papierkiem lakmusowym. Kiedy w polskich portach rozpoczęły się spadki przeładunków, natychmiast zaczęły wzrastać przeładunki w Hamburgu. Widać bezwzględnie, że wzrost gospodarczy Polski jest powiązany z transportem. Mówimy o całym obszarze TSL, czyli transport, spedycja, logistyka. Ten obszar jest najbardziej podatny na oddziaływanie związane z polityką niemiecką i unijną. Wiąże się to z sytuacją społeczną i wywołuje antagonizmy. Dzisiaj jest to główny element blokady, jeśli chodzi o inwestycje w Polsce. Jest to bezwzględnie powiązane z Unią Europejską, która sama sobie przeczy. Z jednej strony Komisja Transportu Parlamentu Europejskiego twierdzi, że najbardziej ekologicznym transportem jest żegluga śródlądowa, a z drugiej strony Komisja Środowiska PE blokuje inwestycje na rzekach i ciekach wodnych. Takie przeciwstawne opinie pokazują, że to jest bardzo przemyślana i kompleksowa polityka dotycząca szerszego układu.

© Ⓟ Wszelkie prawa zastrzeżone



Marek Gróbarczyk *– inżynier, menedżer i polityk, poseł PiS, były minister gospodarki morskiej i żeglugi śródlądowej.*

eprasa.pl ca87f60a9b



JACEK KOMUDA

POCZET POLSKICH WODZÓW

Kto pamięta Dickmanna?

To polski admirał, co z Szwedem się bił – głosi popularna żeglarska pieśń. „Był wiek XVII, rok dwudziesty siódmy, listopadowy wiatr zimny wiał. Była niedziela i słońce wstawało, na »Świętym Jerzym« sygnałem był strzał…”. Niestety, o życiu i pochodzeniu admirała, który wygrał morską bitwę pod Oliwą, wiemy dziś o wiele mniej niż o samym zwycięstwie. Arend Dickmann, obywatel Republiki Zjednoczonych Prowincji, dziś powiedzielibyśmy Holender, jest postacią, która weszła do tradycji polskiej marynarki wojennej. Urodził się w Delft we Fryzji, w 1572 r., przez długi czas mieszkał w Dimarssen, gdzie trudnił się drobnym handlem. W wieku 16 lat rodzice wysłali go w podróż do Anglii, Hiszpanii i Włoch. Dopiero w 1608 r. przeniósł się do Gdańska, gdzie przyjął prawo miejskie i się ożenił. Trudnił się handlem. W 1621 r. został prowizorem z ramienia gildii szyprów. Rok później był już kapitanem własnego statku i pełnoprawnym kupcem.

W listopadzie 1626 r., kiedy król Zygmunt III Waza powołuje w Gdańsku Komisję Okrętów Królewskich zarządzającą tworzoną właśnie flotą, Dickmann pojawia się już jako kapitan. Chociaż w ataku na Puck na wiosnę 1627 r. polskimi okrętami dowodzi Ellert Appelmann, to wkrótce później Dickmann pojawia się jako dowodzący grupą okrętów patrolujących wybrzeże Bałtyku i zatrzymujących statki wiozące zaopatrzenie dla armii szwedzkiej. 17 maja pod Helem trzy okręty polskie i szkuta natykają się na 12 wrogich transportowców wojsk płynących do Piławy i przepędzają je. Następnego dnia trzy polskie jednostki napotykają w okolicach Łeby konwój



FOT. DOMENA PUBLICZNA

24 szwedzkich transportowców i zmuszają je do odwrotu. Jednak w trakcie powrotu okazuje się, że eskadra zostaje odcięta od Gdańska przez przeważające siły wroga liczące 18 okrętów. Pomimo dużej dysproporcji sił przebija się przez linie wroga, wchodząc do Wisłoujścia i Gdańska.

24 listopada, wobec przedłużającej się blokady ujścia Wisły, ale odejścia części okrętów wroga do Szwecji, Komisja podejmuje decyzję o wysłaniu do walki całości posiadanych sił i przełamaniu linii wroga siłą. Admirałem, czyli dowódcą tych sił, zostaje mianowany Arendt Dickmann. Pamiętajmy jednak, że wówczas była to jedynie funkcja nadawana na czas akcji wojskowej, a nie stały stopnień wojskowy, w rodzaju hetmana polnego czy wielkiego.

Dlaczego Dickmann niespodziewanie został wyznaczony na dowódcę floty polskiej rzuconej do akcji pod Oliwą? Z pozoru nominacja ta może zaskakiwać, pojawia się też pytanie, czy miał jakieś doświadczenie bojowe. Wszak we flocie polskiej było wielu bardziej doświadczonych oficerów.

Zacznijmy od wyjaśnienia kilku spraw. To, że Dickmann zajmował się wcześniej handlem jako kapitan własnego statku, nie oznaczało, że nie miał doświadczenia wojskowego. W XVII w. prowadzenie handlu w czasach bezustannych wojen pomiędzy europejskimi mocarstwami sprawiało, że każdy kapitan, który płynął z towarami, musiał się liczyć z próbą przejęcia ładunku lub statku siłą przez korsarzy lub piratów, a zatem zwykle znał się na walce morskiej. Oficjalnie zaś admirałem był mianowany wcześniej doświadczony oficer Wilhelm Appelmann, który jednak w chwili rozpoczęcia operacji przeciwko Szwedom był chory. Dickmann został zatem mianowany dowódcą w zastępstwie.

Bitwa pod Oliwą, zakończona zdobyciem okrętu wojennego „Tigern”, wcielonego później do floty polskiej jako „Tygrys”, oraz drugiego galeonu „Solena”, który jednak został wysadzony przez załogę, skończyła się zwycięstwem naszej floty. Niestety, tragicznym – Dickmann poległ od kuli wystrzelonej z jednego z uchodzących okrętów szwedzkich – prawdopodobnie z „Pelikanena” albo własnej – z „Latającego Jelenia”. W bitwie zginął także ciężko ranny admirał szwedzki Nils Stiernsköld.

Uroczysty pogrzeb Dickmanna miał miejsce 2 grudnia w Kościele Mariackim w Gdańsku. Kazanie wygłaszał protestancki minister Jan Jakub Cramon – pastor w Kościele św. Jana. Przed trumną prowadzono 33 pary szwedzkich jeńców, a trumnę z ciałem admirała umieszczono przy północnej ścianie prezbiterium, koło Kaplicy Ścięcia św. Jana. Dziś przypomina o tym płyta nagrobna, odsłonięta w 2007 r. Zwycięstwo pod Oliwą mocno zabolało Gustawa Adolfa. Na tyle, że rok później próbował zniszczyć flotę polską pod Latarnią. ©℗

eprasa.pl ca87f60a9b

CHERY TIGGO 9 PHEV



FOT. JAP

Siedem miejsc, napęd na cztery koła, 428 KM mocy, 580 Nm maksymalnego momentu obrotowego, przyspieszenie od zera do 100 km/h w 5,4 s, niezwykle komfortowe zawieszenie, hybrydowy napęd z możliwością przejechania wyłącznie na prądzie do 147 km oraz średnim spalaniem paliwa na poziomie ok. 7 l/100 km (już po rozładowaniu akumulatora). Uzupełnianie energii w całkiem sporej jak na hybrydę baterii (34,46 kWh) na szybkiej ładowarce zajmuje zaledwie kilkanaście minut.

Dynamiczny chiński flagowiec jest świetnie wyciszony, a zawieszenie ma tak komfortowo zestrojone, że praktycznie „płynie" nad przeszkodami. Irytuje z kolei to, że podczas gwałtownego manewrowania na ulicy lub parkingu zdarza się, że „nie wchodzi" bieg, czyli już wydaje nam się, że możemy cofać lub jechać do przodu, a okazuje się, że zamiast „D" albo „R" nadal na ekranie wyświetla się literka „N". Bardziej precyzyjny mógłby być też układ kierowniczy.

W kabinie ponaddwutonowego SUV-a o długości 481 cm, szerokości 192,5 cm i wysokości 174,1 cm jest wyjątkowo przestrzennie (nawet wysokim osobom nie powinno brakować miejsca ani nad głową, ani na nogi) i bardzo przytulnie. Na długiej liście standardowego wyposażenia znalazły się m.in. jasna tapicerka z naturalnej skóry, otwierany dach panoramiczny z wentylowanymi i podgrzewanymi fotelami z przodu wraz z funkcją masażu, wentylowana/podgrzewana tylna kanapa, przedni fotel, który można rozłożyć niczym w lotniczej klasie biznes (za pomocą elektrycznie regulowanego podnóżka), system kamer 540 stopni, wyświetlacz przezierny oraz system audio z 14 głośnikami. Do wykończenia użyto również miękkich materiałów. Również spasowaniu elementów nie można nic zarzucić. Bez żadnego problemu można też bezprzewodowo korzystać z Apple CarPlay czy AndroidAuto. Szkoda jedynie, że lusterka boczne trzeba ustawiać na 15,6-calowym ekranie systemu multimedialnego.

Miejsca w kabinie nie powinno brakować nikomu z przodu lub na tylnej kanapie. Gorzej z przestrzenią dla podróżujących w trzecim rzędzie, ale te fotele z założenia powinno się traktować jako miejsca dla dzieci, a nie dorosłych. Bagażnik (przy złożonym trzecim rzędzie siedzeń) ma 819 l pojemności, a po złożeniu tylnej kanapy rośnie do 2065 l.

Ile kosztuje ten model? 400 tys.? 300 tys.? Za flagowego SUV-a w jedynej dostępnej, ale za to wszystkomającej wersji chiński koncern Chery każe sobie płacić 209,9 tys. zł, czyli co najmniej o kilkadziesiąt tysięcy mniej niż tacy konkurenci jak Hyundai, Mazda czy Volkswagen. Efekt? Chery Tiggo 9 PHEV w kwietniu nie tylko trafił do TOP 10 najchętniej kupowanych przez Polaków hybryd plug-in, lecz także zajął drugie miejsce na podium.

JABRA EVOLVE3 85



Świetna jakość rozmów telefonicznych, dopracowany design oraz ergonomia, a także bardzo dobra bateria – to największe zalety najnowszego modelu profesjonalnych słuchawek duńskiej marki Jabra.

To bezsprzecznie najlepszy dotąd model tego producenta. Został stworzony dla osób, które przechodzą z wideokonferencji na wideokonferencję, potrzebują wysokiej jakości podczas służbowych połączeń, chcą móc się skupić w hałaśliwym open spasie, a jednocześnie nie mają zamiaru kupować innych słuchawek, aby po zakończeniu pracy posłuchać dobrej muzyki.

Jabra Evolve3 85 mają minimalistyczne wzornictwo. Są też ergonomicznie zaprojektowane. Oddychające poduszki piankowe nauszników pozwalają na komfortową pracę przez wiele godzin. Słuchawki bronią też słuchu użytkownika przed nagłymi skokami głośności. Są również bardzo lekkie (220 g), smukłe i składane na płasko. Po włożeniu do dołączonego etui zajmują zatem bardzo mało miejsca (co docenią np. osoby często podróżujące samolotami).

System aktywnej redukcji hałasu (ANC) – wytrenowany przez Duńczyków na 60 mln zdań – dobrze sprawdza się zwłaszcza podczas połączeń telefonicznych, wideokonferencji czy rozmów z asystentami sztucznej inteligencji (urządzenie ma certyfikaty Google Meet, Microsoft Teams i Zoom). Największą przewagą tego modelu nad konkurentami jest bowiem właśnie to, że ANC działa nie tylko podczas słuchania muzyki, lecz także podczas prowadzenia rozmów, a to już rzadkość.

Na pochwałę zasługuje też świetna bateria. Na jednym ładowaniu można słuchać muzyki przez 120 godzin lub rozmawiać do 25 godzin. A jeśli akumulator rozładował się tuż przed ważnym spotkaniem, to wystarczy pięć minut ładowania, aby słuchawki działały przez pięć godzin, lub 10 minut, by działały przez 10 godzin. Plusem jest bezprzewodowa ładowarka w zestawie. Dobrze też, że z biegiem czasu można wymienić nie tylko poduszki nauszników, lecz także akumulator.

Minusy? Chociaż w jakości rozmów Duńczycy są rewelacyjni, to jakość brzmienia podczas słuchania muzyki, a także skuteczność ANC u topowych konkurentów bywają lepsze. Drugi minus: multipoint – czyli połączenie słuchawek z wieloma urządzeniami jednocześnie, np. z laptopem i smartfonem – działa stabilnie tylko przy wykorzystaniu adaptera BT (bez niego bywa różnie).

Cena: 1868 zł.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ **JACEK PRZYBYLSKI**

eprasa.pl ca87f60a9b



MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUZIK
I ANNA POPEK Z D. CHRUZIK

SIOSTRY GOTUJĄ

Wiosenny obiad

Są takie smaki, które kojarzą nam się z wiosną i jedynie wiosną smakują najlepiej. Do nich należy smak młodej kapusty. Naszym ulubionym przepisem na nią jest ten poniżej.

Z domu rodzinnego oprócz wspomnień wyniosłyśmy smak gołąbków z młodej kapusty z kaszą gryczaną i mielonym mięsem z indyka. Przepis jest bardzo prosty, a gołąbki smakują nieco inaczej niż tradycyjne. Są przede wszystkim bardziej delikatne w smaku, a młoda kapusta po sparzeniu we wrzątku rozpływa się w ustach. Takie gołąbki podawane były w naszym domu dość często, a mama zawsze polewała je przepysznym sosem pomidorowym, robionym na bazie cebuli cukrowej, i również obficie posypane koperkiem. Do obiadu obowiązkowy był kompot z rabarbaru, a na deser zapiekane truskawki pod słodką waniliową kruszonką z kleksem kwaśnego jogurtu. Idealny wiosenny obiad. Polecamy wypróbować, a tymczasem podajemy przepis na gołąbki.

FOT. ADOBE STOCK



Gołąbki z młodej kapusty

• 1 kg mięsa mielonego z indyka • 1 duża kapusta • 1 duża cebula cukrowa • 2 ząbki czosnku • 2 łyżeczki soli • 1 duża łyżka przyprawy do spaghetti • ½ łyżeczki czerwonej papryki słodkiej i pieprzu białego • garść natki pietruszki posiekanej • kilka grzybków suszonych i namoczonych, posiekanych na drobno • 50 g kaszy gryczanej, suchej • 2 jajka • ½ litra bulionu warzywnego z ekokostki

Kaszę zalewamy wodą, płuczemy, ponownie zalewamy wodą. Solimy, doprowadzamy kaszę do wrzenia i gotujemy przez kilka minut. Odstawiamy pod przykryciem.

Gotujemy wrzątek w dużym garnku z jedną łyżeczką soli, tak aby zmieściła się kapusta, wycinamy głąb i wkładamy do wody. Gdy zakipi, gotujemy kilka minut i powoli oddzielamy liście. Odkładamy je na bok do wystudzenia. Mięso przekładamy do misy, wbijamy dwa jajka, dodajemy przyprawę do spaghetti i bardzo drobno posiekaną cebulę cukrową, najlepiej rozdrobnioną w blenderze, oraz posiekane grzybki i zieloną pietruszkę. Dodajemy kaszę. Wszystko razem dokładnie mieszamy. Do każdego liścia kapusty nakładamy porcję mięsa, dokładnie zawijamy i układamy w naczyniu żaroodpornym. Podlewamy bulionem i wkładamy do piekarnika nagrzanego do 180 st. C na jedną godzinę.

Sos pomidorowy

• 1 passata pomidorowa • 1 duża cebula cukrowa • 2 łyżki oliwy z oliwek • sól i pieprz do smaku • ½ łyżeczki cukru lub miodu • ½ kubka słodkiej śmietanki 30-procentowej • natka lub koperek

Na rozgrzanej oliwie poddusz amy pokrojoną cebulę, tak aby się zeszkliła. Dodajemy całą passatę pomidorową i przyprawy oraz cukier. Gotujemy kilkanaście minut. Podbijamy śmietanką na koniec, całość blendujemy.

Gołąbki polewamy sosem pomidorowym i posypujemy koperkiem lub pietruszką zieloną. ©℗



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Matematyka i inne zabawki

Stężenie matematyków w mojej rodzinie jest ponadprzeciętne. Mąż, syn, synowa, szwagier, brat, stryj, oboje rodzice synowej…

Te związki nie pomogły mi niestety w rozwikłaniu matematycznych wątków książki Hugona Steinhausa „Wspomnienia i zapiski". Terminy takie, jak szeregi ortogonalne, funkcje niezależne, model Ehrenfesta pozostają wciąż czarną magią.

Nie ja jedna jestem matematyczną ignorantką, chociaż maturę zdałam na czwórkę. Pewna znajoma spytała kiedyś autora, czym się właściwie trudnią matematycy. „Zacząłem laską na piasku kreślić rysunki, które miały wyrażać pytania topologiczne, i wtedy przyszła mi do głowy myśl napisania książki z obrazkami, które byłyby odpowiedzią na pytania tej miłej damy". Nie sądzę, żeby po tym wyjaśnieniu zrozumienie tej materii przez damę się poprawiło.

Długie życie Steinhausa (1887–1972), współtwórcy lwowskiej szkoły matematycznej przypada na burzliwy okres naszej historii. Odzyskanie niepodległości, dwie wojny, kawałek PRL. Po wojnie, jak wielu Lwowiaków, uczony osiedlił się we Wrocławiu. Jest autorem ponad 170 prac naukowych.

Poruszające są jego relacje o zbrodniach niemieckich i ukraińskich w czasie drugiej wojny światowej. Poruszające, bo pisane chłodno, dokładnie opisujące potworności popełniane na naszym narodzie.

To nie jest nowa książka. Wydanie, które czytam, ukazało się w roku 1992 w oficynie Aneks, co częściowo tłumaczy drobniutki druk i czcionkę, jak z wydawnictw podziemnych. Moje niemłode oczy bardzo się nad tym męczyły, ale warto było, bo to opowieść intensywna od faktów i zdarzeń. Autor nie jest być może wybitnym pisarzem, za to obserwatorem rzeczywistości jest wyjątkowo skrupulatnym. I to wystarczy.

Krąg ludzki otaczający Steinhausa jest ogromny. Ale nawet ktoś z tak innego świata jak ja na kartach tej książki odnajduje znajomych, znajomych znajomych lub po prostu osoby, o których się wie. Karol Borsuk, matematyk spowinowacony z moją synową Emilią Toruńczyk; Stanisław Mazur, ojciec znanej mi osobiście tancerki Krystyny Mazurówny; Kazimierz Kuratowski, matematyk, ojciec Zofii Kuratowskiej; Leon Chwistek, poeta, logik, filozof z kręgu zakopiańskich przyjaciół Witkacego.

„Hugo Steinhaus jest przedstawicielem czegoś, co było najlepsze w tym wspaniałym tworze, jakim była polska inteligencja pierwszej połowy XX wieku. Twarze, bez których nasz naród nie mógłby ani przetrwać, ani się odrodzić. Była to, jak się okazało, wielka siła, większa niż czołgi, armaty i tajne policje" – napisał Kazimierz Dziewanowski w przedmowie. Dokładnie tak. ©℗

eprasa.pl ca87f60a9b



PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Strajk przeciw podżegaczom

18 maja w imię świętego prawa do strajku, w tym przypadku generalnego, ultralewicowa Unia Bazowych Związków Zawodowych (USB), licząca zaledwie 250 tys. członków w całym kraju, sparaliżowała komunikację miejską, ruch pociągów, służbę zdrowia, szkoły i uniwersytety w 10 miastach, w tym w Rzymie, Mediolanie, Turynie i Bolonii. Może to nieobeznanych z materią nieco dziwić, ale muszą pamiętać, że Włosi w kwestii strajków są specjalistami światowej ekstraklasy. Jeśli zaś chodzi o pracowników transportu komunalnego w Rzymie, to strajk jest jedyną rzeczą, którą potrafią zorganizować, i to znakomicie.

Natomiast niezmiernie dziwić mogą przyczyny strajku. Pomijając warunki pracy i płacy, które jak najsłuszniej można w ten sposób kontestować w każdym demokratycznym kraju, organizatorzy wyznali w komunikacie dla mediów, co następuje: „Ten strajk generalny przede wszystkim wyraża wolę wstrzymania barbarzyństwa na Bliskim Wschodzie i zmuszenia rządu Meloni do zerwania wszelkich kontaktów z terrorystycznym Państwem Izrael. Ten strajk jest też po to, by dać znać siostrom i braciom Globalnej Flotylli Sumud, że nie są sami". A dalej: „Protestujemy przeciwko wydatkom na zbrojenia i cele wojskowe [w ezopowym języku włoskiej lewicy to znaczy „Przestać wspierać Ukrainę" – dop. P.K.]. Te środki powinny trafić do służby zdrowia, szkolnictwa i służyć podwyżce płac".

Mamy zatem do czynienia z wieloma postulatami politycznymi, które można było wyrazić na wiecu pod siedzibą włoskiego rządu albo ambasadą Izraela. Ale rozbestwieni do cna, nafaszerowani ideologią kontestatorzy woleli wziąć zakładników: kilka milionów ofiar strajku. Naturalnie związkowcy zorganizowali również propalestyńskie demonstracje. Powiewali flagami Palestyny i... Iranu – kraju fanatycznych, islamskich brodaczy. Łopotały czerwone sztandary z sierpomłotem, palono kukły Meloni i ministra obrony, flagi UE, USA i NATO. Skandowano: „Wolna Palestyna od rzeki do morza", domagając się unicestwienia Izraela. Działacze w przemówieniach zarzucali włoskiemu rządowi współudział w ludobójstwie Palestyńczyków. Kilku podkreślało, że strajk był wymierzony „przeciwko zachodnim podżegaczom wojennym". Naturalnie nie mogło się obyć bez krzyków, że wraz z premier Giorgią Meloni do Italii znów zawitał faszyzm.

Prawdziwą hańbą jest jednak to, że tak miłujący pokój, tak wrażliwi na cierpienia wojenne Palestyńczyków związkowcy i ich akolici nie zdobyli się choć na jedno słowo na temat ataku Rosji na Ukrainę i popełnionych na Ukrainie zbrodni wojennych. ©℗



JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Młynarski, wróć!

W 1981 r. Wojciech Młynarski napisał „Balladę o przeszkoleniu kamerzystów". Było tam o tym, jak trzeba pokazywać w telewizji tłumy – w skrócie: jak przyjdzie (ludzi) mało, to pokazać trzeba dużo, i na odwrót. W roku powstania tej ballady chodziło o wskazanie na manipulowanie przekazem oficjalnej telewizji państwowej z manifestacji na froncie walki Solidarności z komuną. Przekaz pieśni dotyczył kadrowania rzeczywistości przez kamerzystów, co szczególnie sprzyjało podziemnej popularności piosenki Młynarskiego w czasie wizyty Jana Pawła II w PRL w 1983 r., kiedy to telewizja dokonywała opisanych piruetów w stopniu już wręcz ją ośmieszającym.

Myślałem, że te czasy minęły. Ale jest jeszcze gorzej: już się tam telewizje nie wysilają, jak kadrować, kamerzystów się nie wysyła na szkolenia według scenariuszy Młynarskiego. Po prostu nie pokazuje się niewygodnych kadrów, a nawet zdarzeń. Jest to niewątpliwy postęp w stosunku do PRL, tyle że w prześcignięciu siermiężnej manipulacji tamtych czasów. Wychodzi więc, że to my jesteśmy bardziej po bandzie, komuna zaś – bardziej subtelna.

W cywilizacji, która uważa, że jak czegoś nie ma w mediach, to nie istnieje, można pójść na łatwiznę negacji faktów przez ich niepokazywanie. Ale sprawy weryfikują się przez te niesforne jednak media społecznościowe. Czy widzieli państwo relacje z niedawnej megamanifestacji Brytyjczyków w Londynie? Jeśli w telewizji, to raczej, wedle zasady Młynarskiego, przyszła jednak garstka. W Internecie widać, że z milion ludzi był spokojnie, dla Brytanii zaś był to wielki znak przebudzenia po latach przebywania w oparach poprawności politycznej. Wielki marsz był przeciw unijno-globalistycznym trendom, więc go państwo nie zobaczą, jeśli już, to w wydaniu przeszkolonych kamerzystów.

Drugi kadr – tu kamerzyści się nie starali kadrować, wszystko pokazali. Pokazali ponad setkę tysięcy ludzi na koncercie zespołu rockowego na stadionie w Kijowie. Tyle że te kadry możecie zobaczyć jedynie w serwisach społecznościowych krytykujących hipokryzję Ukraińców, którzy z jednej strony promują siebie jako ofiarę ciągłych nalotów, z drugiej – prowadzą „normalne" życie, jakoś nieprzystające do image'u kraju walczącego co dzień. Z powodu tak zarysowanego konfliktu poznawczego relacji z takiego koncertu nie zobaczycie w oficjalnych środkach przekazu. Młynarski więc, gdyby żył, powinien by napisać nową balladę, nie o kadrowaniu, ale o wycinaniu z obiegu całych zdarzeń, by w ogóle medialny ślad po nich nie zaistniał. ©℗

eprasa.pl ca87f60a9b



SPODE ŁBA

Domowe waśnie

DARIUSZ WIEROMIEJCZYK

Intrygujące wiadomości nie przestają docierać z rozrywanego wewnętrznymi konfliktami PiS. „Partia będzie miała dwa płuca” – ogłosił prezes Jarosław Kaczyński po kolejnym spotkaniu z wiceprezesem tej partii, Mateuszem Morawieckim. Medyczną metaforę podchwycił ochoczo ten ostatni. „Pełen oddech dla Polski złapany! Do zwycięstwa” – pochwalił się triumfalnie były premier.

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA



Z wypowiedzi obu polityków wnioskować można, że do tej pory ich partia zmuszona była posiłkować się jednym płucem. Chociaż zdrowemu człowiekowi potrzebne są płuca prawe i lewe, to otoczony szczególną opieką potrafi funkcjonować także z jednym. Nie jest to jednak sytuacja normalna. Taka przypadłość medyczna wiązać się może z licznymi komplikacjami, wśród których wymienia się szybkie męczenie się i niechęć do wysiłku. Osoby o jednym płucu narażone są także na niewydolność oddechową, która może skutkować niedotlenieniem mózgu – hipoksją. Czyżby właśnie ten proces pozwalał nam wytłumaczyć nieukładające się w jakąkolwiek spójną całość wypowiedzi kierownictwa PiS, ogłaszającego publicznie raz to zakaz działalności stowarzyszeń wewnątrz partii, przy innej okazji dopuszczalność takich działań, następnie znowu zakaz – bez odnoszenia się do poprzednich decyzji. Tego rodzaju mentalne meandrowanie – połączone z okresowymi zanikami pamięci – byłoby dla osoby o jednym płucu gromkim dzwonkiem alarmowym, wzywającym do natychmiastowej konsultacji lekarskiej.

Reguły dotyczące organizmu ludzkiego nie przekładają się jednak w pełni na życie partyjne. Politycy PiS bagatelizują więc problemy wewnętrzne, przechodząc do porządku dziennego nad pojedynkami frakcji „harcerzy” i „maślarzy”. Przykładem takiej postawy może być niedawna wypowiedź wpływowego europosła Prawa i Sprawiedliwości, Piotra Müllera. „W rodzinie zdarzają się czasami jakieś spory, zdarzają się napięcia i później, gdy już wszystko jest wyjaśnione, wracają uśmiechy. W związku z tym chyba każdy miał takie doświadczenie w swojej rodzinie” – skwitował wewnątrzpartyjne konflikty Müller.

Polityka prorodzinna powinna być ważnym, a może nawet głównym polem działalności każdego konserwatysty. Wzajemne obrzucanie się błotem i knucie bezwzględnych intryg nie powinno być przedstawiane jako doświadczenia powszednie, które „każdy miał w swojej rodzinie”. Przypomnijmy sobie tylko brutalne oskarżenia o zdradę, „dogadanie się z Tuskiem” i celowe szkodzenie partii, wielokrotnie formułowane pod adresem Mateusza Morawieckiego. Członek bliskiej rodziny prezesa PiS, jego kuzyn, Jan Maria Tomaszewski, w takich słowach opisywał wstrząsające partią zatargi: „Jarek po mistrzowsku to wszystko rozegrał. Wszyscy, którzy grali kiedyś z nim w politycznego pokera, wiedzą, że nie mają z nim szans, wszyscy przegrywali. A jeśli się nie posłuchają Jarka, to przegrają i tyle”.

Jeśli dla europosła Müllera podobne relacje stanowią „rodzinną codzienność”, to niedyskrecją byłoby dalsze drążenie jego osobistych doświadczeń. Są one zapewne nie mniej traumatyczne, jak skrawki familijnych dramatów, o których nie pozwala nam niestety zapomnieć publicystka prawicowej telewizji wPolsce24, Marianna Schreiber. Właśnie zapowiedziała ona wydanie swojej książkowej biografii. „Zapewniam, że będzie to jedna z najciekawszych biografii, jakie mieliście okazję kiedykolwiek przeczytać” – twierdzi była żona „małego premiera” w rządzie Mateusza Morawieckiego. Czyżby europoseł Müller planował stanąć z nią w szranki?

Narastające, „rodzinne” waśnie targające ugrupowaniem Jarosława Kaczyńskiego stanowią dla tej partii problem i zagrożenie. Czy nie powinna ona zaapelować do prezydenta Nawrockiego, aby w roku 2026, zamiast lektury „Dziadów”, zorganizował on „Narodowe Czytanie” spuścizny Jana Kochanowskiego? Fraszka „Na matematyka”, przypomniana na Nowogrodzkiej, nie rozwiązałaby wprawdzie partyjnych konfliktów, mogłaby je natomiast, ze staropolską dosadnością, rozjaśnić. ©℗

eprasa.pl ca87f60a9b



WOJCIECH ROSZKOWSKI

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Nowa gwiazda

11 maja w niezwykle popularnym programie „American Idol" zwyciężyła 26-letnia Hannah Harper. Od razu stała się wielką gwiazdą muzyki country, a jej utwory są słuchane na YouTube setki tysięcy razy. Może nie warto by o tym pisać, gdyby nie „content" jej twórczości.

W czasach gdy macierzyństwo wywołuje przestrach u tych, którzy chcą „bezpiecznego seksu", są jeszcze młode Amerykanki, które znajdują powołanie i satysfakcję w rodzinie. Szukały one potwierdzenia sensu swego wyboru i znalazły je w występach Hanny Harper. Największy dotąd rozgłos zdobyła jej piosenka „String Cheese": „Po raz trzeci podgrzewam poranną kawę. W TV Miss Rachel z ulubioną rymowanką, samochodziki Hot Wheels i małe ludziki pod stopami i płaczące niemowlęta: istny chaos. Nie tracę jednak chwili, zawsze wiedziałam, że osiem godzin w pracy to nie dla mnie, tyle że ja mam stale nadgodziny. Nie wiedziałam, że tak będą wyglądać moje lata dwudzieste, ale oni mnie uratowali, zanim zdążyłam zmarnować sobie życie. Czasem chce mi się płakać i uciec i skryć się, ale wtedy martwiłabym się o nich. Kiedy już mam dosyć z wyczerpania, wspinają się na tapczan i mówią: »Mamo, czy możesz mi otworzyć ten serek?«. Więc się uśmiecham, pocieszam się, że spełniam ich potrzeby, bo bycie ich mamą to moje powołanie".

Hannah Harper wywodzi się z muzykującej rodziny z Willow Springs w stanie Missouri. Jej członkowie występowali przez wiele lat jako wędrowni kaznodzieje pod nazwą The Harper Family. Hannah dorosła, wyszła za mąż, urodziła trzech chłopców i obecnie zdobywa popularność jako solistka obdarzona silnym głosem oraz wielką muzykalnością. Sama też pisze swoje teksty. Przede wszystkim jest w tych utworach radość z dawania miłości. Poza cytowanym przebojem „String Cheese" na YouTube można znaleźć wiele innych jej utworów z podobnym przesłaniem.

W piosenkach Harper nie ma słodyczy ani ckliwości. Są czasem straszne zmęczenie i zagubienie, znane chyba każdej młodej matce w chwilach zagonienia i wyczerpania

W piosenkach Harper nie ma słodyczy ani ckliwości. Są czasem straszne zmęczenie i zagubienie, znane chyba każdej młodej matce w chwilach zagonienia i wyczerpania. W utworze „Three AM Grace" śpiewa ona: „Mały w końcu zasnął, ale ja spać nie mogłam, patrzyłam w sufit, jakby tam zapisano odpowiedź. Powinnam być szczęśliwa, Boże, powinnam być Ci wdzięczna, ale coś w piersi mnie gniotło i nie dawało spokoju. Wokół zapach lawendy i słodkiego pudru dla dzieci, a ja siedziałam na podłodze, płacząc bezgłośnie. Nie mówiłam nic mężowi, nie mówiłam mamie, siedziałam tylko, pytając Boga, czemu nie mogę się odnaleźć [...]. I o trzeciej nad ranem, gdy w ciemności już tonęłam, spotkała mnie łaska. Szeptałam: »Boże, już nie daję rady, już nie wiem, kim jestem« i w ciszy poczułam dwie ręce, o trzeciej nad ranem...".

Harper jest poetką codzienności, ale uczucie do swych dzieci znajduje nawet w widoku trzech par zabłoconych bucików. W piosence „Bless this mess" Harper śpiewa: „Zmywanie się gromadzi, mały płacze, pranie już czeka od piątku. Włosy związałam z tyłu, kawa mi stygnie, ale Bóg wie, że jestem bogatsza, niż mi mówią. Goniłam za tym, co lśni i błyszczy, a teraz gonię troje dzieci po żwirowej ścieżce [...]. Pobłogosław ten bałagan, pobłogosław ten hałas, pobłogosław trzy zabłocone buciki i połamane zabawki".

Utwory Hanny Harper wywołują bardzo żywe reakcje, jak np. w uwagach pewnej internautki na temat „String Cheese": „Uwielbiam tę piosenkę. Tak, męczymy się, walczymy, mamy pytania. Cokolwiek przeżywamy w tym świecie, jest doczesne. Ale Jego miłość, siła i pokój są wieczne. Pomóż mi, Panie, dostrzegać Ciebie w każdej części mojego życia, tak idealnej, jak chaotycznej. Jesteś tam. Nie boisz się, nie wstydzisz się naszego człowieczeństwa. Pomóż mi patrzeć na życie Twoimi oczami".

Znaleźć sens, a nawet radość w utrudzeniu, w ofierze z własnej wygody, czasu i dostatku, nie jest łatwo. Ale nawet w desperacji, o godz. 3 nad ranem jest to możliwe, bo jeśli z czymś nie możemy sobie dać rady, to Stwórca nie odmówi pomocy proszącemu. Relację z finału „American Idol" obejrzało już 14,5 mln osób. Ktoś napisał: „Ona jest więcej niż mamuśką, ona wygrała taki show!". ©℗

eprasa.pl ca87f60a9b

LIZANIE



FOT. W. CEJROWSKI LTD/JAROSŁAW SOŚNICKI

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Żydzi traktują Polskę z pogardą. Polska omija temat, udaje, że tej pogardy nie widzi. To tylko zwiększa pogardę. Bo jak tu nie gardzić słabym państwem polskim, które w stosunkach z Izraelem stosuje wyłącznie uniki?

Naród polski się na Żydów zżyma po cichu w domach, Braun nas reprezentuje z gaśnicą w dłoni, ale oficjalna władza udaje, że ta gaśnica to był tylko incydent pojedynczego świra. Udawanie, że napięcia nie ma, powoduje, że napięcie rośnie.

Ja się Żydom nie dziwię, że nami gardzą w sytuacji, gdy każda polska władza podlizuje się Izraelowi, zamiast stawiać sprawy jasno i zgodnie z polskim interesem. Polityka pod hasłem „nie chcemy niepotrzebnych konfliktów" prowadzi o krok dalej do „nie chcemy konfliktów" i jeszcze dalej do „my już nic nie chcemy, byle tylko nie było żadnego konfliktu". Polska zachowuje się jak bita regularnie żona alkoholika.

***

Co Polska powinna robić, gdy padają oskarżenia o antysemityzm „wyssany z mlekiem matki"? A co władze Izraela robią z oskarżeniami o antypolonizm? Nic nie robią, czyli w tym przypadku respektują wolę swego narodu. Władza jest od zarządzania krajem, a nie od przepraszania zagranicy, że część narodu coś lubi lub czegoś/kogoś nie lubi.

Izrael nigdy nie przeprasza za swoich obywateli i ja tę postawę popieram. A Polska się płaszczy przed zagranicą i to jest postawa godna pogardy. Liżemy buty Unii, Niemcom, Ameryce.

***

Izrael zawsze broni swoich obywateli, nawet tych najgorszych. Chciałbym, aby polskie władze robiły tak samo. Bo Polak to Polak niezależnie od tego, co zrobił złego.

W Ekwadorze w KOSZMARNYM więzieniu siedziało, a w zasadzie gniło żywcem wielu Polaków złapanych na przemycie narkotyków. Naiwniacy zwerbowani przez kartele. Mieli być przykrywką dla większych transportów trefnego towaru. Mój kumpel (śp. Tomasz Morawski) załatwiał im przeniesienie do więzień w Polsce, gdzie mieli szansę przeżyć odsiadkę w ludzkich warunkach. Polskie MSZ uważało ten temat za zawracanie głowy, bo przecież „sami są sobie winni", że siedzą.

Porządna polska władza walczyłaby o naszych, nawet o tych najgorszych. Bo poza naiwniakiem, który wpadł za narkotyki, jest jeszcze matka takiego naiwniaka, która chce odwiedzać syna w więzieniu, chce, żeby żył, żeby kiedyś wyszedł na wolność i wrócił do domu.

Walka o swoich obywateli, nawet tych najgorszych, ma właśnie taki sens, że z tym najgorszym są powiązani inni obywatele. Dlatego polska władza, niezależnie od swojej opcji politycznej, powinna bronić przykładowego Brauna i jego gaśnicy. Na zagraniczne zarzuty porządna polska władza powinna odpowiadać twardo: nie wasza sprawa, tylko nasza WEWNĘTRZNA. Tusk, Kaczyński, Czarzasty i kto tam jeszcze powinni bronić Brauna wobec zagranicy, a potem się z Braunem ewentualnie policzyć na rynku wewnętrznym. No ale zwycięża lizanie zagranicznych butów.

***

Popatrzmy na trzy narody powiązane wspólną historią, trzy narody, które żyły kiedyś w jednym kraju, gdy Polska była wielka. Żyły obok siebie i już wtedy się nie lubiły.

Konkurs Eurowizji pokazał współczesne stosunki między tymi narodami:

Izraelskie jury dla Polski: zero punktów.

Izraelska publiczność dla Polski: zero punktów.

Ukraińskie jury dla Polski: zero punktów.

Ukraińska publiczność dla Polski: zero punktów.

Natomiast Polska wciąż liże buty. Polskie jury dla Izraela: 12 (max) punktów. Polska publiczność dla Ukrainy: 12 (max) punktów. To ostatnie dałoby się jakoś wytłumaczyć: na terenie Polski mieszka teraz tylu Ukraińców, że to oni mogli głosować na własny kraj z terenu Polski.

***

Ten konkurs piosenki jest beznadziejny i przypomina konkursy piosenki radzieckiej organizowane za komuny. Pompa była wielka, nakłady ogromne, a nikt nie oglądał, bo nie było na co patrzeć. Nieszczere uśmiechy i pochwały wobec Ruskich jakże podobne do uśmiechów i pochwał polskiego jury wobec Izraela. Jeżeli ta piosenka im się naprawdę podobała i uznali ją za naprawdę najlepszą ze wszystkich zaprezentowanych, to są dziwni. Nikomu nie bronię być dziwakiem, sam jestem. Ale kto posadził tylu dziwaków w jednym jury? Bardzo dziwne i byłoby dziwne, gdyby to był przypadek. Tak samo dziwne byłoby, gdyby w jury siedziały same Brauny z gaśnicami, prawda? No właśnie.

Czy można było nie lizać butów? Owszem. Kilka krajów zbojkotowało konkurs, bo im się nie podoba konflikt w Gazie. Hiszpania, Holandia, Irlandia… Czyli można stawiać sprawy konfliktowe jasno, uczciwie i szczerze.

***

Po konkursie Eurowizji napisał do mnie wzburzony Mirosław. List okrasił miechem, za które od razu przepraszał, no ale był wzburzony solidnie. Miecho wyciąłem i zacytuję bez: Polskie jury nagradza Izrael najwyższą notą, a w izraelskich mediach od razu ruszają komentarze, że to za mało, że Polska jest winna Izraelowi znacznie więcej itd. Panie Wojciechu, będę głosował na Brauna. Ja, socjalista. Do tego doszło!

Odpisałem tak: Braun to socjalista, więc głosując na Niego, nie straci Pan twarzy. Braun jest narodowy + socjalista i nie należy tego pomylić z narodowosocjalistycznym Hitlerem. Braun walczy o sprawy narodowe i jednocześnie jest socjalistą, bo popiera różne odmiany socjalu. W jego wizji państwo ma ludziom pomagać = socjalista.

Osoby niesocjalistyczne lub antysocjalistyczne (jak ja) uważają, że lepiej ludziom zwyczajnie nie przeszkadzać. Cel jest ten sam – pomaganie ludziom – ale jedni pomagają, udzielając pomocy, a inni pomagają, nie przeszkadzając. Rozumiemy się?

PS

Socjal jest formą lizania butów społeczeństwu przez państwo. Fuj.

Ja wolę, aby państwo odczepiło się od mojej kieszeni, a wtedy będę miał więcej forsy na buty. ©℗

eprasa.pl ca87f60a9b

Oferta promocyjna

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA „DO RZECZY”



W PREZENCIE KSIĄŻKI

JACEK GNIADEK:
„EKONOMIA BOŻA I LUDZKA”,
HANS HERMANN HOPPE:
„KRÓTKA HISTORIA CZŁOWIEKA”

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~1017~~ ZŁ

518,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 499 ZŁ

Oferta prenumeraty z dostawą za pośrednictwem Poczty Polskiej

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

- **Wpłata na konto bankowe: Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa, nr konta: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006. W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail**
- **Na stronie: www.subskrypcja.dorzeczy.pl.**

TERAZ MOŻLIWOŚĆ ZAMÓWIENIA PRENUMERATY RÓWNIEŻ Z DOSTAWĄ DO PACZKOMATU INPOST

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl ca87f60a9b

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER OD ŚRODY W SPRZEDAŻY!



HOŁD PRUSKI – NAJWIĘKSZY BŁĄD POLSKI?

Droga do hołdu – Prymas Jan Łaski przekonywał polskiego króla, że państwo krzyżackie musi zniknąć. Dlaczego Zygmunt I Stary postanowił zawrzeć kompromis i oszczędzić Krzyżaków?

„Cud" nad Nogatem – Bitwa pod Grunwaldem słusznie uchodzi za jeden z największych triumfów polskiego oręża. Jednocześnie jest to wręcz sztandarowy przykład zmarnowania znakomitej koniunktury politycznej

Sowieckie „strefy 51" – W czasach ZSRS w tzw. miastach zamkniętych testowano i produkowano najnowsze rodzaje broni, m.in. biologicznej. Po rozpadzie Związku Sowieckiego wiele tych miast pojawiło się na mapach, ale ich mieszkańcy wciąż żyją pod kontrolą specsłużb

W łagrach, Auschwitz i leprozorium – Polscy kandydaci na błogosławionych bronili wiary, świadczyli o niej, żyli, myśląc o Bogu, a także o ludziach – nie tylko chrześcijanach

Dramat skradzionych dzieci Reunionu – To jeden z najbardziej haniebnych epizodów w dziejach Francji. I jeden z najbardziej zapomnianych

Nazistowski „męczennik" – NSDAP uczyniła z tego mordu bardzo przydatny mit; Horst Wessel stał się kimś w rodzaju nazistowskiego „męczennika". Ludzie, którzy brali udział w tym mordzie, szybko zostali okrutnie ukarani

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl ca87f60a9b